



Harlequin

TEMPTATION

Odnaleziona miłość - to nowy cykl, na który składają się trzy napawające optymizmem powieści - „Powrót do domu”, „Miara, nadzieje i miłość”, „W luksusowym domu”.

Odnaleziona miłość



- to jeszcze jedno potwierdzenie prawdy, że szlachetne uczucie pomaga pokonać wszelkie przeszkody.

Zdawał by się mogło, że drogi Rory i Ceina's, bohaterów „Powrotu do domu”, rozszalały się na zawsze. Tragiczne przeżycia zacięły na ich przeszłość, admienna postawa wobec życia nie dawano szans na wspólną przyszłość. I jednak... Już pierwsze spotkanie po latach ukłoniło ich, że nadal są sobie bliżej. Czy starczy im odwagi na podjęcie wyzwania, jakie postawił przed nimi los?

Romansów jest wiele - miłość tylko jedna...



...książki *Harlequin* to ogrody miłości.



Harlequin

TEMPTATION



EMMA STONE
POWRÓT DO DOMU



JoAnn Ross



POWRÓT DO DOMU

Tytuł oryginału The Return of Caine O'Halloran



ROZDZIAŁ 1

Do domu trafiłby nawet po omacku. Mógłby prowadzić samochód z zawiązanymi oczami.

Dwupasmowa szosa, jak rozkręcająca się żyłka wędkarska, wiła się pomiędzy zalesionymi wzgórzami i łamała w nagłe, ostre zakręty, wobec których kompas byłby bezradny.

Co gorsza, wiosenna odwilż pozostawiła po sobie groźne wyrwy i koleiny. Nisko zawieszona, czarna ferrari nie nadawało się do jazdy po peryferyjnych, górskich drogach, więc samochód gwałtownie podskakiwał na wybojach.

Caine O'Halloran, nie bacząc na zagrożenie, zmuszał swą bestię na kołach do niesamowicie niebezpiecznych zakrętów z taką samą wprawą i wyczuciem ż jaką poprzedniego wieczoru doprowadził do uległości pewną rudowłosą damę.

Przy każdym przyspieszeniu i zwolnieniu obrotów silnik wydawał z siebie jęki. Bruce Springsteen ze stereofonicznego radia radził, żeby się nie poddawać, a Caine wystukiwał palcami na kierownicy rytm piosenki.

Potężne jodły i świerki rosnące po obu stronach drogi tworzyły zielony tunel. Zza ołowianych chmur czasem wychylało się słońce, a promieniom udawało się nieraz przebić iglastą kurtynę i ułożyć migotliwymi plamami na szosie.

Zewsząd dochodził szum wody: to strumienie, które brały początek w topniejących lodowcach, zasilały rzeki, płynące do

oceanu. Orzeźwiający, wiosenny wiatr niósł zapach świeżo ściętej jodły.

Kiedy piosenkarz rozrzewnił się nad utratą ukochanej, Caine zaczął kręcić chromoniklową gałką. Nie był w nastroju do wspomnienia utraconych miłości. Zatrzymał palce na dźwięk znanej melodii.

„Dni chwały” - pokiwał głową z aprobatą. Przypomniał sobie wieczór sprzed kilku lat, podczas którego słuchał jej w barze w Minneapolis trzy razy z rzędu, wrzucając kolejne żetony do grającej szafy. Atrakcyjna studentka z Uniwersytetu Minnesota tłumaczyła mu wtedy, że tak naprawdę, to piosenka mówi o nie spełnionych marzeniach i zmarnowanych możliwościach.

Nie zgadzał się z nią ani tamtego wieczoru, ani teraz. Według niego piosenka była hołdem złożonym graczom umiejącym rzucać oszałamiająco szybkie piłki. Przy takich sportowcach inni faceci wyglądali jak patałachy. To ostatnie określenie odnosiło się obecnie, niestety, również do Caine'a O'Hallorana.

Przemknął obok ciężarówki i karkołomnym manewrem uniknął zderzenia z jej ładownią, zmienił bieg przed następnym zakrętem, po czym dodał gazu. Ferrari wyszło na prostą jak rakieta.

Szybkie branie zakrętów takim samochodem nie było zadaniem dla słabeuszów. Wskazówka prędkościomierza zbliżyła się do czerwonej linii i siła trzystu osiemdziesięciu koni mechanicznych przydusiła Caine'a do skórzanego oparcia. Ryk silnika dałby się porównać tylko do odgłosu lecącego myśliwca odrzutowego. Na

prostym odcinku szosy, której środkowa biała linia biegła między kołami samochodu, ferrari zaczęło zmierzać wprost na jadący z przeciwnej strony olbrzymi ciągnik z naczepą załadowaną kłodami drewna. Wysokie, chromowane kominy dieslowskiego traktora wyrzucały skłębione chmury spalin.

Ciszę przerwał, przeraźliwy, ostrzegawczy klakson ciągnika. Jeden. Drugi. Trzeci.

Caine nie zamierzał ustąpić, jego ponury uśmiech wyrażał nieugięty upór. Przez cały czas zachowywał niezmałony spokój, jakby to była niespieszna przejażdżka po wsi w niedzielne popołudnie, a nie szaleńcza gonitwa prosto w objęcia śmierci.

Nie poddawać się, tłuł mu się po głowie refren piosenki, adrenalina we krwi pobudzała go jak narkotyk.

Powietrze wypełnił teraz nieprzerwany, rozpaczliwy dźwięk klaksonu.

Caine doznał dziwnego wrażenia, że to, co widzi, jest nagrane na taśmę filmową puszczone w zwolnionym tempie: biała linia znikająca między kołami ferrari, słońce odbijające się w chromowanych kominach ciągnika, koszula kierowcy w czerwono-czarną kratę, jego pomarańczowa czapka, szpakowata broda i wreszcie twarz - wyrażająca najpierw niedowierzanie, potem strach, w końcu wściekłość.

Nie ma odwrotu, nie poddawać się.

Caine czekał na swoje przeznaczenie, które czało się w następnym ruchu brodacza.

W ostatniej sekundzie ciągnik skręcił na prawe pobocze, a spod jego kół wyprysnął żwir.

W chwilę później minęła Caine'a ciężarówka jadąca za ciągnikiem. Kierowca gapił się na ferrari z bezbrzeżnym zdumieniem. Caine widział we wstecznym lusterku, jak oba pojazdy zamieniają się w punkciki i znikają.

Kiedy miał siedemnaście lat, pędził tymi serpentynami w czerwonym kabriolecie i często urządzał taką niebezpieczną grę w tchórza ze stale przemierzającymi te drogi szoferami wożącymi drewno. Zawsze wychodził z tych pojedynków zwycięsko i z uczuciem miłego podniecenia.

Natomiast dzisiejsze igraszki ze śmiercią raczej go przygnębiły. I rozczarowały. A ból głowy, o którym zapomniał po przekroczeniu granicy stanów Oregon i Waszyngton, teraz, na półwyspie Olympic, powrócił z całą mocą.

W miasteczku Tribulation nowiny rozchodziły się lotem błyskawicy. Caine O'Halloran wrócił!

Doktor Nora Anderson miała właśnie dyżur w klinice, gdy jej ośmioletni bratanek Eric, który w czasie jazdy deskorolką zbyt brawurowo wziął zakręt i upadł na żwirowy podjazd, pojawił się wraz z matką.

- Ciociu, słyszałaś najświeższą nowinę? - zapytał. Usiłował zachować męstwo w obliczu chirurgicznej pincety, którą wyciągała grudki żużlu z jego dłoni.

- Ericu - przerwała mu matka strofującym tonem - ciocia musi się skupić.

Surowość brzmiąca w słowach Karin Anderson spowodowała, że Nora podniosła głowę.

- Jaką nowinę?

- Caine wyleciał z drużyny Yankeesów - oznajmił Eric. - Jimmy Olson słyszał od taty, że Caine zostanie w domu, dopóki mu ramię nie wydobrzeje. Widzieliśmy jego samochód przed „Chatą z Bali”.

Ciociu, powinnaś go zobaczyć, wygląda jak auto Batmana.

Raczej jak auto szczura, pomyślała Nora. A jego właściciel już kręci się koło baru! Oczywiście, Caine, nic się nie zmienił.

- To prawda - powiedziała Karin, a jej błękitne oczy były pełne współczucia.

- Mam nadzieję, że wszystko mu się ułoży - odparła Nora spokojnie. Już od wielu lat nie rozmawiała z nikim na temat swych uczuć do Caine'a O'Hallorana. Tak było łatwiej. I bezpieczniej.

- Ciociu Noro, czy myślisz, że on mnie weźmie na przejażdżkę?

- spytał Eric z nadzieją w głosie. - No bo przecież jakoś jesteśmy ze sobą spokrewnieni.

Nora wiedziała, że bratanek powoływał się na małżeństwo ciotki z supergwiazdą baseballu, żeby zyskać szacunek na szkolnym boisku. Wcale jej to nie przeszkadzało - wszyscy mali chłopcy mieli bzika na punkcie bohaterów sportu, nawet jeżeli któryś z nich tak naprawdę nie zasługiwał na podziw. To było naturalne. Tyle tylko, że Caine nie mieszkał wówczas w Tribulation.

- Nie wiem. - Spojrzała na chłopca. Nigdy nie była w stanie przewidzieć, jak jej były mąż się zachowa, i z pewnością nie zamierzała teraz zgadywać. - Sam go, musisz zapytać. - Wyjęła kolejną grudkę żużlu.

- Uaaa! - Eric szarpnął ręką.

- Przepraszam. - Nie musiała tak mocno ścisnąć mu dłoni. Niech licho porwie Caine'a!

W czasie ich krótkiego i burzliwego małżeństwa była na pierwszym roku medycyny. Nie wierzył, gdy go zapewniała, że ani małżeństwo, ani macierzyństwo nie przeszkodzą jej w wykonywaniu wymarzonego zawodu. Nie, poprawiła się, nie chodzi o to, że nie wierzył. On po prostu jej nie słuchał. W tydzień po ślubie Nora uświadomiła sobie, że jej mąż ma zupełnie wyjątkową umiejętność wyłapywania tylko tego, co chce usłyszeć.

- No, już po wszystkim. - Przemyła dłoń chłopca antyseptycznym płynem i zwróciła się do bratowej: - Na twoim miejscu schowałabym tę deskorolkę.

- Porąbię ją na podpałkę, jak tylko wrócę do domu.

- Mamo! - Na policzki Erica wystąpiły wypieki koloru dzikich malin rosnących w okolicznych lasach.

- Porozmawiamy o tym później - powiedziała Karin stanowczo.- Kiedy ojciec wróci. Chłopiec przygarbił się zniechęcony.

- Tata stanie po twojej stronie. Zawsze tak jest. Chociaż Nora uważała decyzję Karin za słuszną, żal jej się zrobiło bratanka.

- Hej, Ericu...

- Słucham? - Uniósł głowę naburmuszony.

Podawała mu dwa srebrne dolary, którymi pacjent zapłacił jej za wizytę tego dnia rano. Emerytowany młynarz wrócił z Reno w stanie Nevada z papierowymi kubkami pełnymi takich monet i ze zeszywniałym ramieniem od grania na automatach przez osiemnaście godzin.

- Może zabrałbyś mamę na lody? Niezdecydowany, z niechętnym uśmiechem, burknął „okay”, lecz Nora wiedziała, że tylko udaje brak entuzjazmu. Przypomniał sobie w końcu o dobrych manierach i dodał:

- Dziękuję, ciociu Noro.

- Bardzo proszę. - Nora wymieniła jeszcze długie spojrzenie z bratową, której wzrok mówił: Później porozmawiamy o Cainie. Założysz się, że nie? - odpowiedziały oczy Nory.

Był poniedziałek, dzień, w którym zwykle zjawiało się wielu pacjentów w związku z nadużywaniem weekendowych rozrywek. Na domiar złego Kirstin Lundstrom, pielęgniarka, nie wróciła jeszcze z urlopu macierzyńskiego. Nora musiała więc spełniać obowiązki lekarza, pielęgniarki, a także rejestratorki i w rezultacie pracowała przez cały dzień bez wytchnienia.

Jednak była nawet zadowolona z nawału pracy, przynajmniej nie miała czasu zastanawiać się nad powrotem Caine'a O'Hallorana, a zwłaszcza nad tym, czy ten fakt wpłynie jakoś na jej życie.

Prowadząc praktykę lekarską w rodzinnym miasteczku, liczącym dwustu pięćdziesięciu mieszkańców, stale spotykała swoich

pacjentów - podczas zakupów w sklepie spożywczym, na zebraniach towarzyskich w parafii, widywała ich przy pracy w przydomowych ogródkach. W konsekwencji pacjenci nie byli dla niej obcymi ludźmi, a ich poważne choroby czy śmierć bardziej ją dotykały, niż gdy pracowała w wielkomijskich szpitalach, przed powrotem do Tribulation.

Wielu jej pacjentów straciło pracę, a wraz z nią prawo do ubezpieczenia zdrowotnego. Byli zbyt biedni, żeby płacić za wizyty u lekarza, i zbyt dumni, by korzystać z pomocy społecznej. Choć przemysł drzewny oraz rybołówstwo stanowiące podstawę egzystencji ludzi w tym północno-zachodnim stanie nie podupadły w takim stopniu jak inne gałęzie gospodarki, to wychodzenie z panującej w całym kraju recesji odbywało się w tej izolowanej w lasach społeczności powoli.

Nora odziedziczyła po babce stuletni dom i w nim urządziła swoją klinikę. Aby ją utrzymać, musiała podjąć się dodatkowego zajęcia. Jeździła do odległego ponad pięćdziesiąt kilometrów szpitala w Port Angeles pracować w pogotowiu.

Klinika była czynna w poniedziałki, środy i piątki, w pozostałe dni Nora pracowała w szpitalu. Z pewnością brakowało jej snu, lecz nigdy nie żałowała swej decyzji, gdyż dzięki dodatkowym zarobkom miała z czego, opłacić rachunki, a opieka w klinice nad członkami rodziny, przyjaciółmi i sąsiadami dawała jej ogromną satysfakcję.

Tego dnia pacjenci zgłaszali się ze stosunkowo niegroźnymi urazami, nic więc dziwnego, że każdy chciał z nią porozmawiać na temat powrotu Caine'a do Tribulation.

- Caine wróci na boisko przed rozgrywkami najlepszych drużyn ligowych - upewniał ją Johnny Duggan, któremu zaaplikowała zastrzyk z antistyny na stan zapalny po użądleniu szerszeni.-Ten chłopak to pistolet.

Nory nie zdziwiła ta rodzinna solidarność kuzyna byłego męża.

Następnie pojawiła się kolejna miłośniczka baseballu i Caine'a O'Hallorana, Ingrid Johansson, właścicielka miejscowej gospody, którą prowadziła od niepamiętnych czasów. Starsza pani naciągnęła sobie mięsień na plecach, gdy sięgała po puszkę stojącą wysoko na półce.

- Gdyby chłopak mógł wrócić do domu wtedy, kiedy go śmigło poharatało, to ten nowy uraz nie byłby żadnym problemem - orzekła, płacąc za wizytę. - Aaa, coś ci przyniosłam, bo w zeszłym tygodniu nie wzięłaś nic od mojego Larsa za lekarstwo.

Wręczyła Norze papierową torbę, nęcącą aromatem pieczonych jabłek i melasy.

- To strudel.

- Dzięki. - Nora pomyślała, że od samego zapachu można utyć. - Wspaniale pachnie.

Od powrotu do Tribulation przybyło jej parę kilogramów, głównie dzięki przynoszonym przez pacjentów miejscowym przysmakom, takim jak bułki z mąki kukurydzianej, kruche ciasto z

brzoskwiniami lub jagodami czy ryby własnoręcznie złowione i do tego oczyszczone.

Najwidoczniej wszyscy wiedzieli, że mało liczy za wizyty, i choć byli jej wdzięczni, duma nakazywała im w ten sposób przynajmniej częściowo wyrównywać rachunki.

- Mogłabyś trochę przytyć. - Oczy Ingrid uważnie taksowały szczupłą figurę Nory. - Nie znajdziesz sobie mężczyzny, jeśli na tych kościach nie przybędzie trochę mięsa.

- Jestem zbyt zajęta, żeby myśleć o mężczyznach.

- Spodziewam się, że to się teraz zmieni, kiedy Caine wrócił - oznajmiła starsza pani.

- Już od wielu lat nie jesteśmy małżeństwem - przypomniała Nora. Nie miała ochoty dyskutować na tak osobisty temat, lecz jednocześnie uważała, że powinna uświadomić mieszkańcom miasteczka, że od dawna nie interesuje się losem byłego męża. A w takim razie od kogo należałoby zacząć jak nie od Ingrid? Chyba nie było w Tribulation nikogo, kto chociaż raz w tygodniu nie zajrzałby do jej gospody. Zwłaszcza w środy, kiedy podawano zapiekanekę, specjalność kuchni.

- Formalnie - zgodziła się Ingrid - ale według mego doświadczenia z uczuciami jest zupełnie inaczej.

Widocznie chciała mieć w tej sprawie ostatnie słowo, gdyż nie czekając na odpowiedź, wyszła z gabinetu.

W ciągu następnych godzin Nora jak zwykle uśmiechała się, kiwała głową, wypisywała recepty i wysłuchiwała kolejnych

opowieści z życia bohatera, który w tym miasteczku się urodził, wychował i znów do niego powrócił. Dwadzieścia lat temu leżące wśród lasów Tribulation, założone przed wiekiem przez szwedzkiego drwala i irlandzkiego robotnika, który układał tory kolejowe na szlaku ciągnącym do oceanu, przechodziło ciężkie czasy.

Potomkowie tamtych pionierów musieli szukać dorywczej pracy w Seattle, Olympii czy Tacoma. Witryny sklepowe zabito deskami, szkole, postawionej jeszcze przez ojców założycieli, groziło zamknięcie, a uczniom codzienne dojazdy autobusem do Port Angeles. Zapanował nastrój przygnębienia.

Tak było do chwili, gdy dzięki pewnemu czternastoletniemu miotaczowi Loggersi z Tribulation wygrali w czasie rozgrywek szkolnych w baseballu mecz z Bombersami z Richland, a grę tego młodzika dziennikarze sportowi oceniali „na miarę mistrzostw kraju”.

Od tego dnia Caine O'Halloran stał się znany jako Złoty Chłopak o Złotym Ramieniu. Talent przyniósł mu sławę, a mieszkańcy rodzinnego miasta pławili się w blasku jego popularności.

Otrzymał stypendium sportowe i poszedł na studia, a potem zaczął grać w -baseball zawodowo. Początkowo w mniej znanych drużynach, lecz udoskonalął ciągle swą technikę i wreszcie doszedł do tego, że w jakiegokolwiek drużynie się pojawił, odnosiła ona zwycięstwo, za które mu oczywiście płacono. Taki scenariusz powtarzał się z monotonną regularnością.

A teraz, jak wynikało z artykułów prasowych, które Nora czytała, „Złote Ramię” przeobraziło się w miedziane, a drużyna Caine'a, nowojorscy Yankeesi nie odnowili z nim kontraktu.

Pojawiły się niezliczone spekulacje na temat przyszłości sławnego gracza. W prasie i telewizji ukazały się wywiady z lekarzami, którzy wprawdzie nigdy nie badali Caine'a, lecz chętnie wypowiadali się na temat jego stanu zdrowia. Prognozy były różne - od zapewnień, że przed jesiennym sezonem rozgrywek ligowych wróci na boisko, po przepowiednie, że jego kariera jest skończona. Publicyści zgadzali się natomiast co do jednego: Caine nie dopuszczał do siebie myśli o rozstaniu z baseballlem.

W tym zresztą nie było niczego dziwnego. Nora z własnego doświadczenia wiedziała, że większość sportowców ma prawdopodobnie genetyczną niezdolność przyjmowania do wiadomości, iż ich ciała mogą być bardziej łamliwe niż ich upór. Albo duch.

Na pół godziny przed zamknięciem kliniki zjawił się bez zapowiedzi Karl Larstrom. Były drwal, dobiegający osiemdziesiątki, przyprowadził ze sobą siedmioletniego prawnuka.

- Gunnar ma haczyk w uchu - oznajmił. - Próbowałem go wyjąć szczypcami do cięcia drutu, ale ani drgnął.

Nora uśmiechnęła się do chłopca, którego wilgotne, niebieskie oczy wyraźnie wskazywały, że płakał.

- Cześć, Gunnar - powitała go - wskakuj tu, na stół, a ja zobaczę, co się da zrobić.

- Uczyłem chłopca, jak zarzucać wędkę - wyjaśniał Karl, gdy Nora próbowała wyjąć haczyk mocno tkwiący w płątku ucha. - Chyba brak mu trochę praktyki. Pewno słyszałaś o Cainie?

W miejscu, gdzie przed chwilą tkwił haczyk, ukazała się czerwona kropla krwi. Nora zdezynfekowała ranę.

- Od paru osób. No, już po wszystkim. - Miała nadzieję, że to zakończy rozmowę.

- Joe Bob widział go koło południa, jak jechał samochodem w stronę miasta.

- Naprawdę? - spytała Nora tonem wskazującym na całkowitą obojętność.

- Tak. - Karl nie był z tych, którzy wyczuwają podobne subtelności. - Takim włoskim, luksusowym, sportowym wozem. - Wyjął z kieszeni kilka banknotów.

- Eric już mi to mówił. - Nora włożyła zmiętoszone pieniądze do pudełka w szufladzie. - Powiedział, że wygląda jak auto Batmana.

- Tak - potwierdził Karl po chwili zastanowienia nad tym określeniem. - Pewnie tak. A mówił ci Eric, że Caine grał w tchórza z Harmonem Olsonem, który wiózł drewno swoim ciągnikiem?

Mimo przyrzeczenia, że będzie puszczać mimo uszu wszelkie nowiny o byłym mężu, uznała, iż ta zasługiwała na uwagę.

- Niemożliwe!

- Joe Bob jechał tuż za Harmonem. - Oczy Karla zalśniły, gdyż zorientował się, że jednak miał w zanadrzu sensację, której Nora nie знаła.

- Sądziłam, że przez cały dzień łowiłeś z Gunnarem ryby.

- Tak było, ale wieść się niesie.

- Opowiedz mi o tym - powiedziała cierpko.

Plotki są w małym miasteczku główną rozrywką, a w tym przypadku kursowały z isticie ponaddźwiękową szybkością.

- Caine jechał środkiem drogi jak niegdyś, kiedy tak szalał po szosach. Z tego, co opowiadał Joe Bob, wyglądało, że nie zamierza Harmonowi ustąpić bez względu na to, co się stanie.

Oczywiście, Caine nie zmienił się ani na jotę. Tego się zresztą Nora po nim spodziewała.

Bezgranicznie lekkomyślny idiota!

Chociaż wmawiała sobie, że los Caine'a zupełnie jej nie obchodzi, to jednak mając w pamięci długie lata pracy na ostrych dyżurach, gdzie usiłowała ratować ludzi, którzy ulegli wypadkom, nie mogła znieść myśli, że ktoś tak ryzykuje własne życie.

- Rozumiem, że Harmon ustąpił.

- Tak. Pewno Caine wstąpi do „Chaty z Bali”, żeby się napić ze starymi kumplami. Mówię, bo może chciałabyś tam wpaść - dodał chytrze.

Tylko tego jej potrzeba-jeszcze jednego swata.

Nora szybko zaprzeczyła, lecz po wyjściu Karla z Gunnarem nie potrafiła powstrzymać dręczących myśli, które krążyły wokół „Chaty z Bali” i Caine'a O'Hallorana.

ROZDZIAŁ 2

Tribulation w stanie Waszyngton przywodziło na myśl schludne miasteczka Nowej Anglii, których tyle namnożyło się na przełomie wieków. Odznaczało się skandynawską czystością - tutaj właściciele sklepów codziennie rano zamiatali chodniki, a ulice były wychuchane jak szwedzkie kuchnie.

Podróżny nie znalazłby w Tribulation eleganckich restauracji, mieściła się tu tylko gospoda, za to aż trzy kościoły, a jedyne kino otwierano wyłącznie w weekendy.

W sobotnie poranki było słycać uderzenia pałek dochodzące z miejscowego klubu baseballowego, zaś w niedzielę rano kościelne dzwony.

Gdy Olaf Anderson, jeden z założycieli miasta, przybył ze swej ojczystej Szwecji do Ameryki, dostał pracę drwala w lasach stanu Maine. Podczas mroźnych, zimowych miesięcy roboty przy wyrębach nie było, wędrował wtedy do stanu Massachusetts albo Vermont i tam zatrudniał się jako majster do wszystkiego. Kiedyś wreszcie dotarł do stanu Waszyngton.

Bardzo spodobał mu się ten region Stanów Zjednoczonych, więc wpadł na pomysł zbudowania kopii nowoangielskiego miasteczka.

Darcy O'Halloran, najlepszy przyjaciel Olafa, szalony Irlandczyk, awanturnik, lubiący w sobotnie wieczory tego popić i potańczyć, utrzymywał, że ta nie ujarzmiona kraina lasów, stromych

górze i głębokich, wyżłobionych przez lodowce dolin wcale nie przypomina Nowej Anglii.

Lecz Olaf miał bardzo wyraźną wizję miasta, jakie pragnął z Darcym założyć.

Ponad sto lat później nadal główną ozdobą Tribulation pozostał duży, pełen zieleni skwer. Przy jednym jego krańcu stała szemrząca fontanna, w przeciwnym końcu, w której niegdyś podkuwano konie. Wieżę z zegarem, wzniesioną przed wiekiem z czerwonej cegły, widać było z odległości wielu kilometrów.

Na początku dwudziestego wieku jeden z rodu O'Halloranów zbudował pośrodku skweru estradę w wiktoriańskim stylu. Z kolei w latach czterdziestych potomkowie Andersonów wystawili swemu protoplaście Olafowi posąg wykonany w drewnie.

Przy skwerze pomiędzy pocztą a remizą strażacką górował nad otoczeniem dwupiętrowy ratusz z szarego kamienia, najwyższa, poza wieżą zegarową, budowla miasteczka. Tablica z brązu upamiętniała rok wzniesienia budynku - 1899 - i dwa nazwiska: Larsa Andersona, ówczesnego burmistrza, i Donovan O'Hallorana, budowniczego.

Chociaż Caine pochodził z rodziny założycieli miasta, zawsze marzył, żeby się stąd wyrwać. Uważał, że jego przeznaczeniem jest życie na szybkich obrotach, a tu, w prowincjonalnym Tribulation, toczyło się ono w wolnym rytmie. Brak widocznych oznak zmian wydawał mu się deprymujący.

Chmury zaczynały się zbierać na ciemniejącym niebie, kiedy Caine przejeżdżał przez miasteczko. Minął najpierw dwa rzędy

murowanych domów w centrum, potem schludne, ozdobione kolorowymi okiennicami domy drewniane, w końcu skręcił w drogę wylotową. Kierowany uczuciami zbyt skomplikowanymi, żeby się w nich rozeznać, zatrzymał ferrari przed kutą z żelaza bramą starego cmentarza. Wyłączył silnik, lecz pozostał w samochodzie z rękami na kierownicy. Zalała go fala wspomnień, które na próżno usiłował wymazać z pamięci. Wrócił do niego obraz małego chłopczyka z okrągłą buzią, zaróżowionymi od rześkiego wiosennego wiatru policzkami, jego śmiejących się ust, umazanych sokiem z truskawek, ukochanej sportowej czapeczki, zawadiacko nasadzonej na kręcone blond włosy, krzepkich nówek ochoczo biegnących zawsze tam, gdzie pozwolono mu iść z jego tatą.

Tata. To słowo rozdzierało serce Caine'a nawet teraz, po tylu latach. Wyjął papierosa, zapalił i zaciągnął się ostrym, lecz w tym momencie kojącym dymem.

Oczywiście cięża Nory Anderson była dziełem przypadku. Popełnił fatalny błąd, wstępując do Tribulation na zabawę z okazji nocy świętojańskiej w czasie podróży do nowej drużyny baseballowej.

Nora, wówczas już studentka medycyny na stanowym uniwersytecie, także przyjechała do domu na weekend. W pierwszej chwili Caine nie poznał małej siostrzyczki swego najbliższego przyjaciela.

Okulary w grubej oprawie, które zawsze nadawały jej wygląd uczonej sowy, zmieniła na szkła kontaktowe. Zniknął aparat prostujący zęby, dzięki czemu teraz ujawniły się w całej swej

olśniewającej bieli. I chociaż Nory nikt nie nazwałby seksowną dziewczyną, to jednak nie pozostał nawet ślad po jej dawnej kanciastości i mimo że była szczupła, we właściwych miejscach rysowały się ponętne zaokrąglenia.

Ta młoda kobieta zasadniczo różniła się od owych zwariowanych na punkcie seksu i baseballu dziewczyn, z którymi Caine miał do czynienia. Nie dość, że była bardzo ładna na swój bezpretensjonalny sposób, to miała także wdzięk i inteligencję. I tak diablo pięknie pachniała!

Zaproponował wtedy, że po zabawie odwiezie ją do domu. Kiedy skręcił w kierunku swej chaty, nie sprzeciwiła się. A gdy wyciągnął do niej ramiona, rzuciła się w nie bez namysłu. Chętna i spragniona.

Następnego dnia rano wyjechał z Tribulation i nie spodziewał się więcej zobaczyć Nory. Przecież miał przed sobą dalszą karierę sportową, a ona studia.

W sześć tygodni później zatelefonowała do niego matka z nowiną, że zostanie ojcem. Wiadomość specjalnie go nie poruszyła, lecz musiał liczyć się z powszechną opinią, że gwiazdy baseballu powinny świecić przykładem amerykańskiej młodzieży. I chociaż Caine'owi nie w smak była rezygnacja z dotychczasowego swobodnego trybu życia, to przecież był świadom, że uwiedzenie i porzucenie niewinnej dziewczyny nie przystaje do obrazu wzorowego sportowca.

Nora nie odnosiła się do propozycji małżeństwa z większym entuzjazmem niż on. Jednak po wielu trudnych dyskusjach, nie bez perswazji obu rodzin, doszli - choć niechętnie - do wniosku, że takie rozwiązanie jest najlepsze ze względu na mające przyjść na świat dziecko. Po jego urodzeniu mieli się rozwieść i prowadzić niezależne życie.

Nie spodziewał się tylko, że Nora postawi mu pewien warunek - żadnego zaangażowania uczuciowego w związku nie będącym niczym innym niż prawnym wybiegiem. Do Caine'a nie bardzo przemawiał pomysł pozostawania we wspólnocie małżeńskiej i jednocześnie w celibacie, ale nie oponował. Spełniał swe ograniczone obowiązki rad nierad. I chociaż może nie wybrano by go na męża roku, to z pewnością nigdy Nory nie zdradził wbrew jej częstym i gniewnym zarzutom.

Po para miesiącach w życie Caine'a wtargnął z impetem Dylan - całe trzy kilogramy, dziewięćdziesiąt sześć deka-gramów, siedem gramów - i ojciec zakochał się w swym synu po uszy.

Pochylił głowę nad kierownicą i przycisnął palce do powiek, jakby chciał powstrzymać przyływ zbyt bolesnych wspomnień. Lecz niezatartych obrazów nie dało się usunąć z pamięci.

Dylan miał już półtora roku, kiedy Caine'owi zaproponowała kontrakt najlepsza w kraju liga zawodowego baseballu. Zapakował do samochodu skrzynkę piwa, coś na przekąskę i syna. Wyruszył w kierunku swej chaty, aby tam z kolegami z klubu przy pokerze uczcić dzień, w którym spełniły się jego marzenia.

- Ale bomba, Dylanie - powiedział, przymocowując chłopczyka do samochodowego dziecięcego fotelika. - Twój tata będzie wielkim ligowcem! Co ty na to?

- Wielim owciem! - Dylan klaskał w rączki, ciesząc się razem z ojcem.

Caine roześmiał się. Boże, jak on kochał swego syna!

Dwie godziny później Dylan już nie żył. Odszedł na zawsze okrutnym zrzędzeniem losu z winy pijanego kierowcy. Życie Caine'a w jednej chwili legło w gruzach.

Nawet teraz, po upływie dziewięciu lat, nie umiał się pogodzić z utratą syna.

Zaklął z wściekłością, zdusił papierosa w popielniczce i uruchomił silnik. Opony aż zapiszczały. Znak o ograniczeniu szybkości zignorował. Cholera, musi się napić! I to zaraz. Nie minęło pięć minut, a ferrari hamowało na podjeździe „Chaty z Bali”, rozpryskując żwir spod kół.

„Chata z Bali”, podobnie jak wszystko w Tribulation, nie zmieniła się. Oley Severson stał za barem, jak zawsze od niepamiętnych czasów. Caine zatrzymał się na chwilę w progu, żeby przyzwyczać oczy do przyćmionego światła, które dyskretnie kryło smugi na szklankach. Tutejszym gościom oczywiście to nie przeszkadzało, ale pojawiało się tu coraz więcej turystów, a jak wiadomo, ludzie z miasta miewają fanaberie.

- Wejdz, chłopcze - powitał Caine'a Oley - wszyscy tu czekamy, by usłyszeć o twojej potyczce z Harmonem Olsonem.

Wszyscy - to było niewątpliwie właściwe słowo, pomyślał Caine, rozglądając się po sali, gdyż chyba cała męska populacja miasteczka obsiadła stołki przy barze i obdrapane, drewniane stoły.

- Wieści szybko się rozchodzą - zauważył.

- Joe Bob, o ten - Oley wskazał głową rudowłosego mężczyznę pijącego piwo - jechał za Harmonem i jak cię zobaczył, w te pędy tu wrócił z nowiną,

Caine uśmiechnął się do dawnego szkolnego kolegi. Joe Bob Carroll był jego łapaczem w drużynie Loggersów. Podszedł do niego i poklepał go po plecach,

- Wydałeś mi się znajomy, ale za szybko jechałem, żeby ci się przyjrzeć.

- Prułeś jakby ci brakowało piątej klepki - odparł Joe z uśmiechem. - Gdyby Harmon nie stchórzył w ostatniej chwili, niewiele by zostało z ciebie i z tego, fikuśnego wozu.

Caine wspiął się na barowy stołek. - Ale stchórzył - stwierdził.

- Na to wygląda - zgodził się Joe. - Muszę cię ostrzec Harmon bardzo sobie ceni swój nowy ciągnik. Nie chciałbym być w skórze gościa, przez którego ma teraz na nim rysy po żwirze.

Zgodny pomruk zgromadzonych wskazywał, że wszyscy oni mieli już do czynienia z braćmi Olsonami.

- Nie ma się co martwić na zapas - odezwał się Oley i posunął po blacie w kierunku Caine'a kufel z piwem. Caine upił duży łyk lodowatego napoju, otarł z ust pianę wierzchem dłoni i zapalił papierosa.

- Dobrze, że znów jesteś w domu - zwrócił się do Caine'a sąsiad Joe.

- Cześć, Johnny. - Caine powitał kuzyna. - Rzeczywiście dobrze być w domu. - Skinął głową w kierunku Dana Andersona, który kiedyś był jego szwagrem, a pozostał przyjacielem. - Hej, Dan.

- Witaj, Caine, dobrze, że wróciłeś. Chodzą słuchy, że Yankeeści cię odprawili - zaczął ostrożnie. Przed przybyciem Caine'a ciągnęli słomkę, kto pierwszy podejmie ten drażliwy temat i Danowi przypadła najkrótsza. - Bardzo nam przykro.

Caine wychylił do końca piwo i podsunął Oleyowi pusty kufel do napełnienia.

- Żaden problem - odrzekł. - Ramię z każdym dniem jest sprawniejsze. Myślę, że będę na boisku przed sezonem rozgrywek najlepszych drużyn ligowych.

- A w jakiej? - odważył się zapytać ktoś z drugiego końca baru.

- W jakiegokolwiek, której zależy na zwycięstwie. - Caine zmierzył śmiałka groźnym spojrzeniem.

- Wiesz przecież - odezwał się Tom Anderson, bliźniaczy brat Dana - że my wszyscy ci kibicujemy.

Szmer głosów potwierdził tę deklarację.

- Słuchaj - Joe Bob dzielnie przesuwiał się na coraz głębsze i pełne wirów wody konwersacji - a czy to prawda, co piszą w gazetach, że elektryczna wiertarka poraziła cię prądem?

- Głupio się przyznać, ale tak właśnie się stało - odrzekł Caine. - Początkowo ramię było osłabione, ale ćwiczę i sprawność wraca. -

Upił łyk piwa. Rozmowa o wypadku dziwnie wzmogła jego pragnienie. - Jak przyjdzie czas, na sto procent będę gotowy.

- Tak orzekli lekarze? - Joe Bob zaryzykował kolejne pytanie.

Caine ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się pianie osiadłej na brzegu kufła.

- Wiesz, jacy oni są - odparł po chwili. - Przesadnie ostrożni, żeby w razie czego nie wylądować w sądzie. Ale ja znam swoje ciało lepiej niż ci wszyscy cholerni lekarze i mówię, że dochodzę do formy.

Wychylił piwo, jakby szukając w alkoholu uspokojenia.

- Urazy są nieodłączną częścią sportu - powiedział burkliwie. - Każdy to wie. Tyle tylko, że sportowi dziennikarze, menażerowie, ba, do licha, nawet kibice prześcigają się, kto pierwszy wykracze koniec kariery sportowca.

Salę obiegły współczujące szepty. Caine postawił kufel na barze. Zbyt gwałtownie i głośno.

- Wycofam się tylko wtedy, gdy sam będę tego chciał. Jeżeli gra nie będzie mnie bawić albo kiedy przestanę zwyciężać. - Ton jego głosu wskazywał, że ta alternatywa nie wydaje mu się możliwa. - I żaden menażer ani pismak, ani sakramencki konował za mnie nie podejmie decyzji.

Zapadła cisza.

- Halo, Oley — zawołał Caine, gdyż uświadomił sobie, że to przez niego zapanował nagle ponury nastrój - może rozlejesz wszystkim piwa dla uczczenia powrotu syna marnotrawnego?

W ciągu następnych kilku godzin Caine stawiał piwo za piwem swoim kibicom z rodzinnego miasta i był zadowolony, że tutaj nie musi udowadniać swej męskości rzutem piłki pędzącej z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Dużo, dużo później otworzyły się drzwi.

Butelki, szklanki i kufle powoli odstawiano na blaty, gdyż oczy wszystkich gości „Chaty z Bali” zwróciły się na Harmona Olsona, który najwidoczniej dowiózł już, gdzie trzeba, swój ładunek drewna. Obok stał jego brat, Kirk.

Patrząc na Harmona, Caine żałował, że pamięć nie spletała! mu figła. Starszy z Olsonów był tak potężnym mężczyzną, jakim go zapamiętał. A Kirk, nie do wiary, jeszcze potężniejszym.

Bracia Olsonowie, jak wielu innych w barze, od młodości zmagali się w lasach z kilka razy od nich cięższymi kłocami drewna. Harmon z wiekiem wprowadzie przytył, lecz jego muskuły pod rękawami koszuli w czerwono-czarną kratę nadal rysowały się jak otoczaki, a ramiona były wielkości wędzonych szynek. Długie, grube palce mogły chwycić ludzką szyję z taką samą łatwością jak trzonek siekiery. Szare oczy przypominały twarde granity, broda była kłaczasta i nastroszona.

Kirk miał włosy ciągle jasne i kręcone, twarz ogorzałą od pracy na powietrzu, wielkie bary i potężne pięści; wyglądał nie mniej groźnie niż wikingowie, od których się wywodził.

- Twoje było to przekłete ferrari, co, O'Halloran? - Donośny, chrapliwy bas zabrzmiał jak ryk łosia w okresie godowym.

- Przyznaję się do winy.

Caine z westchnieniem wstał z barowego stołka. Zawsze uważał, że jest bardziej typem kochanka niż wojownika i zwykle udawało mu się przeprowadzić pertraktacje i zapobiec bójce. Niestety, nie wyglądało na to, żeby Harmon i Kirk przyszli tutaj na towarzyską pogawędkę.

- Przez ciebie mój ciągnik o mało się nie przewrócił - wrzasnął Harmon. Zaczął podwijać rękawy koszuli.

- Słuchaj, Harmon, naprawdę bardzo mi przykro - powiedział Caine z przepaszającym uśmiechem.

Bracia Olsonowie ruszyli w jego kierunku z groźnymi minami. Caine usłyszał szuranie nóg usuwających się im z drogi mężczyzn.

- Przez ciebie ciągnik mojego brata ma rysy na boku - rzekł Kirk najwyraźniej nie wzruszony słynnym uśmiechem Caine'a.

- Tak, zachowałem się głupio - przyznał Caine. Dobrze wiedział, że furia Harmona niewiele ma wspólnego z kilkoma rysami na farbie. Najważniejsze, by w oczach całego miasta nie wyszedł na tchórza.

- Oczywiście jestem gotów pokryć wszelkie szkody... Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów po portfel, lecz w tym momencie Harmon wydał ryk, pochylił siwą głowę jak szarżujący byk i walnął nią zaskoczonego Caine'a w brzuch.

- Ch...cholera, H...Harmon, t...to nie jest sposób... -Caine z trudem łapał powietrze. Kątem oka zobaczył zaciśniętą pięść i poczuł ogłuszający cios zadany mu w skroń. To pewno Kirk go uderzył, bo Harmona miał przed sobą. Zatoczywszy się, zdołał trafić w perkaty

nos Harmona i runął na niego, ale Kirk odciągnął Caine'a za włosy i powalił na ziemię mocnym uderzeniem. To rozpoczęło ogólną bijatykę. Niektórzy, kierowani rodzinną lojalnością lub niechętni sławnemu baseballiście, stanęli po stronie Olsonów, reszta, z Joe Carrollem i braćmi Andersonami na czele znalazła się w obozie Caine'a. On tymczasem, leżąc twarzą do ziemi, poczuł nagle okuty but na swoich żebrach. Zobaczył wszystkie gwiazdy przed oczami, żołądek podjechał mu do gardła. Rozwścieczony podniósł się na chwiejnych nogach i korzystając z okazji, że bracia Andersonowie zajmowali się Kirkiem, zaczął grzmocić Harmona, stosując bokserską technikę, której się nauczył w college'u. Prawy prosty, lewy sierpowy. Prawy prosty, lewy sierpowy.

Harmon nagle osłabł i osunął się na ziemię.

- W porządku, chłopaki, do diabła, przestańcie, już wystarczy! - krzyknął Caine.

Oley wyciągnął spod baru dubeltówkę, którą trzymał na wszelki wypadek, i wystrzelił w górę ślepy nabój. Poskutkowało.

- No, chłopcy, zabawiliście się. Może teraz wróćcie do piwa, zanim zacznę wam wystawiać rachunki za połamane meble.

Harmon podniósł się z trudem. Caine, wsparty o bar, trzymał pięści w pogotowiu. Ku jego zdumieniu Harmon wyciągnął podrapaną rękę.

Jestem gotów zawrzeć rozejm, jeżeli chcesz.

Caine z ogromną ulgą przyjął ten niespodziewany gest dobrej woli. Gdy uchwycił wyciągniętą dłoń Harmona, Kirk walnął Caine'a

w potylicę czymś o wiele twardszym niż pięść. Wzrok Caine'a przesłoniła czerwona mgła, pod czaszką rozdzwoniły się dzwony. Upadł. Kiedy ponownie otworzył oczy, usta miał pełne trocin z podłogi i kręciło mu się w głowie.

- Caine? Nic złego ci się nie stało?-Męski głos dochodził jakby z głębin morza. - Do licha, chłopie, odpowiedz - pytał zdenerwowany Joe Bob.

Caine podciągnął się na rękach i kolanach i pozostał przez dłuższą chwilę w tej pozycji; wyglądał jak zdyszany koń.

Johnny Duggan kucnął przy nim. Kiedy położył mu dłoń na ramieniu, Caine wzdrygnął się.

- Chcesz, żebym poszedł po lekarza? - spytał Johnny.

- Nie. - Caine zamknął oczy i odetchnął głęboko kilka razy. Gdy je otworzył, widział trochę lepiej. Koszulę miał całą moką, cuchnęła whisky. - Nie, wszystko dobrze.

Doczołgał się do najbliższego stolika, uchwycił się ciężkiego, dębowego krzesła i powoli wyprostował.

Otoczające go twarze były zamazane. Jeszcze raz bardzo głęboko odetchnął, twarze stały się wyraźniejsze, lecz teraz miał uczucie, jakby piersi palił mu ogień. Rozejrzał się po barze i zauważył, że bracia Olsonowie na szczęście już wyszli.

- Co się stało z tymi goryłami?

- Jak Kirk zdzielił cię butelką, Oley zagroził, że zadzwoni po szeryfa. Wtedy braciszekowie zdecydowali, że mają ważne sprawy do załatwienia.

Więc dlatego śmierział niczym pijak wracający z tygodniowej popijawy. To ta butelka, pomyślał. Próbował pomacać usta. Górna warga była spuchnięta i rozcięta, ale wydawało się, że zęby są w porządku. I nos także.

- Caine, jesteś biały jak prześcieradło - stwierdził Tom Anderson.

- Nie mówiąc już o wyglądzie twojej przystojnej facjaty - dodał Dan. - I kołyszysz się jak stary świerk, co lada chwila padnie. Chodź, bracie, zabiorę cię do kliniki.

- Macie teraz tutaj klinikę? - Dobre wiadomości, bo wątpił, czy z tym bolącym żołądkiem byłby w stanie dojechać do szpitala krętymi, górskimi drogami prowadzącymi do Port Angeles, - Od kiedy?

- Odkąd Nora sześć miesięcy temu wróciła tu z Bronxu i otworzyła ją w starym domu babci - odparł Tom.

Podtrzymywany przez braci Andersonów, potwornie obolały, Caine szedł powoli w stronę drzwi. Usłyszawszy ostatnie zdanie, zatrzymał się.

- Chłopaki, to chyba nie jest dobry pomysł.

- Najpierw popatrz w lustro - poradził Tom.

- Nic się nie martw - pocieszał go Johnny. - Dziewczyna jest świetnym lekarzem. Kiedy pożałowały mnie szerszenie, ona mi pomogła. Na pewno potrafi cię połatać.

- Czuję się dobrze. - Caine usiłował nie zwracać uwagi na ogień płonący w klatce piersiowej. - Potrzeba mi tylko czegoś mocnego i trochę wypoczynku.

- Musi cię zbadać lekarz - upierał się Dan i dodał po cichu: - Nie martw się, o ile nam wiadomo, Nora nie wraca już do przeszłości.

A jednak, mimo tego optymistycznego zapewnienia, Caine nie był w stanie zapomnieć wyrazu jej bladej twarzy i lodowato zimnego spojrzenia, kiedy powiedziała mu, że jest odpowiedzialny za śmierć ich syna i że mu tego nigdy, przenigdy nie wybaczy.

- I tak nie sądzę... - Świat znowu zawirował, więc wciągnął głęboko powietrze w płuca. - Ooo, do diabła.

Patrząc na blednącą, pokiereszowaną twarz Caine'a, na jego pełne bólu oczy, Dan podjął decyzję.

- I tak przecież kiedyś ją spotkasz - powiedział i otworzył drzwi.
- Będziesz miał to z głowy.

ROZDZIAŁ 3

To był długi dzień. Właśnie wyszedł ostatni pacjent. Nora szykowała się do zamykania kliniki, gdy nagle otworzyły się drzwi i zobaczyła stojącego w progu Caine'a O'Hallorana.

Przystojna twarz była okropnie pokaleczona, górna warga rozcięta, prawe oko opuchnięte i podsinione.

Podtrzymywany przez dwóch silnych blondynów, bardzo dobrze jej znanych, ledwie trzymał się na nogach.

Jak jej rodzeni bracia mogli popijać z Caine'em! A do tego mieli czelność przyprowadzić go tutaj, żeby się nim zajęła po jakiejś pijackiej burdzie. Przeciagnęli strunę!

Opuchnięte prawe oko było prawie zamknięte, ale lewe, błękitne niczym poranne niebo, rzucało diabelnie męskie spojrzenie, które kiedyś, w innym świecie, w innym czasie, potrafiło wprawić ją w drżenie.

Rozcięta warga złożyła się do chłopięcego uśmiechu, tak dobrze jej znanego.

- Jestem pewien, że pani doktor nie miała zamiaru tak wcześnie zamykać - powiedział przybysz niskim, zmysłowym głosem - bo właśnie zgłasza się następny pacjent.

Doznała nagle wrażenia, że czas się cofnął: Caine i jej bracia byli znowu chłopcami - jakby stała przed nią hultajska trójka wdająca się w bijatyki i wyznająca zasadę "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego".

- Danie Anderson - Nora zwróciła się do brata, gdyż nie była jeszcze gotowa stawić czoła Caine'owi - sądziłam, że wydorostałeś. A ty - spytała Toma - jak wytłumaczysz się przed Karin z podbitego oka?

Brat, zakłopotany, wzruszył ramionami.

- Chyba nie zechcesz potwierdzić, jeżeli jej powiem, że uderzyłem się o wystającą belkę,

- Nie zechcę. - Nora skierowała kroki do gabinetu lekarskiego. Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie i podążyli za nią.

- I tak nic by ci z tego nie przyszło - otworzyła lodówkę i wyjęła z niej małe opakowanie - bo jeszcze przed śniadaniem jutro rano całe miasto będzie wiedziało, że bracia Andersonowie brali udział w jakiejś burdzie razem z tym wcielonym diabłem Caine'em O'Halloranem. Masz - wręczyła mu zapakowany okład - przyłóż sobie w domu, oko będzie paskudnie wyglądało, ale przynajmniej nie spuchnie.

Wzięła dłoń drugiego brata i zmarszczyła brwi na widok poobdzieranych ze skóry kłykci.

- Jeszcze tydzień będzie cię bolało - orzekła.

- Nie musisz mówić takim zadowolonym tonem - powiedział z wyrzutem Dan.

- Nie zasługujecie na współczucie. Bić się w waszym wieku!

- Więc uważasz, że powinniśmy spokojnie czekać, aż O'Halloranowie zabiją Caine'a?

- Uważam, że odpowiedzialni mężczyźni, mężowie i ojcowie, nie wdają się w burdy w szynku.

Spojrzała na Caine'a zimnym, pełnym nagany wzrokiem.

Patrzyła na niego nieco dłużej po raz pierwszy od chwili, gdy się pojawił.

- To, że ty się w nią wmieszałeś - ciągnęła lodowatym tonem - wcale mnie nie dziwi. Pierwszy dzień w mieście i już masz kłopoty.

- Noro, to Harmon zaczął - rzekł Dan.

- Tylko ciekawe, kto go sprowokował? Czy to przypadkiem nie pewien sportsmen o ilorazie inteligencji niższym od rozmiaru kołnierzyka jego koszuli zabawiał się na drodze w tchórza z Harmonem i o mało nie spowodował śmiertelnego wypadku po to tylko, żeby w ten idiotyczny sposób potwierdzić swój wizerunek prawdziwego mężczyzny?

- No, nie - sprzeciwił się Caine - czy nic już nie pozostało z zasad głoszonych przez Oslera, że lekarz nie osądza, tylko każdemu niesie pomoc?

Sir William Osler był sławnym lekarzem, żyjącym na przełomie wieków, którego opiniami o obowiązkach wobec pacjentów Nora kiedyś się entuzjasmowała i często cytowała je Caine'owi. Była wówczas pewna, że nie słyszał ani jednego jej słowa zajęty wcieraniem w swą cholerną rękawicę jakiegoś cuchnącego tłuszczu.

- Dziwne, że to pamiętasz. - Zdumienie złagodziło nieco jej złość.

- Och, Noro, niczego nie zapomniałem z tamtych dni -rzekł miękko.

W pokoju zapadła niezręczna cisza.

- Cóż, siostrzyczko - odezwał się Dan ze sztucznym ożywieniem. - Teraz, kiedy Caine jest już w twoich doświadczonych rękach, chyba mogę wracać do pracy.

- A ja obiecałem Karin, że po drodze kupię mleko i chleb - oznajmił Tom.

- Nie bądź dla niego zbyt surowa, Noro. Ci Olsonowie zawsze nieczysto walczą - powiedział Dan.

- Caine dostał od Kirka w głowę butelką pełną whisky, gdy podawał Harmonowi rękę na zgodę - dodał Tom.

- To dlatego cuchniesz jak gorzelnia. - Nora zmarszczyła nos.

- Zatroszcz się o niego, siostrzyczko - poprosił Dan, po czym bracia wyszli z gabinetu.

- Cóż, chyba trzeba będzie się do tego zabrać - powiedziała Nora bez zbytniego zapału. - Poczekaj tu, przyniosę trochę lodu na to oko.

Wyszła spodziewając się, że on zostanie w gabinecie.

Tymczasem Caine ruszył za nią do kuchni, gdzie za dawnych czasów z Tomem, Danem, a czasem też z młodziutką Norą - tą w okularach i najczęściej z nosem w książce - zasiadali przy stole, żeby zajadać ciasteczka i popijać mleko od łaciatej krowy babci Anderson.

Na kremowej tapecie tak jak dawniej kwitły czerwone kwiaty kielichowca, a lśniące miedziane rondle wisiały ponad starym drewnianym blatem, wokół którego stały te same sosnowe krzesła.

Tylko na stole zamiast ciasteczek i mleka leżały medyczne książki, co świadczyło o tym, że Nora nadal czyta przy jedzeniu.

- Niemal czuję zapach chleba i ciasteczek - odezwał się Caine.

- Zaszły pewne zmiany - odparła, wyjmując kostki lodu z zamrażarki.

- Opowiedz mi o tym - powiedział cicho. - Było mi bardzo przykro, kiedy dowiedziałem się z listu Dana o śmierci twojej babci. Była wspaniałą damą. Ogromnie ją lubiłem.

- Ona ciebie też. - Szorstki ton Nory wskazywał, że nie wie, skąd się brała ta sympatia.

- Dan wspominał, że twoi rodzice wiodą teraz cygańskie życie.

- Tak. Tata przeszedł na emeryturę i przekazał młyn Tomowi.

Któregoś dnia przyjechał do domu z przyczepą kempingową. Dwa tygodnie później razem z mamą wyruszyli w drogę. Już minął rok od ich wyjazdu, nigdzie nie zagrzali miejsca na dłużej niż miesiąc. W zeszłym tygodniu telefonowali z jakiegoś miasta o nazwie Tortilla Flats w Arizonie. Teraz jadą do Yellowstone Park.

- Chyba nadrabiają stracony czas. Nie pamiętam, żeby twój tata brał sobie jakieś wolne dni, a tym bardziej urlop. - Caine pomasaował w zamyśleniu brodę z parodniowym zarostem. - Z wyjątkiem dnia, w którym Dylan przyszedł na świat.

I dnia, w którym umarł, dodał w duchu ponuro.

Dla Nory powrót Caine'a do Tribulation był wystarczająco denerwujący. Nie zamierzała do tego jeszcze wspominać z tym człowiekiem swojego dziecka.

- Proszę - podała mu zawinięte w gazę kostki lodu. - Jeżeli już skończyłeś ze wspomnieniami, to chciałabym cię zbadać.

Caine z niezwykłą dla niego potulnością poszedł za nią do gabinetu. Kiedyś to pomieszczenie było przytulnym salonikiem babci Anderson. Teraz pośrodku stał stół lekarski, obok stolik na narzędzia, przy ścianie biała umywalka- Poza tym było tam jeszcze małe biurko, jedno z kuchennych krzeseł oraz stary, dębowy kredens, w którym trzymano leki i instrumenty medyczne.

Zamiast unoszącej się kiedyś w powietrzu odurzającej woni róż, ulubionych kwiatów Anny Anderson, rozchodził się zapach środków dezynfekujących.

Za oknem wychodzącym na różany ogródek Anny i niezbyt odległe lasy Caine dostrzegł rodzinę pasących się jeleni; ich brązowopłowe ubarwienie zlewało się niemal z konarami drzew.

- Noro, popatrz!

Zdziwiona miękkim tonem jego głosu spojrzała przez okno. Jej usta rozchyliły się nieświadomie w łagodnym uśmiechu.

- Przychodzą codziennie o tej porze. W zeszły piątek przyprowadziły ze sobą dzieci.

- Gdzie one są, nie widzę żadnych jelonków.

- Tam, za świerkiem, dwa. — Wskazała ręką i niechcący dotknęła twardych jak skała mięśni jego ramienia. Cofnęła dłoń, jakby się sparzyła.

Caine udawał, że nie spostrzegł tego gestu.

- Teraz widzę. W dziedzinie kamuflażu natura dobrze się spisała. Boże, jak mi tego brakowało - powiedział z głębokim westchnieniem.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Jeśli naprawdę tak uważasz, to chyba będę musiała zaraz zbadać obrażenia twojej głowy. Kiedyś potrafiłeś mówić tylko o tym, jak to baseball pomoże ci wyrwać się z Tribulation.

- Chyba tak - przyznał niechętnie.

Oczywiste, że tego nie zapomniała. Przeczesał palcami włosy i westchnął.

- A jednak gdy wszystko zaczęło się sypać, wróciłem do domu. Jakbym znalazł już odpowiedzi, których szukałem.

- Na jakie pytania?

- Na mnóstwo pytań. Sam nie wiem. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - W każdym razie, nie ma jak w domu.

- No, czas na badanie - powiedziała Nora. Umyła ręce nad umywalką i wytarła papierowym ręcznikiem. - Więc gdzie cię boli?

- Wszędzie - pospieszył z odpowiedzią, ciągle przytrzymując lód przy oku. - Chyba najgorzej piersi i tył głowy.

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

- Zdejmij koszulę i dżinsy i kładź się na stole. Zobaczymy, jakich szkód narobiłeś sobie tym razem.

- To Harmon i Kirk narobili mi szkód - zaproponował. - Byłem gotowy zapłacić za naprawę ciągnika, ale Harmon nie chciał o tym słyszeć.

- Może to cię nauczy, że nie wszystko da się kupić - odparła oschle. - Zawołaj mnie, jak się rozbierzesz. - Wyszła z pokoju, zamykając dość głośno drzwi.

Caine, skrzywiony z bólu, ściągnął zaplamioną krwią koszulę, z trudem udało mu się zdjąć buty i spodnie. Tylko w bawełnianych, białych slipkach, mrużąc pod nosem przekleństwa, jakoś zdołał się podciągnąć na stół.

- Już! - zawołał w stronę kuchennych drzwi.

Kiedy Nora wróciła do gabinetu, pomyślała, że jak zwykle doniesienia prasowe mijały się z prawdą. Dziennikarze ogłosili, że Caine O'Halloran miał już za sobą karierę sportową. Tymczasem ciało jej byłego męża nadal było ciałem mężczyzny w kwiecie wieku i w pełni sił. Dokładnie takie, jakie Nora zapamiętała - same mięśnie i ścięgna.

Przemknęło jej przez głowę, że jest również bardzo pociągające. Skarciła się w duchu i zacisnęła usta.

- Wyglądasz, jakby cię muł skopał - powiedziała po chwili.

Naprawdę czuł się tak, jakby przebiegło po nim całe stado mułów, lecz prędzej by umarł, niż się do tego przyznał.

- Wołałbym chyba muła od braci Olsonów.

Nora przypomniała sobie nagle, że jest lekarzem, a ten niemal nagi mężczyzna jedynie jej pacjentem, więc przystąpiła do badania. Po rozbitej butelce whisky została cięta rana nagłowię.

- Trzeba będzie zszywać - orzekła.

Spotkanie z Norą okazało się mniej stresujące, niż się spodziewał, prawdopodobnie za sprawą piwa, które wlał w siebie po południu, powodującego mimo dojmującego bólu stan miłego oszołomienia.

- Czy mogę się sprzeciwić, skoro lekarz uważa, że potrzebne są szwy?

Coś takiego. A przecież kiedyś sprzeczała się o wszystko. No, prawie o wszystko. Jedna dziedzina była pod tej zasady wyłączona - ich pożycie seksualne. Kiedy już Nora zrezygnowała z celibatu, pod tym względem ich małżeństwo było udane. Więcej niż udane. Niestety, nie mogli spędzać całego życia w łóżku.

Wyjęła z kieszeni fartucha latarkę diagnostyczną.

- Przesuwaj wzrokiem za źródłem światła.

Jego niebieskie oczy wodziły w lewo, w prawo, w dół i do góry, a Nora obserwowała reakcję źrenic. Poza opuchniętą powieką, którą musiała unieść, nie stwierdziła żadnych wewnętrznych uszkodzeń.

Sprawdziła jeszcze przez uciskanie szyjny odcinek kręgosłupa i przystąpiła do badania klatki piersiowej.

- Będziesz miał paskudne siniaki.

- Powinnaś obejrzeć resztę towarzystwa.

Skrzywiła się na te nonszalanckie słowa i przyłożyła stetoskop do jego potłuczonej piersi. Oddech wskazywał, że nie doszło do przebiccia płuca przez żebra, co było całkiem prawdopodobne, zważywszy na siłę braci Olsonów.

- Powiedz, jak cię zboli. - Zaczęła uciskać lewe ramię.

Przesunęła palce ponad lewy sutek i uciskała także to miejsce.

Dłonie miała białe, szczupłe, palce długie i wąskie, paznokcie zadbane, lecz nie polakierowane. Caine pamiętał czas, kiedy te wrażliwe ręce z motylą delikatnością błędziły po jego piersi. Teraz ich dotyk był wyłącznie profesjonalny.

Gdy wymacała uszkodzone żebro, Caine wciągnął z sykiem powietrze.

- Tu boli?- Nacisnęła mocniej.

Sadystka. Chyba robi to specjalnie, żeby cierpieć.

- To nie jest raczej miejsce czułe na pieszczoty, kochanie - odrzekł przez zaciśnięte zęby.

- Musimy zrobić prześwietlenie. Żebro jest prawdopodobnie pęknięte, jednak trzeba sprawdzić, czy nie zostało złamane i nie uszkodziło płuca.

- Noro, ja nie mam siły na podróż do Port Angeles.

- Nie musisz. Jeszcze w zeszłym miesiącu sprowadziłabym ambulans, ale masz szczęście, O'Halloran. Mój nowy, przenośny rentgen został zainstalowany tydzień temu.

- Jestem pod wrażeniem i wielce zobowiązany łaskawej pani.

Nie miał pojęcia, ile taki aparat kosztuje, lecz na pewno nie był tani. Skoro robiła tak duże inwestycje, z pewnością zamierzała pozostać w Tribulation. Co go zresztą wcale nie zdziwiło, bo zawsze lubiła rodzinne strony. To on pragnął przenieść się do dużego miasta i prowadzić bardziej ekscytujące życie. Jego głos był na poły

zartobliwy, na poły pieszczotliwy. Oczy, pociemniałe i czujne otwarcie wpatrywały się w jej twarz.

Dłoń Nory spoczywała na jego piersi. Czują pod palcami silne, miarowe bicie serca. Przez moment ogarnęło ich oboje nieoczekiwane, nie chciane podniecenie. Przyglądali się sobie w milczeniu.

Włosy Nory, niegdyś zaplatane w warkocz opadający na plecy jak gruba, konopna lina, teraz były ścięte do ramion. Jaśniejsze pasma lśniły jak promienie słoneczne na świeżym śniegu. W odróżnieniu od reszty członków rodziny, których oczy były typowo skandynawskie, niebieskie, jej miały piwny kolor. Jednym z niewielu ustępstw na rzecz próżności była czarna kreska, malowana ponad linią gęstych, jasnych rzęs.

Wzrok Caine'a powędrował w dół do ślicznie zarysowanych ust, których nadal zapominała szminkować. Zdradziecka pamięć podsunęła mu wspomnienie ich smaku. Poraziło go pożądanie - przypomniał sobie, jak niegdyś te miękkie i gorące usta szeptały jego imię w chwilach namiętności.

Nora usiłowała wmawiać sobie, że nie wzruszają jej opadające w nieładzie na czoło Caine'a ciemnoblond włosy, kontrastujące z mocną opalenizną. Zarys podbródka znamionował dumę i wojowniczość, szerokie ramiona i muskularna klatka piersiowa - siłę. Jego nadal płaski brzuch wskazywał, że stosunkowo niedawno zaczął gustować w mocno zakrapianych hulankach, o których ochoczo donosiła prasa.

Jej wzrok objął z przygnębiająco nieprofesjonalnym zainteresowaniem owłosienie na piersi znikające pod slipkami. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i sama się przed nim w duchu ostrzegała, lecz w ciągu tej długiej chwili ona także przypomniała sobie wspólne miłosne uniesienia.

Rana na głowie zaczęła znowu krwawić. Nora podała Caine'owi sterylny tampon.

- Trzymaj to mocno - nakazała - i leż spokojnie. Badala go dalej, uciskając piersi mocniej, niż to było konieczne, aż wzdrygnął się z bólu:

- Robisz to celowo.

- Poskarż się Krajowej Komisji Lekarskiej - rzuciła ostro. -

Chyba przeżyjesz - orzekła po zakończeniu badań i opatrzeniu ran. - A teraz zrobię ci rentgen.

Poszedł za nią do sąsiedniego pokoju. Założyła ołowiany fartuch i wydała mu polecenie:

- Stań tutaj. Klatka piersiowa przy ekranie. Kiedy ci powiem, nabierz powietrza w płuca i nie oddychaj.

Oboje wiedzieli, że to będzie bolesne.

- Nie przypominam sobie, żebyś była taką sadystką.

- To dziwne - przygotowywała aparat do zdjęć - przysięgłabym, że dopiero co mówiłeś, że wszystko pamiętasz. Nie ruszaj się. W porządku. Jestem gotowa. Głęboki oddech. Zatrzymać. - Aparat zawarkotał i wyłączył się.

- Wracaj do gabinetu. Przyjdę do ciebie za chwilę.

W gabinecie Caine usiadł na brzegu stołu i rozejrzał się. Dyplomy w drewnianych ramkach świadczyły pochlebnie o kwalifikacjach zawodowych Nory. Uwagi Caine'a nie uszło, że na dyplomach wykaligrafowane było nazwisko Anderson, co go właściwie nie zdziwiło, gdyż żadne z nich tak naprawdę nie myślał o niej jako o pani Caine'owej O'Halloran.

- Zrobione. - Nora wróciła do gabinetu. - Zobaczymy, co my tu mamy.

Zawiesiła zdjęcia na podświetlonym negatoskopie.

- Tak jak myślałam. - Pokiwała głową z satysfakcją. - Masz pęknięte żebro.

- Nie musisz mówić takim tonem.

- Trudno być zadowolonym, kiedy się ma pacjenta, który z głupoty ryzykuje zdrowie albo nawet życie - odparła gniewnie. - Złamane żebro mogłoby przebić płuco.

- Noro, to Harmon mnie zaatakował - przypomniał. - Ja nie miałem wyboru.

- Owszem, miałeś przed rozpoczęciem zabawy w tchórza. Co za idiotyczna dziecinada.

Caine wzruszył ramionami i zaraz tego pożałował, gdyż pierś przeszył mu dojmujący ból. - Kiedyś mnie to bawiło.

- Caine O'Halloranie, jeżeli nadal będziesz sobie pozwalał na takie błazenady, skończysz w kostnicy.

- Pani doktor Anderson, zachowuje się pani jak prawdziwa Samarytanka.

Zastarzałe urazy znowu się ujawniły.

- Jeżeli chcesz mieć przy sobie kogoś, kto się będzie nad tobą rozczulał, to lepiej wskocz w ferrari i pojedź do domu, do żony.

Nora zajęła się teraz raną na głowie.

- Nie jestem żonaty.

- Doszły mnie inne wieści.

- No tak, formalnie pozostajemy małżeństwem, ale ono nigdy nie przeszkadzało Tiffany w poszukiwaniu męskiego towarzystwa.

Obecnie sypia z jednym z moich starych kumpli z drużyny. Wystąpiła zresztą o rozwód.

Ściągnął brwi na wspomnienie ostatniej rozmowy ze swym nowojorskim adwokatem. Tiffany upierała się, że trwający sześć miesięcy związek małżeński daje jej tytuł do żądania połowy wynagrodzenia Caine'a z ostatniego kontraktu. On gotów był jej tę sumę zapłacić, traktując drugie małżeństwo jako kosztowny błąd życiowy, lecz adwokat powstrzymywał go przed tym krokiem.

- Najwidoczniej dobrze zapowiadający się zapolowy jest bardziej atrakcyjny od odstawionego na boczny tor sławnego miotacza
- dodał.

- Przykro mi - powiedziała Nora i nie był to grzecznościowy zwrot.

- Właściwie nie mogę mieć do niej pretensji. Wiedziałem od początku, że Tiffany zależało tylko na dobrej zabawie, więc nie mogłem oczekiwać, iż zostanie ze mną, gdy zabawa się skończyła.

Nie dodał, że po wypadku z ramieniem nie był idealnym mężem - ogarnął go ponury nastrój, stał się małomówny, łatwo się unosił i wpadał w gniew. Na domiar złego coraz więcej pił.

Do licha, były powody, usprawiedliwiał się sam przed sobą niezliczoną ilość razy w ciągu tych paru minionych miesięcy. Albo mógł siedzieć w domu i wysłuchiwać narzekań młodej, rozpieszczonej, egoistycznej żony, która nie zamierzała dzielić życia z człowiekiem nie odnoszącym sukcesów, albo przebywać w wesołym, podochoconym alkoholem towarzystwie, które nadal widziało w nim bohatera. Wybierał to drugie.

- Ładne masz teraz pojęcie o małżeństwie, O'Halloran - powiedziała Nora pod nosem.

- No cóż, Noro, oboje wiemy, że małżeństwo nie jest niczym więcej niż układem korzystnym dla dwóch stron, z których każda ma to, czego druga potrzebuje. Dopóki taki stan trwa, związek istnieje. Gdy jednak równowaga sił się załamuje, następuje koniec.

Nora powróciła myślą do owego deszczowego popołudnia sprzed kilkunastu lat, kiedy między nimi doszło do takiego całkowicie pozbawionego romantyzmu układu, Zawarte przez nich małżeństwo miało początkowo za cel jedynie dobro poczętego dziecka, a jednak - ku ich zdumieniu - przerodziło się w coś więcej, choć ich szczęśliwe dni trwały krótko. A potem rozpadło się na dobre.

- A co z miłością? - szepnęła i natychmiast pożałowała tych słów.

- Och, kochanie, życie nauczyło mnie, że miłość to tylko dobry seks i piękne słówka.

Więc Caine miał aż tak cyniczne podejście do miłości i małżeństwa... Nora współczuła mu.

- Na twoim miejscu nie martwiłabym się, że będziesz zbyt długo samotny - powiedziała, napełniając strzykawkę ksyllokainą. - Jeżeli twoja fotografia w stroju Adama w tegorocznym kalendarzu „Playgirl” miała być ogłoszeniem matrymonialnym, to zgłosi się mnóstwo chętnych, Wbiła igłę, a on syknął z bólu.

- Widziałaś to?

Caine w najśmielszych snach nie mógł wyobrazić sobie Nory zerkającej choćby kątem oka na kalendarz „Playgirl”. Lecz zaraz przypomniał sobie, że zanim ich małżeństwo się rozpadło, Nora okazywała mu namietność, której nie spodziewał się pod skandynawskim lodem.

- Chyba wszyscy widzieli. - Założyła szew i zabrała się do następnego.

- No i?

- Co no i? - Drugi szew był już gotowy.

- Co o tym myślisz? - Przycisnął dłoń do żołądka, żeby jakoś zapanować nad uczuciem nudności, wzmagającym się z każdym następnym szwem. - Czy można powiedzieć, że jeszcze mam to coś?

- Chyba tak. Przy bardzo dobrej woli.

- Zawsze potrafiłaś podtrzymać człowieka na duchu - mruknął. - A dla ścisłości, nie byłem nagi.

Nora wyrównała skalpelem postrzępiony brzeg rany. - Z tą rękawicą zakrywającą tylko co nieco według mnie byłeś całkiem goły.

W lustrze dostrzegł, co ona robi. Szybko odwrócił wzrok, gdyż znowu poczuł mdłości.

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście się reklamowałem, ale nie chodziło mi o żonę. Od początku wiedziałem, że po tym wypadku nie wrócę do gry na początku sezonu. Więc jak się mnie pozbyli, mój agent uznał, że nazwisko O'Halloran trzeba przypomnieć publiczności.

- To rozumiem, ale co ma do tego golas z rękawicą baseballową?

- Na pewno nie jestem pierwszym sportowcem, który pokazuje się na łamach; żeby udowodnić, iż ciągle dobrze się trzyma - dowodził z przekonaniem. - To samo robią aktorzy i aktorki, starające się przekonać producentów i reżyserów, że się jeszcze nie zestarzelili. Przynajmniej dzięki temu kalendarzowi wykazałem, że nie jestem wrakiem.

- Na szczęście zrobiłeś to zdjęcie przed bijatyką, bo teraz jesteś raczej mało fotogeniczny. - Nora założyła ostatnie trzy szwy, po czym ściągnęła rękawiczki i wyrzuciła je do emaliowanego pojemnika.

- Już? - Caine nie potrafił ukryć ulgi. Chociaż Nora zastosowała miejscowe znieczulenie, słyszał, jak jedwabna nitka przechodzi przez zdrtwiałe ciało i przez cały czas miał mdłości.

- Już. - Spostrzegła, że Caine ukradkiem masuje dłoń. - Pokaż mi. Do licha, Caine, wygląda gorzej niż Dana.

- Jestem wdzięczny twoim braciom, że stanęli w mojej obronie.

- Zawsze tak było. - Nora stwierdziła, że skóra jest pozdzierana i podrapana, ale kości całe.

- Trzej muszkietierowie - powiedział miękko. Odwróciła jego dłoń.

- Nadal usuwasz sobie naskórek z palców.

- Ty, jako lekarz, używasz swoich najlepszych narzędzi. Moimi narzędziami są palce i usunięcie warstwy skóry daje im ultrawrażliwość.

Była w trzecim miesiącu ciąży i nadal jeszcze nieprzychylnie nastawiona do małżeństwa, kiedy po raz pierwszy zauważyła, jak on chirurgicznym skalpelem usuwa skórę z czubków palców. Oburzona powiedziała, że zachowuje się jak barbarzyńca. Jednak później, gdy nie chciane małżeństwo zostało skonsumowane, wbrew jej woli podniecała ją myśl o szczególnej wrażliwości dotykających jej ciała palców Caine'a. Ogarnęły ich wspomnienia.

Caine, wpatrzony w klapy lekarskiego fartucha Nory, przypomniał sobie jej piersi, które trzymał w dłoniach jak dojrzałe brzoskwinie. Ona uświadomiła sobie, że jego niebieskie oczy ciemniały w chwilach pożądania.

Caine zastanawiał się, czy teraz w życiu Nory jest jakiś mężczyzna, a jeśli tak, to czy ona robi z nim to, czego on ją nauczył.

- Czytałam, że straciłeś wyczucie w palcach - odezwała się, gdyż musiała coś powiedzieć. Cokolwiek.

- Wyczucie wróci - zapewnił bez przekonania. - To tylko niewielki problem z samokontrolą.

- W każdym razie życzę ci powodzenia. Trudno przewidzieć skutki Urazów systemu czuciowo-ruchowego. Kto wie, może udowodnisz tym wszystkim czarnowidzom, że się mylili, i wrócisz na boisko przed finałowymi rozgrywkami ligowymi - powiedziała, choć nigdy nie rozumiała baseballowej pasji byłego męża. - Jeszcze tylko zabandażuję ci żebra i będzie koniec. - Ścisnęła go bandażem tak mocno, że ledwo mógł oddychać. - Możesz się już ubrać - odezwała się typowym głosem lekarza, który uważa wizytę za zakończoną.

Ten ton zaczynał działać mu na nerwy, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, wyszła z gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Oparł łokcie na nagich udach i ujął twarz w dłonie. Rausz alkoholowy już ustąpił, pozostał jedynie łomot krwi w głowie, ból w okolicy opuchniętego oka, ucisk w klatce piersiowej i nudności.

Doświadczał poza tym jeszcze innego cierpienia, zbyt dobrze znajomego, przejmującego do głębi.

- Do diabła - mruknął - może nie powinienem wracać do domu.

Lecz wrócił i teraz już było za późno, aby wsiadać do ferrari i odjeżdżać. Przede wszystkim dlatego, że puszka Pandory została otwarta i w końcu trzeba będzie sobie poradzić z tymi wszystkimi zadawnionymi ranami oraz pokutującym w nim poczuciem winy.

Istniała jeszcze druga przyczyna, do której trudno mu było przyznać się nawet przed samym sobą: oto Caine O'Halloran, jedna z najjaśniejszych gwiazd baseballu, bohater narodowy, nie miał dokąd pójść.

Ubierał się z nietypową dla siebie powolnością - każdy ruch wywoływał nową falę bólu.

Nora stała w holu za dębowym kontuarem, postawionym tu dla rejestratorki, i czekała na Caine'a.

- Będziesz musiał przyjść jeszcze raz. - Zaczęła kartkować terminarz. - Jeżeli zostaniesz w mieście przez dwa tygodnie, zajrzyj w drugi poniedziałek o szesnastej trzydzieści. W przeciwnym razie będzie ci musiał zdjąć szwy inny lekarz.

- Przykro mi, że panią doktor rozczaruję, ale przez jakiś czas tu pozostanę.

- A dokładnie jak długo?

- Pytasz ze względu na sprawy zawodowe czy osobiste?

- Zawodowe - odparła lakonicznie. Odniosł wrażenie, że rzuciła mu to słowo w twarz.

- Zastanowię się. A odpowiadając na twe ściśle zawodowe pytanie-jak długo będzie trzeba.

- Aż wróci wycucie w palcach?

- Tak - pokiwał głową, patrząc jej w oczy - między innymi.

Atmosfera stawała się znowu niebezpiecznie intymna, więc głos Nory szybko przybrał rzeczowy ton.

- Płacisz trzydzieści pięć dolarów.

Z wysiłkiem wydobył z tylnej kieszeni portfel i wyciągnął z niego pieniądze.

- Strasznie się spieszysz - zauważył, obserwując, jak wypełnia formularz dla ubezpieczalni i rachunek. - Nie potrzebuję pokwitowania.

- „Mój księgowy zmyłby mi głowę, gdyby dokumenty kasowe nie były prowadzone porządnie. - Podpisała kwit swoim nazwiskiem.

Caine pomyślał, że pisała w ten sam pedantyczny sposób, w jaki wykonywała wszystkie inne czynności. I choć pamiętał, iż staranność była cechą jej natury, ten skrupulatnie wypełniony kawałek papieru nagle wzbudził w nim złość.

Wręczyła mu pokwitowanie.

- Gdzie zamieszkaasz?

- W chacie. - Sam?

- Takie jest założenie.

- Może przyjść szok pourazowy. Lepiej, żeby ktoś był przy tobie.

- Nic mi nie będzie.

Uniosła brwi i zmierzyła go najbardziej lodowatym z dotychczasowych spojrzeń.

- Przekwalifikowałeś się na lekarza?

- Nie, ale już miałem taki szoki rozpoznałbym objawy.

- Dużo dzisiaj wypiełeś, a alkohol przytępia zmysły. Naprawdę powinieneś zatrzymać się na jakiś czas u rodziny.

- Zatrzymam się w chacie. Sam.

- Jak zwykle nieugięty.

- Niewystarczająco - odparł.

- Będziesz obolały.
- Przywykłem.
- Z pewnością. Na wszelki wypadek przepiszę coś, co ci pomoże przetrzymać noc i parę najbliższych dni.

- Znam coś, co lepiej niż pigułki pozwoliłoby mi przetrzymać noc.

Ta uwaga zawisała w próżni. Nora sięgnęła po bloczek z receptami.

- Jeżeli będzie trzeba, bierz jedną z jedzeniem lub szklanką wody co sześć godzin.

Jej głos mógłby zamrozić na kość zieloną paproć wiszącą przy oknie.

- Nie muszę dodawać, że nie wolno ci pić. Odradzałabym też jazdę samochodem.

- Czy to znaczy, że nie powinienem popijać tabletek piwem?

Pytanie nie wywołało nawet cienia uśmiechu. Wręczyła mu receptę i spojrzała na zegarek.

- Apteka Nelsona będzie otwarta jeszcze parę minut, dla pewności tam zatelefonuję.

Caine wziął z jej ręki receptę i nawet nie rzuciwszy na nią okiem, wetknął do kieszeni.

- Dzięki. Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Caine, jestem lekarzem. To moja praca.

- To prawda. Miałem do czynienia z wieloma lekarzami, a dotąd dotyk żadnego z nich nie sprawiał mi przyjemności.

- Jeżeli nie zaczniesz zachowywać się poważnie, zadzwonię do twojej matki, żeby cię zabrała do domu.

- Ciągle mam wrażenie, że nie traktujesz sportowców jak dorosłych.

- Lepiej już idź. Nelson nie będzie dyżurował całą noc w aptece nawet dla takiego bohatera jak Caine O'Halloran.

Podniosła słuchawkę i nakręciła numer.

- Dobry wieczór, Ed, tu Nora. Świetnie, dziękuję. A ty?

A Mavis? Jeszcze jeden wnuczek? Bliźniaki? Musicie być w siódmym niebie. To ilu się doczekaliście, sześciu? Naprawdę? Tak, to cudowne... Słuchaj, pewnie już zamykasz, ale wysyłam do ciebie pacjenta. - Odwróciła się do Caine'a tyłem, celowo nie zwracając na niego uwagi.

Rozgoryczony, obolały właściwie na całym ciele, Caine poszedł do wyjścia na sztywnych nogach. Otworzył drzwi, a potem zatrzasnął je za sobą z takim impetem, że ze ściany w gabinecie spadł jeden z dyplomów Nory.

ROZDZIAŁ 4

Caine wykupił lekarstwo w aptece Nelsona i zniósł jakoś przydługą rozmowę z właścicielem, farmaceutą w podeszłym wieku, który z ciekawością wypytywał go o wszystkie szczegóły związane z urazem ręki zagrażającym jego sportowej karierze.

Po wyjściu z apteki wstąpił do sklepu. Kupił trochę zimnego mięsa na kolację oraz, wbrew radom Nory, dwa kartony piwa, po sześć puszek każdy. Dla odprężenia.

Potem pojechał do swojej chaty. Chociaż przyrzekał sobie, że już nie wróci do Tribulation, nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby ją sprzedać. Poleciał nawet pewnej kobiecie sprzątaninę, ale przychodziła rzadko, więc powietrze było zateczone i wszystko przykrywała warstwa kurzu. Caine jednak tego nie zauważył. A gdyby zauważył, toby się nie przejął.

Włączył telewizor, znalazł program nadający mecz baseballowy drużyn z Kansas i Toronto. Opadł na kanapę, wzbijając przy tym tuman kurzu. Otworzył jedną z puszek. Piana wypłynęła mu na rękę. Zlizął ją i rozparł się wygodnie z wyciągniętymi przed siebie nogami.

Połknął dwie różowe tabletki i popił je całą zawartością puszek. Pustą odrzucił na sosnowy podręczny stolik i otworzył następną.

Trzy godziny później zapas piwa był już mocno nadwerężony, a Royalsi zdołali na własnym boisku zremisować z Blue Jaysami.

Wprawdzie połączenie środków przeciwbólowych i piwa dawało w efekcie raczej przyjemny szmerek, Caine'a nie bawiło oglądanie

meczu. Uświadomił sobie bolesny fakt, że po raz pierwszy, odkąd ukończył piętnasty rok życia, nowy sezon rozgrywek baseballowych rozpocznie się bez niego.

Przykre rozmyślania nie dały mu usnąć jeszcze bardzo długo, aż wreszcie proszki oraz alkohol podziałały i Caine zapadł w niespokojny sen.

Nie tylko Caine miał tej nocy kłopoty ze snem. Nora obudziła się następnego dnia bardziej zmęczona, niż była wieczorem. Była zła na siebie, że pozwoliła, aby Caine tak zaprzętał jej myśli. Wspomnienia sprzed ponad dziesięciu lat, jak się wczoraj okazało, były tak żywe, że nie mogła usnąć.

Wzięła prysznic, wysuszyła włosy, ubrała się, a malowanie ograniczyła do przeciągnięcia różową pomadką po wargach i przyczernienia kreską krawędzi powiek.

Wiosenne poranki ciągle były chłodne, więc włożyła wełniany płaszcz. Sięgnęła po rękawiczki i zerknęła na zegarek. Jeżeli zaraz wyjdzie, będzie się mogła zatrzymać po drodze do Port Angeles. -

Po perłowszarym niebie płynęły różowawe chmurki, gdy zaparkowała samochód przed bramą starego cmentarza. Otworzyła skrzypiącą żelazną furtkę.

Nagrobki w pierwszym rzędzie, pochodzące z czasów założycieli miasteczka, były wyszczerbione i zmurszałe. Aniołowi, który strzegł jednego z grobów, brakowało skrzydła, odkąd Nora sięgała pamięcią.

Na starych pomnikach z marmuru lub granitu, ozdobionych rzeźbami, wyryto obszerne inskrypcje, uwieczniające zasługi zmarłych. Na nowszych grobach leżały tylko płyty, na których wypisano jedynie nazwiska, daty i kilka słów poświęconych tym, co odeszli.

Do tego grobu Nora mogłaby trafić nawet po omacku.

„Dylan Kirk Anderson O'Halloran - głosił prosty napis - ukochany syn". Daty mówiły wszystko o życiu, które tak tragicznie zostało przerwane.

Przychodząc na grób syna, Nora za każdym razem oczekiwała, że odnajdzie tu spokój. I chociaż nigdy tak się nie stało, nie przestawała tu zaglądać.

Na ziemi przy grobie w metalowym kubku stał bukiet polnych kwiatów. Ciemnoszkarłatne cesarskie korony, białe, koronkowe krwawniki, fioletowe ostróżki i żółte lilie. Ich płatki lśniły od rosy.

Ten bukiet mówił, że Ellen O'Halloran odbyła swą cotygodniową pielgrzymkę na cmentarz. Zdarzało się czasem - i tak było tym razem - że Nora czuła się trochę winna, iż nalegała, aby jej syn spoczął w grobowcu rodzinnym Andersonów, gdyż na pewno nikt nie kochał Dylana bardziej niż jego babka ze strony ojca.

Lecz nie mogła także zapomnieć, co czuła, gdy Caine przyszedł na pogrzeb syna bez wątpienia pijany i upokorzył obie rodziny, rzucając się z pięściami na pracownika cmentarza, który właśnie miał złożyć do grobu małą, białą, ukwieconą trumienkę.

Nora zdjęła rękawiczki, ukłękła i przesunęła dłonią po trawie, pod którą leżało ciało jej synka.

Po pogrzebie najbardziej się bała, że nie będzie pamiętała jego pyzatej, różowej buzi, dźwięcznego śmiechu, błyszczących, niebieskich oczu. Niepotrzebnie. Mimo upływu dziewięciu lat od śmierci Dylana widziała go, jakby to było wczoraj, siedzącego na wysokim, drewnianym krześle, naznaczonym śladami zębów trzech generacji małych O'Halloranów, wylewającego sobie na głowę owsiankę z miseczki i zaśmiewającego się na całe gardło.

Długo klęczała przy grobie w ciszy, wdychając unoszący się w powietrzu zapach wiosny. Wstawał dzień w różowej, porannej poświacie. Delikatne gałązki drzew, przybrane świeżymi zielonymi liśćmi, zwisały nad grobem. W oddali widać było szczyty Olympic Mountains wynurzające się z mgły. Wysoko na ośnieżonych zboczach pojawiło się już słońce.

Norę doszedł wdzięczny, poranny śpiew drozda i skowronka, a potem bicie zegara z wieży, które przypominało, że ma jeszcze obowiązki wobec innych dzieci, być może potrzebujących jej pomocy.

- Mama musi już iść. - Przesunęła czubkami palców po wykonanych z brązu literach imienia. Były wilgotne, od porannej mgły i zimne, ale jej wydawało się, że gładzi aksamitny policzek Dylana. - Wrócę do ciebie, dziecińko. Obiecuję.

Wstała. Serce Nory ścisnął znajomy ból, zawsze go czuła w czasie wizyt na cmentarzu. Nie mogła tu nie wracać, tak jak nie mogłaby przestać oddychać.

Pograżona w myślach, nie zauważyła mężczyzny, który przez cały czas jej się przypatrywał. Caine, oparty, o pień drzewa, obserwował byłą żonę.

Miał potwornego kaca, obolałe ciało, czuł szwy ściągające ranę z tyłu głowy. I do tego nie mógł się skarżyć na los, bo na wszystko sobie zasłużył.

Nie miał zamiaru iść tego dnia na cmentarz. Prawdę mówiąc, nie przekroczył jego bramy od dnia pogrzebu Dylana, kiedy pojawił się tu kompletnie pijany. Nora zachowała się wtedy w sposób, jak na nią, nietypowy - publicznie okazała mu swoją wściekłość. Okładała jego pierś pięściami w czarnych rękawiczkach, aż ojciec i bracia odciągnęli ją od niego.

Nie chodziło o to, że Caine nie kochał syna. Przeciwnie, chłopczyk był słońcem, wokół którego obracał się cały świat Caine'a. Właśnie dlatego nigdy nie wrócił w to miejsce, gdzie złożono do ziemi ciało jego syna, choć on tak bardzo bał się ciemności.

Tego dnia zjawił się na cmentarzu, gdyż przyszło mu do głowy, że może ten nieustępliwy ból minie. Nie był zdziwiony, że tak się nie stało. Miał już odejść, by uciec od posepnych myśli i poczucia winy, gdy zobaczył wynurzającą się z porannej mgły Norę.

Nora szła w kierunku wyjścia, gdy nagle ujrzała Caine'a stojącego w cieniu drzewa. Zatrzymała się, lecz nie podeszła. Jeżeli chce z nią porozmawiać, niech zrobi pierwszy krok.

Pozostawali tak, oddaleni od siebie - Caine oparty o pień drzewa, Nora wyprostowana i spięta jak płochliwa łania, gotowa pierzchnąć przy najmniejszym zagrożeniu.

- Witaj, Noro. - Jego głos był niski, głęboki i boleśnie znajomy.

- Witaj, Caine - odezwała się cicho, raczej obojętnym tonem. -

Jak się dzisiaj czujesz?

- Jakby Harmon przejechał pomnie ciągnikiem. Ale cóż, należy mi się.

Pomyślała, że Caine wygląda równie źle, jak się czuje. Twarz, zwykle nawet zimą opalona, teraz poszarzała. Wokół ust pojawiły się głębokie zmarszczki. Miał zaczerwienione oczy, był nie ogolony, a jego ubranie wyglądało, jakby w nim spał.

- Wzięłaś proszki, które ci przepisałam?

Dzisiaj nie. - Uśmiechnął się słabo. - Mam swoją teorię. Dopóki czuję ból, to znaczy, że żyję. - Ciekawa, choć wątpię, czy się przyjmie.

- Pewno nie. Chyba nie sądzisz, że cię śledziłem? Wzruszyła ramionami i wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza.

- A nie było tak?

- Jestem tutaj już od godziny.

- O! Nie zauważyłam samochodu.

- Przyszedłem pieszo. - Miał nadzieję, że świeże powietrze dobrze mu zrobi. Nie zrobiło.

- To chyba z pięć kilometrów.

- Może moje ramię nie jest jeszcze całkiem sprawne, ale w dniu, w którym nie będę mógł przejść kilku marnych kilometrów, powieszę rękawicę na kołku.

Nie dawała jej spokoju pewna myśl.

- To ty, przyniosłeś kwiaty.

- Przyznaję się do winy.

W pierwszej chwili chciała wrócić, porwać kwiaty z grobu i wyrzucić, lecz zaraz pomyślała, że przecież Dylan był również synem Caine'a.

- To miło.

- Rosły koło chaty.

Z głębokim westchnieniem ruszył w jej kierunku.

- Przyszedłem tu dzisiaj, bo zobaczyłem, że kwitną i przypomniałem sobie nasz piknik. To była jedna z tych nielicznych niedziel, które spędziliśmy razem. Wróciłem na chwilę do samochodu po kojec, ty byłaś zajęta wyciąganiem sałatki z pomidorów z torby chłodniczej, a jak się odwróciłaś, Dylan już próbował, jak smakują polne kwiaty z naszego bukietu.

Tak, o mało nie oszalała z przerażenia. Mimo wiedzy medycznej nie potrafiła się pozbyć strachu, że kwiaty mogą być trujące. To Caine spokojnie zabrał bukiet z rąk dziecka i dał mu w zamian ukochany gryzaczek.

- Ile razy potem, patrzyłam na polne kwiaty, widziałam zadowoloną buzię, nosek umorusany żółtym pyłkiem i ten jego wspaniały uśmiech - szepnęła Nora.

- I te cztery zębki, lśniące jak śnieg w słońcu. - Uśmiech złagodził twarz Caine'a. - To było bardzo miłe popołudnie, prawda? Gdybyśmy mieli więcej takich dni, może ciągle bylibyśmy razem.

- Caine, przestań...

Przyglądała swe jedwabiste włosy nerwowym, zakłopotanym gestem, tak dobrze mu znanym. Uchwycił tę dłoń, zanim zdążyła ją włożyć do kieszeni płaszcza. Była lodowato zimna.

- Noro, musimy o tym porozmawiać.

- Nie. - Potrząsnęła przecząco głową, a włosy zawirowały w świetle poranka jak słoneczne promienie. - Powiedzieliśmy sobie wszystko dziewięć lat temu. Nie ma sensu wskrzeszać bolesnych wspomnień.

- Cierpieliśmy oboje. - Jego głos był równie opanowany jak jej. - Padło wtedy, w gniewie, wiele kłamstw. - Podniósł na nią udreńczony wzrok. - Chyba nadszedł czas, żeby sobie wszystko wyjaśnić.

Wyrwała mu rękę i zeszywniała.

- Jeśli o mnie chodzi, wszystko zostało wyjaśnione w momencie, kiedy wsiadłeś do nowej, czerwonej corvetty, którą dostałeś od towarzystwa ubezpieczeniowego, wyjechałeś z miasta i zostawiłeś mnie samą.

Samą, z tym okrutnym doświadczeniem śmierci naszego dziecka, przez które musiałam jakoś przejść. Nie wypowiedziała tych słów na głos, lecz one zawisły między nimi.

- Nie prosiłaś mnie, żebym został - przypomniał Caine.

- A zostałbyś?

Mógłby się wykręcać, jednak wybrał prawdę.

- Nie. Chyba nie.

- Właśnie.

- To teraz ja zadam ci pytanie. Czy ty pojechałabyś ze mną, gdybym cię poprosił?

Nora w czasie swej praktyki lekarskiej nauczyła się nie okazywać emocji i tylko dzięki temu potrafiła ukryć, jak bardzo to pytanie ją zaskoczyło.

- Miałabym rzucić medycynę?

- Może się mylę, ale chyba w Kalifornii też są uniwersytety. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- O czym tu dyskutować, skoro nigdy mnie nie poprosiłeś.

- Ale gdyby, powtarzam, gdybym ci wtedy powiedział: Noro, jestem tak przybity tym, co się tu wydarzyło, jedźmy razem do Oakland i spróbujmy zacząć wszystko od nowa. Co byś na to powiedziała?

- Prawdopodobnie bym pojechała.

Kłamała. Nigdy nie opuściłaby rodziny, przyjaciół, nie zrezygnowałaby ze swych ambicji, żeby towarzyszyć Caine'owi w jego pogoni za sportową karierą.

Jakby skulił ramiona. Po śmierci ich dziecka Nora potrafiła okazywać mu tylko gniew. Wprost go nienawdziła. Nie tylko mówiła mu to wiele razy, lecz wyrażała w każdym niemal geście. Nie podejrzewał, że jakiegokolwiek jego starania mogłyby złagodzić jej cierpienie i furię. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle miałby sam na

tyle siły, żeby podjąć jakieś wysiłki. Był sparaliżowany poczuciem winy i bólem.

- To znaczy, że ja wszystko zaprzepąciłem.

Patrząc, jak Caine zakrywa twarz swoimi dużymi, pokaleczonymi dłońmi, Nora poczuła się nieswojo z powodu tego kłamstwa. Jego pociemniałe oczy. były oczami człowieka, który wstąpił do piekła i chciał o tym opowiedzieć.

- Caine, to już przeszłość. Nie rozdrapujmy ran.

- Gdyby można było zapomnieć o przeszłości, życie pewno byłoby dużo łatwiejsze. Ale oboje wiemy, że nie można.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zegar na wieży wybił godzinę.

- Wybacz, Caine, nie mogę teraz o tym dyskutować. Spóźnię się do pracy.

Caine spojrział na swego rolexa, zegarek, na jaki nie było go stać w czasach ich małżeństwa.

- Jest dopiero siódma.

- Wiem, ale do Port Angeles czeka mnie długa droga, a o tej porze jest duży ruch:

- Prowadzisz jeszcze jedną klinikę w Port Angeles?

- Nie, w tamtejszym szpitalu trzy razy w tygodniu mam ostre dyżury. Dzięki temu starcza mi pieniędzy na prowadzenie kliniki w Tribulation.

Ostre dyżury? Nagłe wypadki? Jak ty to znosisz? Nie wypowiedział tych słów, ale domyśliła się, że ogarnęły go wątpliwości. Zapewne oboje wrócili pamięcią do owych godzin

spędzonych w zadymionej poczekalni przed izbą przyjęć. Siedzieli tam osobno, gdyż gniew i przerażenie nie pozwalały im pocieszać się wzajemnie.

- W czasie praktyki na internie w szpitalu Columbia Presbyterian w Nowym Jorku...

- Wiem, gdzie jest szpital Columbia Presbyterian - przerwał Caine. - Mieszkałem w Nowym Jorku, zapomniałaś?

Nie zapomniała. Pamiętała nawet bardzo dobrze, jak okropnie się bała, że może się na niego natknąć. A przecież Nowy Jork to olbrzymie miasto i możliwość spotkania eks-męża była znikoma. Mimo to dorobiła się wrzodu żołądka, który po powrocie do Tribulation w tajemniczy sposób zniknął.

- W każdym razie - ciągnęła - kiedy przyszła kolej na mój dyżur w izbie przyjęć, przez całą poprzedzającą go noc było mi niedobrze. Mało tego, przez całe tygodnie na myśl o tym dyżurze nie opuszczało mnie przerażenie, nawet poważnie myślałam o rzuceniu medycyny.

Zamilkła na chwilę, gdyż zastanowiło ją, dlaczego ona właściwie zwierza mu się ze spraw, o których dotąd z nikim nie rozmawiała.

- Jakoś się przełamalam i poszłam na dyżur. Dosłownie za minutę wnieśli tam ranną kobietę. Starszą panią, zaatakowaną w łóżku przez mężczyznę, który rzucił się na nią z maczetą. Zasłoniła się ramieniem i straciła mnóstwo krwi. Przed oddaniem w ręce chirurga trzeba jej było zrobić transfuzję.

- Przeżyła?

- Tak, ale dowiedziałam się o tym dopiero po paru tygodniach, bo ciągle przybywali nowi pacjenci - z ranami ciętymi, postrzałowymi, z atakami serca, ofiary gwałtów... Zanim znalazłam czas na filiżankę kawy, okazało się, że byłam na nogach osiemnaście godzin, ale - to trudno wyjaśnić - czułam się po prostu świetnie.

- Adrenalina działała - zauważył Caine. Przez cały czas starał się wyobrazić sobie Norę - chłodną, opanowaną, skupioną, pośród tej krwi, w tym harmiderze panującym zawsze na ostrym dyżurze w szpitalu. Nora opatrująca rany postrzałowe? Dziesięć lat temu taka myśl wydawałaby mu się absurdalna. Najwyraźniej nie doceniał żony.

- Pewno tak. To brało się jeszcze z czegoś innego. Uszczęśliwiało mnie, że należę do zespołu niosącego ludziom pomoc, to było fantastyczne uczucie.

Uśmiech ciepły jak letnie słońce opromienił jej twarz i rozjaśnił oczy. Caine usiłował sobie przypomnieć, kiedy w czasach ich małżeństwa tak uśmiechała się do niego, i nie potrafił.

- Powinnaś to robić częściej. - Nie mógł się powstrzymać i pogłaskał ją po głowie.

On tylko dotknął moich włosów, myślała oszołomiona. To jedynie niewinny gest. Więc dlaczego miała sucho w ustach, a jej serce tak tłukło się w piersi?

- Co robić?

- Uśmiechać się. Masz uroczy uśmiech. Na pewno pacjenci cię uwielbiają.

Powtórka z uwodzenia? Czują, że ulega jego męskiemu urokowi i natychmiast cofnęła się o krok, by przerwać magiczny krąg.

- Naprawdę muszę już iść.

- Nie dokończyłaś swojej opowieści.

- Jakiej opowieści?

- O pierwszym dniu na ostrym dyżurze.

- Aaa. No cóż. Połknęłam haczyk. Złożyłam podanie o etat, przyznali mi go i potem już tam pracowałam.

- Szkoda, że nie byliśmy wtedy razem, wspaniale byłoby przeżywać to z tobą.

- Caine, proszę...

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o twojej pracy, o twoim życiu. Mógłbym cię zabrać dzisiaj na kolację?

- Przykro mi, Caine, wieczorem muszę uporządkować dokumenty.

- To jutro.

- Przepraszam, ale...

- W takim razie może pójdziemy na lunch?

- Także nie.

- Na śniadanie?

- Nie.

- Chciałbym się znowu z tobą zobaczyć, Noro, porozmawiać. To wszystko.

Przeczesała włosy palcami i z przerażeniem stwierdziła, że ręka jej drży.

- Myślę, że to nie najlepszy pomysł - powiedziała spokojnie, lecz stanowczo.

- Dlaczego?

- Bo to byłoby zbyt przykre! - wybuchnęła nagle tak gwałtownie, że ptaki odfrunęły z pobliskiej gałęzi z głośnym furkotem skrzydeł.

- Być może tym bardziej powinniśmy porozmawiać - przekonywał ją Caine łagodnym tonem. - Gdybyśmy raz wreszcie potrafili przedyskutować wszystko bez niedomówień, może przeszłość przestałaby nas prześladować.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe?

- Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

Przez jedną szaleńczą chwilę to była prawdziwa pokusa.

- Nie - zdecydowała. - Nie pójdę z tobą ani na kolację, ani na lunch, ani na śniadanie, ani w ogóle nigdzie.

Caine nie był przyzwyczajony do porażek, lecz tym razem zabrakło mu dalszych pomysłów, więc postanowił się wycofać.

- Rozumiem, że będę musiał czekać na spotkanie z tobą dwa tygodnie.

- Doprawdy, Caine.

- Masz mi zdjąć szwy - przypomniał. - A może wolałabyś, żebym pojechał z tym do lekarza z Port Angeles?

- Nie. - Twarz Nory oblał rumieniec. - Oczywiście, zdejmę je. Nie ma sensu, żebyś jechał taki kawał drogi.

- Świetnie. Zatem do zobaczenia.

- Do zobaczenia. Wiedział, że to ostatnia rzecz, jakiej ona pragnie, lecz popchnął go do tego jakiś przewrotny impuls. Pogładził jej policzek.

- Do widzenia, Noro.

- Do widzenia, Caine.

Obrzucił ją jeszcze długim spojrzeniem, po czym skierował się w stronę wyjścia. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy usłyszał jej głos.

- Caine? Odwrócił się.

- Zdecydowałaś się na śniadanie?

- Nie. - Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej długopis i notesik. -

Pomyślałam, że może podałabym ci nazwisko lekarza w Seattle specjalizującego się w tego typu urazach jak twój.

- Odwiedziłem już dość przeklętych specjalistów.

- Jeszcze jedna opinia nie zawadzi. - Napisała nazwisko na kartce i podała mu ją. - Doktor Fields jest naprawdę dobrym fachowcem.

Niechętnie wziął od niej kartkę i włożył do kieszeni.

- Doceniam twoją troskę. Dziękuję.

Nie doszukała się w jego słowach sarkazmu.

- Nie ma za co. Powodzenia.

- Dzięki.

Czuł się tak, jakby jakiś szaleniiec wprawił w ruch piłę mechaniczną pod jego czaszką, a od ciepłego piwa, którym popił śniadanie, miał jakieś niemiłe sensacje w żołądku.

Może jednak nie powinienem wracać do domu, pomyślał, zmierzając do bramy cmentarza.

Zwykle w małych miastach czas stoi w miejscu. Kiedy podejmował decyzję o powrocie do Tribulation, uważał to za plus. Gdy okazało się, że jego dalsza kariera jest co najmniej niepewna, instynktownie ciągnęło go do jedyne miejsce, gdzie ciągle jeszcze był bohaterem.

Lecz, do licha ciężkiego, nie mógł przypuszczać, że i Nora wróci do rodzinnego miasteczka.

- Nic się nie zmieniło - mruknął.

Bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu-przekroczył bramę cmentarza. Zostawiał za sobą swego syna. I swoją żonę.

ROZDZIAŁ 5

Minął tydzień od nieoczekiwanego spotkania z Caine'em na cmentarzu. Nora parkowała właśnie samochód przed szpitalem w Port Angeles, gdy uświadomiła sobie, że zupełnie nie pamięta, jak przebyła całą drogę z domu do miasta. To nie był dobry początek nadchodzącego dnia ciężkiej pracy.

Od powrotu Caine'a nie mogła otrząsnąć się ze wspomnień. Wracały do niej na nowo różne przeżycia z czasów ich małżeństwa, zupełnie jakby oglądała nocą w telewizji stary film.

Decyzja o zamążpójściu ze względu na ciążę wydawała się jej wtedy logicznym i praktycznym rozwiązaniem. Problem jedynie w tym, że w ogóle nie przyszło jej do głowy, iż zakocha się w swym mężu, jedynym mężczyźnie, któremu udało się ją unieszczęśliwić.

Rozsunęły się przed nią szklane drzwi prowadzące do izby przyjęć. W poczekalni siedziała tylko jedna kobieta z dwojgiem dzieci.

Zamieniwszy parę słów z rejestratorką Mabel Erickson, weszła do gabinetu lekarskiego, przebrała się w niezbyt twarzowy, za to praktyczny zielony kitel i przypięła identyfikator.

- Chwilowo niewiele się dzieje. - Doktor Jeffrey Greene skończył dyżur. - Noc była stosunkowo spokojna. Pewien ryzykant na motocyklu był zbyt szybki na zakręcie i przez dwie godziny usuwałem mu kawałki asfaltu i żwiru z piersi i ramion. Mieliśmy też chłopaka z przedawkowaniem. -Przez twarz lekarza przebiegł, cień troski, gdyż

narkotyki ostatnio stawały się problemem także w małych miastach. - Wyrównaliśmy jego stan ogólny i odesłaliśmy na oddział intensywnej terapii. Teraz mamy tylko jednego pacjenta, chłopczyka z atakiem astmy. Podają mu tlen, zaraz odłączą respirator. W poczekalni czeka na niego matka. A dla odprężenia zabawny przypadek. Właśnie przynieśli nam pizzę, gdy wpadła jak szalona matka z trzymiesięcznym berbeciem, rzekomo z wysypką. Była pewna, że to odra. - Pokręcił głową z niesmakiem. - Jak ktoś może przynosić o trzeciej nad ranem na ostry dyżur dziecko z odparzeniem od pieluszki?!

- Pewnie była przerażona. - Nora bardzo dobrze pamiętała własne matczyne nocne strachy. Na studiach dowiadywała się o coraz to nowych chorobach zagrażających życiu i gdy tylko Dylan źle się poczuł, zaraz wyobrażała sobie najgorsze. Kiedyś dostał wysokiej gorączki i nie przestawał płakać. Była pewna, że to zapalenie opon mózgowych. O drugiej w nocy wiozła go ciemnymi ulicami sama, gdyż Caine wyjechał gdzieś na mecz. Lekarz zbadał trzymiesięczną niemowlę, pogładził Norę po ojcowsku po głowie i stwierdził zapalenie ucha. Godzinę później wracała do domu z butelką antybiotyku, czując ogromną ulgę, lecz zarazem zażenowanie swym nieprofesjonalnym zachowaniem.

- Zanim zdołaliśmy ją uspokoić, pizza nam wystygła - żalił się doktor Greene. - To tyle miałem do powiedzenia, pani doktor. Zapowiada się nudny dzień. - Wrzucił do kosza pudełko od pizzy i

puste puszki po kukurydzy. - Ale godzina jest jeszcze młoda.

Wszystko może się zmienić.

Nora doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Z jakichś niezbadanych przyczyn pacjenci na ostry dyżur przybywali falami. Bywało tak spokojnie, że można by uciąć sobie drzemkę, a nagle robiło się piekło.

Nora sprawdziła, czy chłopczyk z astmą został już zwolniony do domu, po czym wróciła do gabinetu i popijając kawę czekała.

Zaczęło się dwadzieścia minut później. Z głośnika na ścianie rozległ się głos spikera z centrum informacji o nagłych wypadkach. W tej samej chwili w kieszeni kitla Nory odezwał się pager nadający elektroniczny kod zastrzeżony dla pacjentów z ciężkimi obrażeniami.

- Uwaga, cały personel ostrego dyżuru - wykrzykiwał spiker - ciężki wypadek! Helikopter za dwie minuty! Helikopter za dwie minuty!

Kiedy helikopter pojawił się nad dachem szpitala, Nora już tam czekała z pielęgniarką i sanitariuszem. Pilot ustawił się dokładnie ponad oznaczonym miejscem lądowania i żeby nie tracić cennych sekund, schodził w dół.

Płozy dotknęły lądowiska, pilot wyłączył napęd wirnika, a Nora i jej pomocnicy, chwyciwszy szpitalny wózek, pobiegli pochyleni pod wolno już poruszającymi się śmigłami do drzwi maszyny. Otworzyły się i po pasażera, którym okazał się mały chłopczyk, wyciągnęły się trzy pary rąk. Był przywiązany pasami do unieruchamiającej ciało specjalnej deski; różowy, plastikowy kołnierz usztywniał szyję.

Ułożono go na wózku i biegiem przewieziono rannego do pomieszczeń wewnątrz budynku. Do personelu szpitalnego dołączył medyk z policyjnej służby ratowniczej, który przyleciał helikopterem. Przedstawił im okoliczności wypadku i stan chłopczyka.

- Nazywa się Jason Winters, ma cztery lata. Zrobił efektownego koziołka z okna sypialni na pierwszym piętrze i wylądował na drewnianym podeście. Był nieprzytomny tylko minutę, najwyżej dwie. Może poruszać wszystkimi kończynami, puls pięćdziesiąt pięć, oddech dwadzieścia, ciśnienie sto na siedemdziesiąt. A w ogóle to twardy zawodnik. Matka twierdzi, że przechodził tylko zwykłe dziecięce choroby, nic nie wie o uczuleniach. To ona znalazła Jasona, sąsiad ją tu zaraz przywiezie. Ojciec jest policjantem, komisariat został zawiadomiony, przekażą mu wiadomość, jak tylko się tam pojawi.

Po wysłuchaniu tego zwięzłego raportu Nora pochyliła się nad dzieckiem i łagodnym, matczynym gestem odgarnęła mu włosy z czoła.

- Cześć, Jasonie, jestem doktor Anderson. Wiesz, gdzie cię przywieziono?

- Do szpitala?

- Tak. - Nora uśmiechnęła się. - Zaopiekujemy się tobą. - Ja chcę do domu -odpowiedział chłopczyk płacząco.

- Wiem. Ale najpierw musimy sprawdzić, czy sobie czegoś nie złamałeś. Pomożesz nam?

- Dlaczego nie mogę iść do domu? - Twarz dziecka byłaby całkiem biała, gdyby nie wyraziste piegi.

- Pójdiesz, kochanie, przyrzekam, ale nie teraz. Najpierw musimy pobrać ci krew.

- Nie chcę zastrzyków! - wykrzyknął, kiedy pielęgniarka zaczęła masować żyłę w zgięciu szczupłego ramionka.

- To potrwa tylko chwilę, mój mały - zapewniła go. Krzyk przeszedł w cienki pisk, kiedy chłopczyk ujrzał, jak krew zaczyna wypełniać strzykawkę.

- Nieee! Ja chcę do mamy! Ja chcę do domu!

Druga pielęgniarka podłączyła go do aparatu EKG. Nora wpatrywała się w linie dziko skaczące na monitorze, które jednak już po chwili wskazywały normalne, szybkie bicie serca przestraszonego dziecka.

- Jak mnie nie puścicie, poskarżę się tacie. On jest policjantem, przyjedzie tu z rewolwerem i was aresztuje!

Krzyk przerodził się teraz w rozdzierający płacz.

- Zaraz cię rozwiążemy - obiecała Nora - tylko jeszcze trzeba zrobić kilka zdjęć. Musimy się upewnić, że twój upadek nie spowodował jakichś urazów.

- To nie był żaden upadek - oznajmił z dumą czterolatek. - Ja skakałem na pajęczynie.

- Na pajęczynie?

- Na pajęczynie człowieka-pajaka. Hej, co wy znowu robicie? - krzyknął, widząc, jak pielęgniarka rozcina mu piżamę. - Niech pani

tego nie robi! Mama dopiero co mi ją kupiła! Będzie na mnie wściekła!

- Jasonie, musimy cię zbadać - uspokajała go Nora. -Przyznamy się mamie, że to my zniszczyliśmy ci piżamę, przyrzekam, ale postaraj się być dużym, grzecznym chłopcem i powiedz mi, gdzie cię boli?

Piętnaście minut później było już po badaniu i rentgenie. Okazało się, że poza zwichniętym nadgarstkiem i wielkim guzem na głowie, chłopczyk wyszedł z opresji cało. Według Nory Jason był nie tylko małym krzykaczem, ale także dużym szczęściarzem. Chociaż dziecięce ciała są zdumiewająco elastyczne, to z pewnością nie przystosowane do spadania na twarde deski z pierwszego piętra.

Pielęgniarka wypisywała nazwisko dziecka na plastikowej opasce, umocowanej na przegubie jego dłoni, gdy do gabinetu weszła rejestratorka.

- Matka chłopca już jest.

Przez szklane drzwi Nora dojrzała ładną, młodą i wyraźnie przerażoną kobietę. Ze śladami łez na policzkach, mnąc w dłoniach higieniczną chusteczkę, niespokojnie przemierzała poczekalnię przed biurkiem rejestratorki. Nora aż za dobrze знаła ten wyraz panicznego strachu malujący się na jej twarzy.

Dziewięć lat temu, tamtego dnia, przypominała sobie wszystkie modlitwy, których nauczyła się w dzieciństwie. W najgłębszej rozpaczycy składała Bogu obietnicę za obietnicą: jeżeli On uratuje życie Dylana, to ona już nigdy na swoje dziecko nie podniesie głosu, jeżeli On pozwoli Dylanowi przeżyć, to ona jakoś - mimo ciężkich studiów

medycznych - znajdzie czas na oglądanie z synkiem Ulicy Sezamkowej. Jeśli tylko Bóg nie da mu umrzeć, ona zrobi wszystko.. Absolutnie wszystko.

Pamiętała, że zaciekle powstrzymywała się od płaczu, co jej się - o dziwo - udało. A potem, kiedy oznajmiono jej, że dziecko nie żyje, tak bardzo starała się nie krzyczeć. I zemdląa.

Poprosiła Mabel, aby zawiadomiła panią Winters, że zaraz do niej wyjdzie. Wypiła pół szklanki wody, odetchnęła parę razy głęboko i weszła do poczekalni.

- Dzień dobry, pani Winters - powitała matkę chłopca uspokajającym uśmiechem. - Jestem doktor Anderson, zajmuję się pani synkiem.

- Gdzie on jest? - spytała kobieta z błędnym wyrazem oczu. - Gdzie jest mój Jason?

- Ciągle w gabinecie zabiegowym - odpowiedziała Nora.

- Jest przytomny i czuje się dobrze.

Jakby w odpowiedzi z gabinetu- doszedł donośny krzyk dziecka.

- On cierpi! Ja powinnam być przy nim!

- Niestety, będzie go pani mogła zobaczyć dopiero za parę minut.

- Nie pozwolili mi polecieć z nim helikopterem, zabrali mi go, a teraz nie dają mi go zobaczyć. Chcę wiedzieć dlaczego.

Ton głosu pani Winters wskazywał, że - jak nauczyło Norę doświadczenie - kobieta była na skraju hysterii. Lekarka położyła jej dłoń na ramieniu.

- Wiem, że zależy pani na jak najlepszej opiece nad synem i taką mu zapewniamy. Teraz robią mu tomografię komputerową, która jest zupełnie bezbolesna. Chodzi o ustalenie, czy nie ma wewnętrznych obrażeń mózgu.

Rozległ się kolejny wrzask dziecka.

-O Boże. - Twarz kobiety odzwierciedlała najwyższą matczyną udrękę, taką zapewne jak dziewięć lat temu twarz Nory. - To dlaczego on tak krzyczy?

- Bo jest rozzłoszczony i przestraszony. Może pani będzie trudno w to uwierzyć, ale właśnie jego krzyk jest bardzo dobrym znakiem.

- Naprawdę? -Pani Winters przyłożyła pomietą chusteczkę do zaczerwienionych oczu.

- Tak. To wskazuje, że jego mózg nie doznał żadnych obrażeń. Jason jest ożywiony, ma pełną świadomość, co się z nim dzieje, i mocno niezadowolony. Jesteśmy dobrej myśli.

Krzepiącemu uśmiechowi Nory odpowiedział pełen wątpliwości grymas pani Winters.

- Ma tylko duży guz na głowie, ale to nic groźnego i niedługo w przedszkolu pani syn będzie prawdopodobnie bohaterem dnia. Zanim się skończy tomografia, chciałabym uzyskać od pani parę informacji. Może przejdziemy do mojego gabinetu - zaproponowała. - Tam są wygodniejsze krzesła i będziemy miały spokój.

Matka chłopca podążyła potulnie korytarzem za Norą. Lekarka nie usiadła za biurkiem, lecz na krześle ustawionym koło sofy, którą wskazała pani Winters.

- Czy Jasonem opiekuje się jakiś stały pediatra?

Pani Winters przysiadła na brzegu, jakby oczekiwała w każdej chwili gromu z jasnego nieba.

- Tak - odrzekła - doktor Kline. Przyjmuje na Pine Street, nie pamiętam numeru. - Chusteczka była już w strzępach, więc pani Winters nerwowo otwierała i zamykała zamek torebki.

- Nie szkodzi. Znajdziemy. - Nora dokładnie zapisywała na karcie dziecka udzielane przez matkę informacje. - Czy Jason zażywa obecnie jakieś lekarstwa?

- Nie. - Torebka została otworzona i zaraz z trzaskiem zamknięta. I tak bez przerwy w czasie odpowiadania na pytania o choroby, które chłopczyk przechodził.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Mabel.

- Przyszedł pan Winters - zawiadomiła Norę.

Pani Winters podskoczyła na sofie. Otwarta torebka wysunęła się jej z rąk, zawartość rozsypała się po podłodze, Kobieta uklękła i trzęsącymi się palcami zaczęła zgarniać bilon, jakieś kwity i inne drobiazgi.

Do gabinetu wszedł mężczyzna w granatowym mundurze policjanta. Za wszelką cenę starał się ukryć przerażenie.

- Co się stało?— zwrócił się do Nory, która zauważyła, że nie obdarzył żony nawet jednym spojrzeniem. - Gdzie jest mój syn?

- Pana syn wypadł z okna sypialni. Robimy mu teraz prześwietlenie - odpowiedziała Nora, wyciągając do niego dłoń. - Jestem doktor Anderson i zajmuję się Jasonem. Jak już mówiłam pana

żonie, obrażenia Jasona są zadziwiająco niewielkie, ale dla pewności poleciłam wykonanie tomografii komputerowej, żeby z czystym sumieniem wyeliminować jakiegokolwiek wewnętrzne urazy, które w czasie badania mogły się nie ujawnić.

- Wypadł z okna? - Odwrócił się i popatrzył na żonę, która nagle przeraźliwie zbladła. - Z okna? - Na policzkach ogorzałej twarzy pojawiły się czerwone plamy. - Jak, do diabła, mogłaś do tego dopuścić?

Ich oczy spotkały się. Nora na próżno szukała w nich choć cienia wzajemnego współczucia.

- Od tygodni cię prosiłam o zabezpieczenie tego okna - pani Winters wstała z sofy - ale ty zawsze jesteś zajęty i nie masz czasu, żeby coś zrobić w domu.

- Jestem zajęty, bo staram się zarobić na nasze utrzymanie. Uważasz, że sprawia mi przyjemność praca na dwóch etatach, żebyś ty mogła siedzieć w domu i do tego zaniedbywać dziecko?

Teraz i jej twarz nabrała wrogiego wyrazu.

- Nie zaniedbuję go! Brałam prysznic. Gdybyś zabezpieczył to okno...

- Gdybyś wykonywała swoje obowiązki... Nora zdecydowała, że czas wkroczyć.

- Bardzo proszę, niech państwo usiądą. Musimy porozmawiać o chłopcu. Będą państwo oboje mogli mu pomóc w powrocie do zdrowia.

To ostatnie słowo musiało mieć magiczną moc, gdyż równocześnie usiedli na sofie, choć w przeciwległych końcach.

- Dziękuję. - Nora tym razem zajęła miejsce za biurkiem.

- Myślę, że obrażenia Jasona okażą się niegroźne. On naprawdę ma szczęście. Chodzi mi nie tylko o to, że ten fatalny upadek nie powinien mieć poważnych konsekwencji, lecz również o to, że ma rodziców, którzy tak bardzo się o niego troszczą.

- Ja tak - odpowiedzieli jednocześnie państwo Winters.

- Właśnie. Jednak niezależnie od tego, że skutki wypadku okazały się niegroźne, co badanie komputerowe z pewnością potwierdzi, takie doświadczenie dla małego chłopca jest bardzo stresujące. Chcę zatrzymać Jasona w szpitalu na kilkanaście godzin na obserwacji, a to oznacza, że spędzi noc w obcym dla siebie miejscu. W tej sytuacji muszą mu państwo okazać pomoc i dodać otuchy. Powinien wiedzieć, że nie obwiniacie go o ten wypadek. Jeżeli zorientuje się, że jesteście do siebie wrogo nastawieni, będzie czuł się winny.

Zamilkła na chwilę, aby dobrze pojęli jej słowa.

- Proszę mi wierzyć - dodała cicho - doskonale rozumiem państwa uczucia.

Policjant rzucił Norze miazdzące spojrzenie.

- Pani doktor, proszę nas nie pouczać. Nikt nie może wiedzieć, co czuję.

- Ja mogę - odparła Nora - gdyż przeżyłam podobne chwile.

Nie wiedziała, jak wymknęło się jej to wyznanie. Nigdy nikomu przedtem nie opowiadała o wypadku Dylana. Widząc przerażone miny państwa Winters, uznała, że skoro zdołała przyciągnąć ich uwagę, powinna to wykorzystać.

- Wstyd mi przyznać, że wtedy kierowałam się emocjami zamiast rozumem, a przez to sytuacja, i tak straszliwa, jeszcze się pogorszyła. - Dobrze pamiętała, jak złorzeczyła Caine'owi i oskarżała go o spowodowanie wypadku. Caine nawet nie usiłował się bronić. Później, kiedy już ustalono, że za wypadek wyłączną winę ponosi pijany kierowca innego samochodu, była zbyt przybita bólem, żeby te oskarżenia wycofać. - Dlatego bardzo proszę, bez względu na to, jakie między państwem są konflikty, o odłożenie ich na później. Dla dobra dziecka.

Znowu zamilkła. Rodzice Jasona wymienili spojrzenia.

- Jeżeli nie mogą się państwo na to się zdobyć- odezwała się tonem spokojnym, lecz stanowczym - proszę, aby odwiedzać dziecko osobno.

Ojciec Jasona wbił wzrok w ziemię, Matka usiłowała ocierać łzy resztkami chusteczki. Kiedy policjant wyjął z kieszeni dużą, białą chustkę i zaczął wycierać nią mokre policzki żony, Nora wiedziała, że podjęli właściwą decyzję. Na szczęście, zbyt zajęci własnym synem, nie wypytywali jej o szczegóły. Gdyż niezależnie od bolesnego wciąż dla niej tematu tragicznej śmierci Dylana, czuła się też nie w porządku wobec Caine'a. Wciąż żywe były wspomnienia jej bezwzględnego zachowania wobec człowieka, który również cierpiał.

W tym samym czasie, gdy Nora usiłowała rozeznąć się w odczuciach związanych z bolesnym wydarzeniem sprzed lat, człowiek, który był ich przyczyną, siedział przy naruszonym zębem czasu stole w wystawionej na poddmuchy wiatru znad Pacyfiku chacie, pełniącej funkcję baru.

W odróżnieniu od Tribulation, gdzie świeciło słońce ,tu na wybrzeżu, niebo zasnuły niskie, ciemne chmury, które wraz z zacinającym o szyby deszczem dobrze harmonizowały z ponurym nastrojem Caine'a.

Bar został nazwany przez miejscowych „Bezimienny”, odkąd, ze dwadzieścia lat temu, tajfun porwał jego sztyd. Dym z papierosów, zapach rozlanego piwa i pleśni unosił się w powietrzu jak nisko zawieszona chmura.

Samotna kobieta, ubrana w bawełnianą koszulkę, naszywaną błyszczącymi paciorkami, w opiętą, dzinsową minispódniczkę i czarne zamszowe botki sięgające ponad kolana, wrzuciła monetę do grającej szafy i wcisnęła klawisz.

W takt śpiewanej przez Gartha Brooksa piosenki o rodeo powoli zbliżała się do stolika Caine'a,

- Hej, przystojniaku. Nie masz ochoty na teksaskiego fokstrota? - spytała, kołysząc zmysłowo biodrami.

Caine dał znak barmanowi, żeby podał mu następne piwo.

- Przepraszam, ślicznotko, nie jestem dzisiaj w nastroju do tańca.
- Skinął głową kelnerowi, dziękując za następnego rainiera. - Może innym razem.

- W porządku. Znam o wiele lepsze sposoby spędzania deszczowego popołudnia. - Uśmiechnęła się prowokująco. - Na imię mi Micki. A tobie?

- Caine. - Zapalił papierosa i wypuścił kłęb błękitnego dymu.

- Zawsze podobały mi się biblijne imiona. - Usiadła i założyła nogę na nogę. Były długie i zgrabne. - Słuchaj, Caine - pochyliła się ku niemu i położyła dłoń na jego ręce - gdybyś przestał dumać o kimś czy o czymś, co cię tak zasepiło, to mógłbyś się trochę rozerwać.

Tak, coś takiego na pocieszenie nie byłoby złe.

- Wiesz, Micki, może to pomysł.

Dopił piwo, zgasił papierosa o obcas, zostawił na stole pieniądze i objąwszy ramieniem szczupłą kibić dziewczyny, wyszedł z nią z mrocznego baru na siekący deszcz.

Motel był naprzeciwko, po drugiej stronie parkingu. Caine nie zdziwił się, że zarządzający powitał kobietę jak starą znajomą. Nie było też wątpliwości, dlaczego mrugnął do niego porozumiewawczo.

Ledwo zamknęły się za nimi drzwi pokoju, Micki oplotła szyję Caine'a gołymi ramionami i pocałowała go. Gdy przyciskała swe wargi do jego ust, oczekiwał z jakimś osobliwym zaciekawieniem na reakcję swego ciała. Chciał się przekonać, czy purpurowe wargi kobiety zdołają przynieść mu zapomnienie.

Nie zdołały.

Micki, nie zniechęcona, opadła na wodne łóżko, które zafalowało. Zza okna dochodził nieustanny szum załadowanych drewnem ciężarówek, sunących mokrą szosą.

- Wiesz, Caine, jak tylko wszedłeś do baru, od razu wyczułam, że jesteś facetem, który umie dobrze się zabawić. - Micki rozsuwała zamki błyskawiczne wysokich butów.

Oboje przemokli. Bawełniana koszulka przylepiła się do ciała kobiety i wyglądała jak druga skóra. Drżąc z zimna, zdjęła ją przez głowę. Pod czarną, przezrzystą koronką stanika sterczały sutki stwardniałe od chłodu. Z jakiegoś powodu Caine'owi ten seksowny biustonosz skojarzył się z białym staniczkiem Nory, który nosiła jako młoda matka.

Zirytowany, że właśnie to niewinne wspomnienie wprawia go w podniecenie, wyciągnął paczkę papierosów, które jakoś nie zamokły.

- Od tego się umiera - powiedziała Micki z przyjacielskim uśmiechem.

Caine wzruszył ramionami.

- Wszystkich nas to czeka. - Zapalił papierosa i wciągnął w płuca ostry dym.

- To prawda. - Zdjęła czarne majteczki bikini, podeszła naga do okna, zasunęła zażółcone od dymu zasłony, po czym stanęła przed Caine'em. Wyjęła mu z ust papierosa i zaciągnęła się.

- Po co mamy tracić czas na palenie, skoro możemy rozpalić to wodne łóżko.

Wmawiając sobie, że tego właśnie pragnie, Caine zdusił papierosa w popielniczce i pociągnął Micki na materac.

Kobieta była chętna i doświadczona, znakomita partnerka w łóżku. Więc dlaczego, do diabła, zastanawiał się Caine, jego ciało się buntuje? Dlaczego żadne pieszczoty Micki nie odnoszą skutku?

- Nic nie szkodzi - pocieszała go później całkiem pogodnym głosem - każdemu to się zdarza. - Mnie nie. - Rozdrażniony wymamrotał pod nosem przekleństwo.

Tłumaczył sobie, że pewno tak podziałała na niego diagnoza lekarza z Seattle, którego adres podała mu Nora. Albo świadomość, że wiosenny sezon baseballowy już na dobre się rozkręcił bez jego udziału. A może to wina piwa lub fatalnej pogody.

Wymieniał w duchu długą listę możliwych przyczyn tak nietypowej dla siebie niemocy, lecz przez cały czas nie dawało mu spokoju podejrzenie, iż ważna była tylko jedna. Kobieta, tak zachęcająco rozciągnięta obok niego na łóżku wodnym, nie była jego eks-żoną.

Co ta Nora, do licha ciężkiego, z nim zrobiła?

ROZDZIAŁ 6

Już przeszło tydzień Caine unikał spotkania z rodziną. Dotąd uważał, że uosabiał sukces O'Halloranów, więc przyznanie się do klęski nie było łatwe.

Uznał jednak w końcu, iż najwyższy czas pokazać się najbliższym.

Zajechał pod dom rodziców i z ulgą stwierdził, że nikogo nie zastał. Następną wizytę, której zresztą najbardziej się obawiał, powinien złożyć dziadkom.

Stary drewniany dom nic się nie zmienił. Ściany nadal miały wyblakły, szaroniebieski kolor, a balustrada werandy była biała jak śnieg, który jeszcze gdzieś leżał pod iglastymi, ciemnozielonymi drzewami.

Dziadek Caine'a, w granatowym kombinezonie, koszuli w czarno-niebieską kratę, niebieskim podkoszulku i czarnej czapce z daszkiem, siedział na werandzie w bujanym fotelu, z fajką w zębach. Nie wyglądał na zdziwionego widokiem lśniącego sportowego wozu podjeżdżającego pod dom.

Wstał z fotela i stanął przy balustradzie werandy.

Caine wyłączył silnik i przyglądał się dziadkowi przez przyciemnioną szybę okna samochodu. W dzieciństwie sądził, że dziadek jest najpotężniejszym, najsilniejszym mężczyzną na świecie. Devlin O'Halloran kojarzył mu się ze statkiem zawijającym do portu,

kiedy wyprostowany, szeroki w barach, stapał pewnym, majestatycznym krokiem.

Lecz teraz, patrząc na zgarbione plecy dziadka, Caine uświadomił sobie kolejny raz, że czas nie stanął tutaj w miejscu tylko dlatego, że on wyjechał z Tribulation.

Głęboko odetchnął, otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu.

- Cześć, dziadku. - Caine stanął na schodkach werandy.

- Wreszcie zdecydowałeś się złożyć swojemu staremu dziadkowi wizytę - zagrzmiął dobrze znany, głęboki bas. -Już myślałem, że będę musiał zachorować, żeby cię ściągnąć do domu.

Kiedy Caine miał pięć lat, to właśnie w ramionach dziadka szukał schronienia, gdy wybił szybę we frontowym oknie pani Nelson, gdyż piłka poszybowała dalej i szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Tego ranka, wchodząc na stopnie werandy i wdychając znajomy zapach płynu po goleniu pomieszany z wonią fajkowego tytoniu oraz kamfory, którą babka odstraszała mole od wełnianych, ukochanych koszul dziadka, zdał sobie sprawę, że i teraz szuka u niego azylu.

- Mówiono, że wróciłeś - rzekł Devlin O'Halloran. - No i plotka się potwierdziła. Ten twój wóz przypomina mi trochę auto Batmana. - Ujął Caine'a za ramiona swymi dużymi dłońmi i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. - Słyszałem, że bracia Olsonowie nieźle cię pokieraszowali. — Nadal błyszczące, bystre oczy wpatrywały się w twarz wnuka. - Na szczęście nie jest tak źle, jak ludzie mówili.

- Siniaki zbladły.

- To i dobrze - powiedział Devlin. - No i jak ona ci się widzi?

- Kto?

- Nie strugaj przede mną wariata, chłopcze. Mówię o twojej żonie, naszej lekarce.

- Ona jest moją byłą żoną.

- Bzdura. Dopóki papież nie wystąpi w telewizji i nie zmieni reguł, kościół nadal nie będzie uznawał rozwodów. Więc po mojemu ona ciągle jest twoją żoną.

- Według władz stanu Nowy Jork moją żoną jest Tiffany.

- Jak słyszałem, już nie na długo.

Chociaż zdrada drugiej żony wydawała się Caine'owi mało zabawna, roześmiał się.

- Szybko tu nowiny docierają.

- Zawsze tak było - zgodził się starszy pan. - Przykro mi, że ci się nie ułożyło z tą rudowłosą modelką, ale czego się można spodziewać po kobiecie, która ma imię jak nazwa sklepu z biżuterią.

- Chyba masz rację, dziadku.

Dziadek zawsze w ciężkich chwilach potrafił go wprowadzić w lepszy nastrój. Prawie zawsze, poprawił się w duchu, gdyż pamiętał czas, kiedy nawet on nie zdołał rozproszyć czarnej chmury, która zawisła nad nim jak kir.

- Byłeś podobno na cmentarzu. Matty Johnson grabił liście koło grobu żony i widział, jak stawiasz kwiaty u Dylana. Miał do ciebie podejść i powitać cię w mieście, ale nadeszła Nora.

Tej wyraźnej sugestii Caine nie mógł pozostawić bez odpowiedzi.

- Nie byliśmy umówieni. Pewnie mój niespodziewany przyjazd ożywił w niej dawne wspomnienia.

- Tak właśnie z babcią uważamy. No więc?

- Co więc?

- Będziecie się spotykać?

- To małe miasteczko. Tego się nie uniknie. A poza tym ma mi zdjąć szwy.

- Pokaż.

Caine pochylił głowę.

- Świetna robota - przyznał Devlin z pewnym zdziwieniem. - Pamiętam, że twoja mama usiłowała nauczyć ją, jeszcze jako dziewczynkę, zeszywać łaty patchworków. W końcu zrezygnowała, bo mała stale chodziła z pokłutymi palcami.

- Chyba doszła do wprawy.

- Na to wygląda - zgodził się Devlin. - Jadłeś śniadanie?

- Jeszcze nie. Myślałem, że po wyjściu od was wstąpię do gospody Ingrid na kawę i jej sławne omlety.

- Chcesz złamać babci serce? Zrobiła dzisiaj rano naleśniki i mamy do nich dżem rabarbarowy, wiesz, w tym słoiku z wypisanym twoim imieniem.

- Teraz to już umieram z głodu.

Devlin otoczył wnuka ramieniem i poprowadził do kuchni. Była pusta.

- Widocznie babcia ucina sobie drzemkę.

- Tak wcześnie? - Caine rzucił okiem na stary, kuchenny budzik, stojący na półce nad piecem. - Dopiero ósma.

- Bardzo rano wstała. Weź sobie kawy i siadaj. Zjrę do niej. - Devlin uśmiechnął się, lecz Caine usłyszał ton troski w jego głosie.

- Czy z nią wszystko w porządku?

- Zestarzała się. - Po raz pierwszy, odkąd Caine pamiętał, dziadek unikał jego wzroku. - Siadaj. Zaraz wracam.

Caine nalał sobie kawy z powyginanego, aluminiowego dzbanka i ostrożnie upił łyk. Była gorąca, czarna i mocna, z odrobiną cykorii. Taki sposób parzenia kawy świadczył o nowoorleańskich korzeniach Maggie O'Halloran.

- Przynęła. - Devlin wrócił do kuchni. - Chyba nie chciałeś, żebym ją obudził?

- Oczywiście, że nie. Na pewno nic jej nie jest?

- Caine, twoja babcia nie jest już młodą kobietą i czuje się coraz bardziej zmęczona, zresztą jak my wszyscy w podeszłym wieku.

- Może zjem te naleśniki następnym razem.

- Nie bądź śmieszny. W mig je odgrzeję.

Podszedł do kuchni, szurając nogami. Caine nie mógłby siedzieć i przyglądać się, jak prawie trzy razy starszy od niego człowiek mu służy.

- Zrobimy to razem, dobrze?

- Dobra - odparł Delvin - tylko nie mów babci. Wygarbowałaby mi skórę, gdyby się dowiedziała, że zagoniłem cię do pracy, ledwo przekroczyłeś nasz próg.

- Ani mru-mru - zgodził się Caine. Przygotowywali śniadanie w przyjaznym milczeniu.

- Więc co zamierzasz zrobić, żeby Nora do ciebie wróciła?

- A skąd ci przyszło do głowy, że ja tego chcę?

- Tylko osioł by nie chciał.

- Nie owijasz w bawełnę, prawda?

- Gdybyś tego nie zauważył, chłopcze, to wiedz, że się starzeję i nie mam czasu na subtelności.

Część naleśników była gotowa. Caine ułożył je w stos na talerzu i zabrał się do następnej porcji.

- Zbyt dużo mam teraz na głowie, żeby odgrzewać stare dzieje mego nieudanego małżeństwa - powiedział pod nosem.

Uwaga dziadka przywiodła mu na pamięć również upokorzenie z poprzedniego wieczoru.

Starszy pan postawił na stole talerz z bekonem i pieczywo.

- Początek mieliście nie za dobry - zauważył.

Caine patrzył, z jakim trudem dziadek otwiera słoik z dżemem, i ledwo powstrzymał się, żeby mu nie pomóc.

- Koniec nie był lepszy - przypomniał.

- Każde małżeństwo przechodzi przez wyboiste ścieżki.

Przewrócisz naleśniki, czy chcesz jeść spalone?

Caine zdążył w ostatniej chwili i gdy zasiedli do jedzenia, z ulgą stwierdził, że dziadek przestał drażnić temat.

- Dobrze mieć cię znowu w domu, Caine - rzekł Devlin, nakładając łyżeczką dżem na naleśnik.

- Nie masz pojęcia, jak dobrze jest wrócić do domu. -Caine zjadł pierwszy kęs i przypomniał sobie, co to znaczy niebo w gębie.

- Tutaj wiele się zmieniło - zaczął narzekać dziadek. -Każdego dnia zjeżdża coraz więcej turystów, a wyglądają jak z żurnala mody. Kiedyś wypływaliśmy na połowy, ale teraz to już nie dla mnie.

Pamiętasz, jak cię zabrałem pierwszy raz na ryby?

- Przez tydzień łowiliśmy na błyszczkę łososie.

Caine miał wtedy pięć lat, lecz pamiętał zimny wiatr, spienione fale i pomarańczowe pływaki, jakby to było wczoraj. Wspomnienie pozostawało tak żywe, że gdy wziął do ust kawałek bekonu, był prawie zdziwiony, że nie smakuje jak ryba.

- Cały czas miałem chorobę morską.

- Byłeś zupełnie zielony - potwierdził Devlin. - Powiedziałem wtedy twemu tacie, że będzie musiał ci znaleźć inne zajęcie, bo ty w odróżnieniu od reszty O'Halloranów nie pokochasz chodzenia po kołyszącym się pokładzie. Następnego dnia kupił ci pierwszą rękawicę baseballową. - Żuł w zamyśleniu naleśnik. - Jak to się dziwnie plecie. Kto by przypuszczał, że wyrośniesz na gwiazdę tej miary co Ruth, DiMaggio czy Cobb?

- Jeszcze nie wybieram się na emeryturę.

- To samo powiedział o sobie twój tata - stwierdził Devlin. - Rybacy przeżywają teraz ciężkie czasy. Wiesz, te limity połowowe, cudzoziemcy buszujący na tutejszych wodach, więc być może twój tata będzie musiał zrezygnować z połowów na „Szczodrej”.

- Poszedłem wczoraj do doków rzucić okiem na tę łódź, ale mi powiedzieli, że wyszła w morze.

- Tata wynajął ją na dwa tygodnie. A już się wydawało, że będzie musiał w ogóle ją odstawić i wziąć się do pracy na lądzie.

- Nie wiedziałem, że ma kłopoty finansowe. Do licha, dlaczego mi o tym nie napisał?

- To nie twoja sprawa.

- W ostatnim roku zarobiłem trzy miliony dolarów. Devlin popatrzył na wnuka z zainteresowaniem.

- W gazetach pisali, że cztery i pół.

- Pomylili się.

- Tak czy siak, trzy miliony to niezła sumka.

- Wystarczająca, żeby spłacić nawet jakieś długi taty i kupić całą flotyllę nowych łodzi. - Palce Caine'a zacisnęły się na trzonku widelca. - Niech to diabli, powinien mnie zawiadomić!

- Miałeś własne kłopoty z tym urazem ramienia, no i małżeńskie - tłumaczył dziadek cierpliwie. - Nie chcieliśmy cię dodatkowo martwić.

Caine miał jednak niemiłe uczucie - choć te słowa nie padły - że rodzina nie zwróciła się do niego o pomoc, gdyż nigdy nie uważała, iż można na nim polegać. Rodzice wprawdzie byli dumni z jego

sportowych osiągnięć, jednak trudno im było traktować baseball jak pracę zawodową.

O'Halloranowie, wytrwali i skromni, elita miejscowego społeczeństwa, zawsze ciężko pracowali na każdy grosz. Jemu zaś płacono bająnskie sumy za udział w grze, w którą bawią się dzieciaki. Jeśli dodać do tego artykuły w prasie, lubującej się w szczegółach jego - według powszechnej opinii - rozwiązłego trybu życia, nic dziwnego, że rodzice woleli sami sobie radzić z finansowymi problemami.

- Tata powinien dać mi znać. Nie stało się nic takiego, z czym nie potrafiłbym sobie poradzić.

- Naprawdę nie było potrzeby. Już od kilku miesięcy wynajmuje łódź, a Ellen w czasie rejsów pracuje jako kucharka. Dzięki tym miastowym fircykom twój tata zarabia teraz więcej przez miesiąc, niż udało mu się uciulać w ciągu całego zeszłego roku. W związku z tym właśnie mam ci coś jeszcze dopowiedzenia.

- Co takiego?- Caine uświadomił sobie, że pyta tonem rozdrażnionego dwunastolatka, ale tak, niestety, w tym momencie się czuł.

- Czasami w życiu następują takie dziwne zmiany, wydaje się, że wszystko idzie źle. Ale jeżeli człowiek szybko się zorientuje, w czym rzecz, może to wykorzystać. Twój tata najpierw świata nie widział poza swoją łodzią i rybami. Potem chciał z niej w ogóle zrezygnować. Wtedy wpadł na pomysł z tym wynajmem i powiadam ci, nigdy nie był bardziej szczęśliwy. A twoja mama! Boże, ta dama przedtem nie

przepracowała za pieniądze jednego dnia. A teraz! Gdybyś usłyszał, jak się chwali, że te mieszczychy zmiatają z talerzy jej przysmaki, jakby całe życie pościli. Więc posłuchaj mnie, Caine, nie użalaj się nad sobą, tylko się zastanów, w jaki sposób zrobić sernik z tego sera, który ci los przydzielił.

- Ja się nie użalam.

- Kto nie użala się nad sobą? - zapytał kobiecego głosu. - Czy to mój Caine? - Maggie O'Halloran weszła do kuchni i przyglądała się badawczo wnukowi przez okulary w drucianej oprawie. Miała na sobie purpurową bluzę od dresu i dżinsy o wiele na nią za luźne, co wskazywało, że ostatnio bardzo schudła. Jej włosy, niegdyś rude, teraz miały kolor srebrnoróżowy.

- Witaj, babciu!

Caine poderwał się od stołu, rzucił się ku niej i pochwycił ją w ramiona. Była mniejsza, niż zapamiętał - czubek jej głowy ledwie sięgał mu do piersi - i jakaś niezwykle krucha.

- Boże, babciu, jak dobrze cię znowu widzieć, Odchyliła do tyłu głowę.

- Jak słyszę, nadal używasz imienia bożego nadaremno. -W niebieskich oczach migotały iskierki śmiechu. - Cóż my mamy z tobą zrobić, Caine O'Halloranie?

Kiedy i ona objęła go ramionami, wyraźnie poczuł, że jest znacznie słabsza niż kiedyś. Udawał, że niczego nie zauważa, i tylko wdychał znajomy zapach bzu, którym zawsze była owiana.

- Świetnie wyglądasz, babciu. - Caine uśmiechnął się do dziadka. - Uważaj, bo jeszcze jeden z tych tęgich, szwedzkich drwali porwie ci ją sprzed nosa.

- W zeszły piątek mrugnął do niej Lars Nelson - przyznał Devlin.

- Nie mrugał do mnie, ten starowina ma tik w lewej powiece - zaprzeczyła Maggie.

- Dla mnie to wyglądało jak perskie oko - upierał się Devlin. - Pomyślałem, że może chciałby, byś mu przypomniała lekcje pilotażu.

- To było pięćdziesiąt lat temu, Caine, a twój dziadek ciągle jest zazdrosny.

Roześmieli się wszyscy troje.

- A poza tym - Maggie powoli i z widocznym trudem kierowała się w stronę krzesła - nie siedziałam za sterami samolotu tak dawno, że pewno nie potrafiłabym wystartować.

- Bardzo wątpię, babciu - odparł Caine. - Wszyscy wiedzą, że urodziłaś się do latania.

- To prawda. - Uśmiechnęła się do męża, dziękując za kubek kawy ze sporą ilością mleka. - Oczywiście kiedyś, za dawnych czasów, trzeba było długo o tym ludzi przekonywać.

- Podmuchała na gorącą kawę i upiła łyk. - Nie pozwolili mi samej pilotować, więc nie mogłam dostać licencji.

Caine znał na pamięć romantyczną historię życia babci.

Maggie O'Halloran, z domu Margaret Rose Murphy, urodziła się w Nowym Orleanie w 1910 roku. Kiedy skończyła piętnaście lat,

uciekła z prowadzonej przez zakonnice szkoły, gdzie ją umieścili bardzo zamożni rodzice. Została piosenkarką i tancerką w teatryku objazdowym. Poznała wtedy słynnego asa lotnictwa z czasów pierwszej wojny światowej, który oblatywał cały kraj. Zabrał ją swym samolotem w przestworza i chociaż na drugi dzień odleciał, miłość do lotnictwa pozostała Maggie na całe życie.

Caine w młodości słyszał niezliczone historyjki o wyczynach babci, a także o Devlinie, który - urzeczony jej wyglądem, gdyż nosiła szokujące jak na owe czasy spodnie khaki - poprzysiągł sobie, że zdobędzie serce pełnej temperamentu, płomiennowłosej lotniczki.

Widząc znane, ciepłe błyski w oczach babci, Caine z radością szykował się do wysłuchania jej opowieści po raz kolejny.

- I wreszcie ci się udało.

- No pewnie. - Zachichotała i znowu upiła łyk kawy. -

Oczywiście to ciągle był świat mężczyzn i oni nie dopuszczali mnie do żadnej pracy w lotnictwie. Pewnego dnia zjawiłam się na niewielkim lotnisku w Glendale, w Kalifornii, gdzie odbywały się zawody. Zdobyłam nagrodę i dzięki temu miałam pieniądze na paliwo do następnych trzech mistrzostw. Och, uwielbiałam wygrywać z tymi samolubnymi pyszałkami w goglach i powiewających na wietrze białych, jedwabnych szalikach. Kiedy Amelia Earhart wręczała mi w 1937 roku puchar za zwycięstwo w mistrzostwach kraju, miałam więcej przelatanych godzin niż ona.

- I w spodniach też wyglądałaś lepiej niż ona - dodał Devlin.

- Devlinie O'Halloranie, zawsze umiałaś prawić komplementy.

Jej policzki zarumieniły się lekko i Caine poczuł nagle ukłucie zazdrości, gdyż ci dwoje, po prawie sześćdziesięciu latach małżeństwa, nadal byli w sobie zakochani. Zastanawiał się, jak im się udało taki wyczyn, gdy nagle zobaczył, że babci opadła głowa na piersi.

- Babciu! - Znalazł się przy niej w mgnieniu oka.

- Ona często zapada w taką drzemkę - uspokajał go dziadek. - Nora twierdzi, że to normalne.

- Ale przecież dopiero co się przebudziła.

- A teraz śpi. Zostaw ją, Caine.

Lecz on nie mógł tego tak zostawić. Z Maggie działo się coś niedobrego. Coś, o czym dziadek mu nie powiedział. Skoro Devlin ukrywa przed nim stan zdrowia swej żony, Caine nie ma wyboru i musi dowiedzieć się wszystkiego od Nory.

- Dzięki za śniadanie - zwrócił się do dziadka. - Pozmywam naczynia.

- Nie potrzeba, włożę je do zmywarki. - Devlin rzucił Caine'owi ostrzegawcze spojrzenie. - Maggie nie podobałoby się, że bez powodu się o nią martwisz.

- Ona jest chora.

- Stara - poprawił go dziadek. - Daj temu spokój.

- Oczywiście, skoro tak uważasz. - Caine wzruszył ramionami.

Obydwaj wiedzieli, że to kłamstwo. Caine uściskał dziadka na pożegnanie i poszedł do samochodu. Dźwigał na swych ramionach brzemień całego świata.

Johnny Baker miał siedem lat, nie uczesane włosy koloru śmietankowych sugusów, gołe, brudne stopy oraz oczy o spojrzeniu ponad wiek dojrzałym i apatycznym.

Żaden siedmiolatek nie ma prawa tak patrzeć na świat. A swoją drogą, Johnny'emu się udało. Matka twierdziła, że wylał na siebie garnek z wrzącą wodą, stąd oparzenie widoczne na skórze. Nie wyglądało gorzej niż objawy stanu zapalnego po nadmiernym opalaniu. W innych okolicznościach Nora odesłałaby go do domu z tubką maści uśmierzającej ból. Jednak zaniepokoiły ją te ślady na skórze. Na obu zaczerwienionych i bardzo chudych przedramionach widniały wyraźne ich linie, graniczne. Nie zauważyła natomiast żadnych śladów rozpryskującego się ukropu. A były jeszcze inne, niezbyt już wyraźne blizny na ramionach i pośladkach chłopca. Okrągłe, pomarszczone małe blizny. Nora już kiedyś takie widziała,

Kiedy rentgen potwierdził jej obawy, zatelefonowała do wydziału opieki społecznej, a potem zaczęła wypełniać formularz w sprawie przyjęcia dziecka do szpitala i zatrzymania go do czasu zbadania sprawy.

Właśnie skończyła papierkową robotę, gdy otworzyły się drzwi. Uniosła głowę i zobaczyła stojącego w progu Caine'a. Musiała włożyć sporo wysiłku, żeby nie okazać radości na jego widok.

- Cześć. — W pierwszej chwili chciała wstać z krzesła, lecz powstrzymała się. Niech lepiej biurko odgradzają od niego. - Co za niespodzianka.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Och, Caine. Już ci mówiłam...

- Nie o nas - powiedział szybko - o Maggie.

- Ach, tak. Byłeś u niej.

- Dzisiaj rano. Najwyraźniej coś jej dolega, a dziadek nie chce ze mną na ten temat rozmawiać

- Wiem. - Nora westchnęła. - Ciężko mu na myśl, że ją straci.

- Babcia umiera?

Nora potwierdziła najgorsze przypuszczenia Caine'a. Przeszył go ból, jakiego żaden z braci Olsonów nie mógłby mu zadać.

- Caine, my wszyscy umieramy - powiedziała Nora cicho. - Tyle tylko, że czas Maggie już się zbliża.

- Co jej jest?

Nora wskazała krzesło po drugiej stronie biurka.

- Siadaj, proszę. Chcesz kawy?

- Noro, nie przyszedłem tu na popołudniowe przyjęcie - rozzłościł się Caine. - Nie odgrywaj roli gospodyni. Chcę wiedzieć, co dolega babci.

- Poza podeszłym wiekiem?

- Do licha, ma dopiero osiemdziesiąt dwa lata. Oboje jej rodzice dożyli setki. Gawędziliśmy sobie, a ona w trakcie rozmowy usnęła.

Nie powiesz mi, że to normalne. Nawet w jej wieku.

- Masz rację. - Nora spostrzegła przerażenie na twarzy Caine'a. Zastanawiała się, od czego zacząć. - Kilka lat temu lekarze wykryli u Maggie ciężką postać anemii.

- Pamiętam. Mama mi pisała, ale zapewniała, że dopóki babcia będzie otrzymywała regularnie transfuzje, nic złego się nie stanie.

- I tak było. Do niedawna. Pewnego dnia przyszedł do mnie Devlin, bardzo zmartwiony, że ona ciągle zapada w sen. Nie mógł jej namówić na wizytę u lekarza, więc zwrócił się do mnie o pomoc.

- Babcia zawsze bardzo cię lubiła.

- A ja ją kocham - powiedziała Nora po prostu. - Problem w tym, że, jak ci wiadomo, twoja babcia jest dość upartą kobietą.

- Delikatnie mówiąc.

- Właśnie. Więc się jej przypodchlebiałam i błagałam ją nie jako lekarz, lecz jako bliska jej osoba, aż wreszcie udało mi się ją namówić na bardzo szczegółowe badanie w Seattle.

- I?

- Caine, ona cierpi na hemochromatosis.

- A cóż to, u diabła, jest?

- To trudno wyjaśnić laikowi, ale problem polega na tym, najprościej mówiąc, że nagromadzone w organizmie żelazo z przetaczanej krwi wpływa na kurczliwość mięśnia sercowego. Serce może wydolnie pracować tylko przez krótki czas, potem musi odpocząć. Dlatego ona usypia.

- To daj jej nowe serce.

- Chciałabym, żeby to było takie proste. Niestety, nie jest.

- Na pewno jest. W zeszłym roku zarobiłem trzy miliony dolarów.

- W gazetach pisali, że cztery i pół.

Gdyby Caine nie martwił się tak bardzo zdrowiem babki, zastanowiłoby go, że Nora czytała, co piszą o nim w gazetach.

- Pomylili się. Trzy. Ale, Noro, to ciągle jest sześć zer. Z pewnością wystarczy, żeby kupić babci nowe serce.

- Nawet gdybyś je natychmiast zdobył, co jest mało prawdopodobne, w przypadku Maggie transplantacja nie jest wskazana.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, gdybyś nawet zdołał umieścić ją na liście biorców, nie jest na tyle silna, żeby przeżyć oczekiwanie na serce dawcy. A po drugie, gdyby serce znalazło się odpowiednio wcześnie, wątpię, czy przeżyłaby operację.

- Warto spróbować.

- Ona jest innego zdania.

- Co takiego?

- Maggie kategorycznie zabrania jakichkolwiek nadzwyczajnych działań mających utrzymać ją przy życiu.

Caine zacisnął zęby aż do bólu.

- Ależ to śmieszne - powiedział po chwili.

- To jej decyzja. A my - Nora dodała łagodnym tonem - to znaczy Devlin i ja zgadzamy się z nią.

Na twarzy Caine'a pojawił się upór, który Nora tak dobrze знаła.

- Babcia zawsze słuchała moich rad. Sądzę, że potrafię ją przekonać.

- Caine, nie rób tego. - Nora wstała zza biurka i podeszła do byłego męża. - Maggie podjęła już decyzję i nie martwi się swoim stanem. Nie denerwuj jej.

Poderwał się z krzesła.

- Usiłuję ocalić jej życie, do cholery!

- O to właśnie mi chodzi. - Nora położyła mu dłoń na ramieniu, pod palcami czuła napięte mięśnie. - Nie możesz jej ocalić. Nikt nie może jej pomóc.

- Nie pozwolę jej umrzeć!

Nora coś sobie przypomniała. Medyk z ekipy ratowniczej, wydobywającej Dylana ze zgniecionej, czerwonej corvetty, mówił jej, że wtedy Caine wykrzykiwał te same słowa.

- Bardzo mi przykro, Caine, naprawdę ogromnie ci współczuję.

- Niech to piekło pochłonie! - Podeszedł do ściany i walnął w nią pięścią tak, że wybił dziurę w gipsowej płycie. Ale i tego było mu mało, więc kopnął ją dziko i nagle wydało mu się, że piorun przebiegł przez jego gojące się żebro.

- Nic ci nie jest? - spytała Nora.

- Nic. - Wyprostował dłoń. - Widzisz? - Utkwił umęczony wzrok w postrzępioną dziurę. - Przyślij mi rachunek.

- Nie przejmuj się tym.

- Powiedziałem, przyślij mi ten cholerny rachunek.

- Dobrze, przyślę ci ten cholerny rachunek.

- W porządku. Zasięgnę opinii jeszcze jednego lekarza.

- Masz do tego pełne prawo - odparła. - Uprzedzam cię, wszyscy specjaliści, którzy badali Maggie, są jednomyślni. Nie możesz jej ciągać po całym kraju, bo ona na to nie ma siły.

- Niech to szlag trafi! - Usiadł na sofie i ukrył twarz w dłoniach. - I co teraz?

- Zaproponowałam Maggie pewną kurację dostosowaną do domowych warunków, żeby nie musiała spędzić ostatnich miesięcy w szpitalu.

- Ona by nie zniosła ponurej, szpitalnej klitki - stwierdził pośpiesznie. - Czy już zastosowałaś to leczenie?

- Maggie jeszcze się na nie nie zdecydowała. Może ty potrafisz ją przekonać.

Caine skinął głową.

- Zrobię co w mojej mocy. - Spojrzał na Norę badawczo. - Jakie są prognozy?

- Mówiłam ci...

- Wiem, Noro. Przekonałaś mnie, że ona umrze. Chcę wiedzieć kiedy. I jak.

Znała ten wyraz jego twarzy. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy czekał na wiadomość o ich synku. Wówczas sama była zbyt przerażona, żeby zwracać uwagę na jego ból. Teraz nie mogła pozostać obojętna.

- To trudno przewidzieć - odpowiedziała łagodnie. - Może mieć atak serca albo wylew, albo po prostu uśnie i już się nie obudzi.

- Tragiczny wybór.

- Bardzo mi przykro.

Przyglądał się Norze. Jej prostym, jasnym włosom, wykrochmalonemu lekarskiemu fartuchowi z plaketką identyfikacyjną umieszczoną nad prawą piersią. Była mu zarazem znajoma i obca. Zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę, że właśnie przez kontrast z tym nienagannym, służbowym ubiorem wydaje się bardziej kobieca. Bardziej miękka.

- Nigdy nie myślałem o tobie jak o lekarzu.

- Wiem. — To była jedna z tych spraw, o którą się stale kłócili.

- Całkiem dobrze sobie radzisz. Jestem pod wrażeniem. Słaby uśmiech ukazał się w kącikach jej pełnych, kształtnych ust.

- Dziękuję. Dzisiaj szczególnie potrzebuję miłych słów. Spojrzał na ciągle podświetlony negatoskop, do którego przyczepione było zdjęcie rentgenowskie.

- Jakież kłopoty z pacjentem?

- Z siedmioletnim chłopcem. Przyprowadziła go matka i twierdziła, że się oparzył, bo ściągnął na siebie garnek z wrzącą wodą.

- Mam nadzieję, że oparzenia nie okazały się groźne.

- Pewnie nawet nie będzie pęcherzy. Miałam dziwne przeczucie i skierowałam go do rentgena.

- I co?

- Widzisz je? - Nora wskazała ołówkiem kilka słabo widocznych linii..

Caine podszedł bliżej.

- Te nierówne linie?

- To stare złamania, które nie były leczone. Same się zrosły.

- Chłopczyk był bity?

- Najwyraźniej. I coś jeszcze. - Nora zgasiła negatoskop. - Ma blizny wielkości obwodu ołówka.

- Albo zapalonego papierosa. - Caine'owi zrobiło się nagle niedobrze.

- Albo zapalonego papierosa - powtórzyła posępnie. Jak to się dzieje, pomyślał, że oni, którzy tak uwielbiali swego synka, stracili go, a inni rodzice znęcają się fizycznie nad własnymi dziećmi?

- Zastanawiające, prawda?

W jego pełnych bólu oczach wyczytała własne, dręczące ją myśli.

- Tak - odrzekł szeptem - bardzo.

Stali wpatrzeni w siebie, ożywieni wspomnieniami wspólnie przeżytych chwil - złych i dobrych.

- Noro. - Pogłaskał ją po jedwabistych włosach i dostrzegł w jej oczach odpowiedź.

- Och, Caine - szepnęła. Pochylił się ku niej.

- To błąd - ostrzegła.

- Prawdopodobnie, ale nie gorszy od innych, które ostatnio popełniłem. - Wierzchem dłoni gładził jej policzki powoli, uwodzicielsko. - I jestem gotów się założyć, że o niebo bardziej przyjemny.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy wargi Caine'a dotknęły ust Nory, minione lata odpłynęły w niepamięć.

Trzymając Norę w ramionach, nie czuł - wbrew swym obawom - smutku z powodu utraconej miłości. Przeciwnie, nabierał pewności, że jest mu dobrze.

Jak mógł zapomnieć słodycz jej ust, żywą reakcję na pieszczotę jego warg?

Czuł głęboki, drżący oddech Nory. Czas cofnął się nie do owych tragicznych zdarzeń, lecz do wcześniejszych dni, kiedy połączyła ich namiętność zrodzona z miłości.

- Boże, jak mi tego brakowało. - Caine przytulał ją coraz mocniej, aż żar zaczął rozpalać ich ciała. - Tęskniłem za tobą.

Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo prawdziwe są te słowa.

- Nic nie mów - wyszeptała bez tchu - tylko mnie całuj. I tul mnie. - Jej ramiona objęły go zachłannie, usta wtapiały się w jego usta w namiętnych pocałunkach. - Trzymaj mnie mocno.

Dobry Boże, całkiem się w niej zatracił - w dotyku ciała, w smaku ust, w jej zapachu. Nora była wszystkim, czego naprawdę, choć nieświadomie, pragnął. Była niebem. Była domem.

Dom. Słowo, które kiedyś poruszało w jego duszy bolesne struny i przywoływało przykre wspomnienia, teraz brzmiało jak modlitewne wezwanie.

- Muskał wargami jej brodę, potem przesuwał je wyżej, do policzka i skroni. Rozpaczliwie chciał się dowiedzieć, czy jej ciało zmieniło się w ciągu tych lat, kiedy byli rozdzieleni, więc wsunął rękę między zapięcie lekarskiego fartucha, a potem pod bluzkę. Objął dłonią jej pierś, a z rozchylonych ust Nory wydobył się przytłumiony jęk. Te piersi nadal miały jedwabistą skórę, były tak samo jędrne i pachnące, jak je zapamiętał.

Marzył o tym, żeby wziąć do ust naprężone sutki, czuć przy sobie ciało Nory spragnione jego ciała. Chciał ją osiąść całą - jej umysł, duszę i ciało, jak to robił tyle razy w owe noce przed laty. Nawet zastanawiał się, czy nie spełnić swych pragnień tu i teraz, w jej gabinecie, gdy nagle odezwał się ostry dźwięk interkomu.

Pograżony w zmysłowych fantazjach nie dopuszczał do siebie myśli, że ktoś może im przeszkodzić.

Sygnał natrętnie brzęczał.

- Muszę się odezwać. - Ton głosu Nory wskazywał, że i ona w pierwszej chwili miała ochotę zignorować wezwanie.

- Chyba mi nie powiesz, że szpital przestanie funkcjonować, jeżeli się nie odezwiesz.

- Nie, ale rejestratorka w takim przypadku ma zwyczaj tu zaglądać.

Pomyślał, że dla Nory byłoby niezwykle krępujące, gdyby przyłapała panią doktor na czułych uściskach z byłym mężem, więc odsunął się, choć niechętnie. Zachwiała się i musiał ją podtrzymać.

- Nic ci nie jest?

- Oczywiście, że nie - odparła, ale palce, którymi poprawiała włosy, drżały.

- Przypomnij mi, żebym kupił wywieszkę „Nie przeszkadzać” na drzwi twego gabinetu.

- Caine, proszę - poprawiała bluzkę i fartuch - nie rób tego więcej.

Wrócili na znajomy grunt - Nora się wycofywała, a on nalegał.

- Nie zrobiłem tego sam.

- Wiem. - Jej głos i wyraz oczu wskazywały, że teraz żałuje tej chwili namiętności. Rozległo się pukanie do drzwi i zaraz do gabinetu weszła Mabel.

- Pani doktor, czy wszystko w porządku?

Spojrzenie starszej pani przypominało Caine'owi wzrok ciekawskiego ptaka, gdy tak wędrowało między nimi dwojgiem.

- Naturalnie - odparła Nora, choć nie zabrzmiało to przekonująco.

- Na pewno? - Przenikliwe oczy badały zarumienioną twarz Nory.

- Oczywiście.

- Nie odebrała pani interkomu.

- Dyskutowaliśmy z panem O'Halloranem o stanie zdrowia jego babki - powiedziała Nora.

Mabel odwróciła się do Caine'a stojącego z ramionami założonymi na szerokiej piersi.

- Wydawał mi się pan znajomy.

- Caine O'Halloran, Mabel Erickson - przedstawiła ich sobie Nora bez entuzjazmu. - Mabel prowadzi rejestrację w izbie przyjęć.

- Nic dziwnego, że wszystko wyjątkowo sprawnie działa, pani Erickson. Bywałem w wielu szpitalach i potrafię to docenić.

- Na imię mi Mabel. - Rozpromieniła się. - Mam w szufladzie kalendarz „Playgirl” z pana zdjęciem. - To wyznanie zdumiało Norę. - Czy mogłabym zaraz go przynieść i prosić o autograf?

Caine uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony.

- Przed wyjściem wstąpię do rejestracji. Rozjaśniona kokieteryjnym uśmiechem twarz Mabel miała teraz barwę przejrziałych malin.

- Trzymam za słowo.

- Przyrzekam - odparł.

- Mabel? - Nora zwróciła się do pani Erickson, która już kierowała się ku drzwiom.

- Słucham, pani doktor. - Rejestratorka zatrzymała się i spojrzała na Norę przez ramię.

- Czego chciałaś?

- Chciałam? - Wzrok Mabel prześlizgnął się na Caine'a.

- Interkom - przypomniała jej Nora - brzęczał.

- A, to. Przyszła jakaś pani z opieki społecznej. W sprawie tego małego chłopca. Posadziłam ją w poczekalni.

- Dziękuję.

Lecz podziękowanie nie dotarło już do Mabel, która popędziła do rejestracji.

- Najwyraźniej dokonałeś kolejnego podboju- skomentowała Nora suchym tonem.

Pomyślał, że taka reakcja była typowa dla dawnej Nory. Dobrze pamiętał, że nie mogła pogodzić się z faktem, iż jej męża stale otaczało grono wielbicielek.

Ich pierwsze fizyczne zbliżenie po sześciu miesiącach celibatu potwierdziło wrażenia pamiętnej nocy świętojańskiej, kiedy to Nora nie kryła swej namiętnej natury, że pod względem seksualnym są znakomicie dobraną parą. Natomiast prawdziwym szokiem dla Caine'a stało się wówczas odkrycie, że jest szaleńczo zakochany w swej żonie.

- Chyba to ani miejsce, ani czas na rozmowę o moich rzekomych zdradach, Noro — rzucił z cierpkim grymasem. Nagle znikło ciepło, które przed paroma minutami biło z jego oczu.

- Ta sprawa nie ma żadnego znaczenia — powiedziała przez zaciśnięte zęby - bo między nami wszystko skończone. Inne kobiety w twoim życiu przestały mnie obchodzić już dawno temu.

Przyglądała pogniecione kłapy fartucha - jawny dowód jej godnego potępienia, nieprofesjonalnego zachowania. Caine potarł w zamyśleniu brodę.

- Wiesz, ja też sądziłem, że nic nas nie łączy. Teraz zaczynam mieć wątpliwości.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Ja nie mam żadnych.

- Najmniejszych?

- Absolutnie.

Caine'a ogarnęła wściekłość. Dopiero co obdarzała go czułymi pocałunkami, a teraz udaje, że nic się nie stało. Miał ochotę porwać ją w ramiona i tu zaraz, na sofie, na biurku - do diabła - nawet na podłodze udowodnić jej, jak bardzo się myli.

- No to pozostaje nam tylko jeden wspólny problem. Zdrowie Maggie - powiedział.

Maggie. Caine nie potrafił się pogodzić z myślą o śmierci babki. Będzie jeszcze musiał się nad tym zastanowić w samotności. Albo w towarzystwie swego nowego, najlepszego przyjaciela, butelki whisky z nalepką „Jack Daniel's”.

- Nasze osobiste stosunki nie mają na tę sprawę wpływu - odparła sucho. - Muszę już iść. - Unikała jego spojrzenia.

- Powiedz mi jeszcze, co teraz?

- Z nami? Caine, już ci mówiłam: nic.

Bardzo dobrze, pomyślał posepnie, miał teraz dosyć innych problemów na głowie, żeby jeszcze przejmować się byłą żoną, nawet jeśli pozostawała jedyną kobietą na świecie, którą byłby gotów błagać o miłość.

- Właściwie to pytałem o tego małego chłopca.

- Och. - Zakłopotana, że go źle zrozumiała, i zdziwiona, iż zainteresował się kimś poza samym sobą, odparła: - Wydział opieki zajmie się wyjaśnieniem tej sprawy. Chyba zatrzymam chłopca w szpitalu, bo boję się, że tymczasem oddadzą go matce.

- Uda ci się to zrobić? - Troska o nieszczęśliwego chłopczyka przesłoniła mu na chwilę niepokój o Maggie.

- Nie trzeba nadmiernej pomysłowości, żeby u dziecka coś znaleźć.

- Mówisz tak, jakbyś miała w tej dziedzinie doświadczenie.

- Niestety, mam. - Zebrała z biurka jakieś akta. - Naprawdę muszę już iść.

- Oczywiście. - Usunął się jej z drogi. - Czy myślisz, że mógłbym go odwiedzić?

- Och, to byłoby wspaniale! Nie wiem, dlaczego sama o tym nie pomyślałam. - Obdarzyła go pełnym wdzięczności uśmiechem. - Jest na górze, na oddziale dziecięcym. Może teraz pójdziesz, a ja porozmawiam z panią z opieki społecznej.

- Świetnie. - Zmarszczył brwi. - Szkoda tylko, że nie mam dla niego rękawicy baseballowej albo czegoś takiego.

- Spotkanie z tobą będzie miało na niego i tak dobroczynny wpływ. - Położyła mu dłoń na ramieniu, a uśmiech rozświetlił także jej oczy. - Dziękuję ci.

- Nie ma za co, pani doktor. - Nakrył jej dłoń ręką. - Cieszę się, że mogę pomóc.

Nie dodał tylko, że gdyby teraz musiał wracać samotnie do pustego domu i tam rozmyślać o Maggie albo o klęsce ich małżeństwa, pewno by się załamał i spał na umór.

Gdy szedł do windy, ciągle jeszcze miał przed oczami uroczy uśmiech Nory. Może to zapowiedź zmian na lepsze?

Johnny Baker okazał się wspaniałym lekarstwem dla mężczyzny, który chciał się znowu poczuć bohaterem. Po kilku miesiącach rozczulania się nad sobą jeden rzut oka na te chude, obandażowane rączyny wystarczył, by Caine spojrział na swe problemy z właściwej perspektywy. Jeżeli Nora się nie myliła, to trudno było porównywać los tego dzieciaka z jego życiowym pechem. Johnny wprawdzie odgrodził się od świata obronnym murem, którego nawet Nora mogłaby mu pozazdrościć, jednak Caine'owi - dzięki opowieściom o swych przygodach sportowych - udało się zrobić pewien wyłom w tej fortecy.

W każdym razie na tyle, że kiedy do sali weszła Nora z opiekunką społeczną, dziecko już zaczęło się odprężyć.

- Pani doktor, niech pani spojrzy, kto mnie odwiedził - powitał ją Johnny. - Caine O'Halloran. - Wyszepiał to nazwisko jak fanatyk religijny wymawiający imię swego boga. Oczy Johnny'ego, tak osowiałe i bez życia w czasie badania lekarskiego, teraz lśniły entuzjazmem.

- Doktor Anderson i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi - powiedział Caine.

- Ojej! - Chłopiec spoglądał to na nią, to na niego. - Pani to ma szczęście.

- Chyba tak - odparła Nora.

- Wie pani co?

- Słucham.

- Obiecał mi przynieść piłkę baseballową z autografem.

- I prawdziwą czapkę Yankeesów - przypomniał mu Caine.

- Tak. - Johnny Baker miał wyraz twarzy dziecka, dla którego Boże Narodzenie nadeszło o parę miesięcy wcześniej. -I prawdziwą czapkę Yankeesów z podpisami Billy'ego Martina i Mickey Mantle'a.

Nora wiedziała, jak bardzo Caine cenił swe pamiątki, więc spojrzała na niego zdziwiona. W odpowiedzi uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- To cudownie. - Nora też uśmiechnęła się do chłopczyka. - Johnny, to jest pani Langley. Chciałaby z tobą trochę pogawędzić.

Blask zgasł w oczach malca jak płomień świecy zdmuchnięty zimnym wiatrem.

- Pani jest z opieki społecznej, prawda? - Powiedział te słowa bez emocji, opanowanym, dorosłym głosem. Ten ton poruszył Caine'a bardziej niż okazywane mu przez chłopca uwielbienie.

W pokoju zapadła na chwilę cisza.

- Tak, to prawda - przyznała kobieta cicho.

Chude ramionka uniosły się i opadły w pełnym rezygnacji geście.

- Domyśliłem się.

- Johnny, czy już kiedyś rozmawiałeś z kimś z opieki społecznej? - spytała Nora.

- Tak, W Portland. I parę razy w Los Angeles. A potem mama zawsze wpada we wściekłość i znowu musimy się przeprowadzać. - Westchnął. - Okropnie mnie męczą te przeprowadzki.

- Może już więcej nie będziesz musiał się przenosić. - Pani Langley przysunęła krzesło do łóżka i usiadła koło chłopca.

- Może tym razem będzie inaczej.

Johnny patrzył na panią Langley bez przekonania. Posmutniał, jakby spodziewał się najgorszego.

- Zawsze tak mówią - powiedział zobojętniały. Widać było, że schronił się znowu za swój obronny mur. Caine uściśnął ramię Johnny'ego. Poczł solidarność z tym małym chłopcem, choć ich dzieciństwo układało się tak odmiennie.

- Słuchaj, bracie, mnie się wydaje, że my we czwórkę potrafimy coś zmienić. Tylko musisz nam pomóc.

- Jak? - Johnny spojrział na swego idola z iskierką nadziei.

- Musisz powiedzieć prawdę.

Mały nie odpowiadał, więc Caine pochylił się i coś mu szepnął do ucha.

- Zastanowię się - odparł Johnny. - Pod warunkiem, że mi pan to obieca.

- Słowo.

Chłopczyk wpatrywał się w Caine'a przez długą chwilę.

- Chyba mogę panu zaufać.

- Nie umiałbym cię zawieść, Johnny. Możesz na mnie liczyć.

Mały najwyraźniej podjął decyzję, gdyż zwrócił, się do opiekunki społecznej.

- Więc czego chciałaby się pani dowiedzieć?

- Dlaczego zdecydował się mówić? Co mu powiedziałaś? -
pytała Nora, gdy opuścili z Caine'em pokój.

Miała już do czynienia z podobnymi przypadkami, kiedy ślady oczywiście wskazywały na znęcanie się nad dziećmi, lecz one ze strachu lub źle pojętej lojalności zdecydowanie odmawiały oskarżenia rodziców.

- Niewiele. - Caine nacisnął guzik windy. - Po prostu mu przyrzekłem, że nie pozwolę opiece społecznej odesłać go do matki.

- Caine! - Nora patrzyła na niego ze zdumieniem. - Nie miałeś prawa mówić mu czegoś takiego!

- Dlaczego?

- Bo nie ty decydujesz w tej sprawie.

- Ależ oczywiście, że decyduję.

Podjechała winda, metalowe drzwi rozsunęły się i Caine przepuścił Norę przed sobą.

- Jeżeli opieka społeczna popełni znowu błąd i pozwoli matce kolejny raz zabrać go do domu - Caine wszedł za Norą do windy i nacisnął guzik parteru - zwołam konferencję prasową i rozpowiem na cały kraj, co ona mu zrobiła. I wtedy ktoś dobierze się tym biurokratom do tyłka.

- Nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego?

- Bo matka może zaskarżyć cię do sądu o zniesławienie albo oszczerstwo.

- Niech sobie skarży - odparł Caine. - Zaangażuję najlepszego adwokata w kraju, a on już tak wykombinuje, że proces będzie się ciągnął latami, aż mały dojdzie do pełnoletności i się od niej wyzwoli.

Caine naprawdę tak by zrobił, pomyślała Nora. Sądziła, że zna go dobrze, a jednak ją zadziwił.

- Dlaczego gotów jesteś narazić się na takie ryzyko dla chłopca, którego właściwie nie znasz?

- A dlaczego ty to robisz? - odpowiedział pytaniem. - Lekarz nie wypełnia wniosku, w którym powołuje się na uzasadnione podejrzenie o znęcanie się nad dzieckiem bez sprawdzenia wszelkich ewentualności.

- To dziecko było narażone na niebezpieczeństwo. Nie miałam wyboru.

- No właśnie. - Caine z satysfakcją pokiwał głową. Winda zatrzymała się na parterze. - I wierz mi lub nie, ale pierwszy raz w życiu całkowicie się zgadzamy. - Wyszedł za nią z windy. - Postąpiłem tak z jeszcze jednego powodu.

- Jakiego?

- Dylan byłby pewno bardzo podobny do Johnny'ego Bakera - powiedział cichym, pełnym bólu głosem - gdyby żył...

- Dosyć, Caine...

Oczy zaszyły jej łzami, odwróciła się. Poczowała jego dłoń na ramieniu.

- Czy nie sądzisz, że już najwyższy czas, żebyśmy się razem z tym uporali, Noro?

Kiedy głośnik nad jej głową zaczął wywoływać lekarzy z ostrego dyżuru, o mało nie rozplakała się z ulgi.

- Muszę iść - powiedziała. - Jestem w pracy. Opuścił rękę.

- O której kończysz?

- O wpół do czwartej, ale...

- Będę czekał.

- Ale, Caine... - Głośnik nie milkł. - Och, do licha. I tak zrobisz, co zechcesz. Zawsze tak było.

Prawie zadowolona, że gniew wziął górę nad zamętem, w jaki Caine wprowadził jej myśli, pobiegła w stronę bramy, przez którą wjeżdżała karetka pogotowia.

Obserwował ją, jak rozmawia z sanitariuszami wysuwającymi nosze z czerwono-białego ambulansu. Nie była już tą kobietą, uwodzoną przez niego przed płonącym kominkiem w noc świętojańską wiele lat temu. Ani ową niepewną siebie, zagubioną, a często rozgniewaną młodą żoną, z którą albo się wyklócał, albo namiętnie kochał i którą wreszcie porzucił.

Nie, ona dopiero teraz stała się w pełni sobą. Zadowolona ze swego życia, nawet szczęśliwą.

Nie po raz pierwszy od powrotu do Tribulation Caine zapragnął zgłębić jej tajemnicę. Dowiedzieć się, jaki znalazła sposób na życie.

Kiedy Nora opuszczała szpital tego popołudnia, nie była zaskoczona, że Caine dotrzymał słowa i czekał na nią. Nie zdziwiła się też, że eks-mąż nie zwracając uwagi na wyraźne znaki, zaparkował w miejscu zastrzeżonym dla samochodów personelu medycznego.

Stał oparty o czarny, lśniący, sportowy wóz. Podeszła do niego.

- Eric miał rację. To ferrari jest trochę podobne do maszyny Batmana.

- Tak - uśmiechnął się. - Nie mogłem mu się oprzeć, choć bardziej pasowałoby do młodzieniaszka niż do starszego pana. Jak pani doktor myśli, czy ja czasem nie przechodzę męskiej menopauzy?

Ten wyzywający uśmiech w jednej chwili przeniósł ją z nastroju powagi i skupienia, jakiego wymagała praca na dyżurze, w rozgorączkowane podniecenie.

- To byłoby raczej dziwne - przybrała suchy ton, żeby ukryć zmieszanie - zważywszy, że emocjonalnie ciągle jesteś nastolatkiem.

- O, wiesz jak komuś dopiec, co? A już myślałem, że zostaliśmy przyjaciółmi.

- Zatem jako przyjaciółka zwracam ci uwagę, że zaparkowałeś w niedozwolonym miejscu.

- Było puste.

- Ale jest zarezerwowane dla dyrektora szpitala.

- Gdyby facet pracował cały dzień jak powinien, nie byłoby puste - odciął się Caine, - A teraz powiedz, jaki przypadek okazał się dzisiaj najtrudniejszy?

- Szesnastoletnia dziewczyna, którą koń kopnął w brzuch.

- Wyjdzie z tego?

- Trudno powiedzieć. Chirurg zoperował wątrobę i usunął pękniętą nerkę, jednak jej życie nadal wisi na włosku. Wiesz, czym najbardziej się martwiła?

- Że rodzice pozbędą się konia.
- Właśnie. Skąd wiedziałeś? Wzruszył ramionami.
- Sama przed chwilą zauważyłaś, że jeszcze nie wyrosłem z okresu dojrzewania. Pewno dlatego potrafię zrozumieć szesnastolatkę.
- Przepraszam. Nie powinnam tego mówić, zwłaszcza że stanąłeś w obronie Johnny'ego Bakera. - Zdobyła się na słaby uśmiech. - Mogłabym się tłumaczyć zmęczeniem, ale podejrzewam, że takie dogryzanie ci to pozostałość z dawnych czasów.

- Potrafię to zrozumieć - powiedział zgodnie - gdyż i mnie prześladowuje przeszłość.

- Naprawdę?

- Tak. Tylko w trochę innej formie.

Dostrzegła niebezpieczne błyski w jego oczach. Odwróciła się i usiłowała otworzyć drzwi swego samochodu.

- Nie chcesz wiedzieć w jakiej?

- Chyba nie. - Zdobyła się na obojętny ton, lecz drzwi nie udało jej się otworzyć.

- Myślę, że i tak ci powiem. - Wziął od niej kluczyki, znalazł właściwy i otworzył zamek. - Mam straszną ochotę sprawdzić, jak smakują te stworzone do całowania usta, ilekroć są tak surowo ściągnięte.

Zanim zdążyła wsiąść do samochodu, ujął ją pod brodę, uniósł twarz i przywarł wargami do jej ust. Pocałunek był długi i gorący. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, z trudem chwyтали powietrze.

Caine odezwał się dopiero po chwili.

- Noro, w nas ciągle jest ten sam żar.

Przesunął swą ultrawrażliwą opuszką kciuka po jej dolnej wardze. Serce biło mu jak w czasie wiosennego, treningowego biegu. Nigdy nie spotkał innej kobiety, która równocześnie potrafiłaby zadać mu tyle cierpienia i ukoić ból.

- Nie możesz temu zaprzeczyć, maleńka.

- To tylko seks. Nic więcej.

- Zawsze umiałaś mnie dobrze zrozumieć.

- A tobie tylko seks był w głowie.

Rzucił jej rozbawione, a zarazem zmysłowe spojrzenie.

- Nie pamiętam, żebyś składała zażalenia.

- Do licha, Caine..

- A czy wiesz, z iloma kobietami poszedłem do łóżka w ciągu tych dziewięciu lat, żeby zapomnieć o tobie?

- Nie chcę słuchać o żadnych twoich kobietach.

- To się dobrze składa, bo ja nie mam zamiaru o nich mówić. -

Pogładził ją po włosach. - Twoje włosy zawsze przypominały mi łan kukurydzy. - Wspomnienie o nich, leżących na jego nagiej piersi, kiedy odpoczywali po chwilach miłosnych uniesień, zawsze go podniecało.

- Zapewne mówisz takie rzeczy wszystkim swoim kobietom.

- Uzgodniliśmy, że o nich nie będziemy rozmawiać.

- Wprawdzie to nie moja sprawa, z kim sypiasz, ale jako lekarz muszę ci zwrócić uwagę, że przypadkowe stosunki seksualne są bardzo niebezpieczne. Zwłaszcza obecnie.

- Święta prawda. My nigdy nie kochaliśmy się przypadkowo. -
Objął palcami jej szyję pod włosami i utkwiał rozgorączkowany wzrok
w jej czujnie patrzące oczy. - Czy myślisz, że nie wiem, jakie to
wszystko jest dla ciebie trudne? - spytał cichym, zdławionym głosem.
- Mnie też jest ciężko, maleńka. Moje życie tak bardzo się
pogmatwało! Mam przeczucie, że jeżeli przynajmniej spróbujemy
uporać się z przeszłością, to może potrafię sprostać temu, co mi
przyniesie przyszłość. A poza tym - ujął jej dłoń i ucałował po kolei
każdy palec - jesteśmy nadal uczuciowo ze sobą związani, czy ci się to
podoba, czy nie.

- To śmieszne.

- Więc pocałuj mnie i potem odpowiedz.

- Zawsze dobrze całowałeś. A praktyka doskonali,

- Pomaga - odparł swobodnie. - Chcesz jeszcze popraktkować?
Chcę jechać do domu. Miałam ciężki dzień.

- Pojedź ze mną do chaty, wymasuję ci stopy. Kiedyś to lubiłaś.
Aż za bardzo, pomyślała. W czasie ich nieszczęsnego
małżeństwa zbyt wiele polubiła w tym mężczyźnie.

- Może masz rację, że powinniśmy uporać się z przeszłością, bo
dużo spraw zostało nie dopowiedzianych, a padły też niepotrzebne
słowa. Ale Bóg mi świadkiem, Cainie O'Halloranie, jeżeli odważysz
się tknąć moich stóp albo jakiegokolwiek innej części ciała, odejdę i
nigdy się do ciebie nie odezwę.

- Trudny warunek.

- Możesz się zgodzić lub nie, to zależy od ciebie.

Caine pocierał dłonią brodę, zastanawiając się nad tym ultimatum. Nora do niego wróci, nie miał wątpliwości, lecz nie dlatego że łączyła ich kiedyś namiętność czy wspólne cierpienie. Wróci, bo od chwili gdy dla nich obojga czas się zatrzymał, tam, w jej gabinecie, ona, tak samo jak on, pragnie go aż do bólu.

- Zgoda - odparł. - Daję słowo, że nie rzucę się na panią doktor Norę Anderson O'Halloran.

Celowo tak powiedział, żeby jej przypomnieć, iż kiedyś nosili to samo nazwisko, zajmowali to samo mieszkanie i - co ważniejsze - sypiali w tym samym łóżku.

- Caine, nie jestem Norą O'Halloran od dziewięciu lat. - Wskazała głową jego samochód. - Jedź przodem tym swoim cudem. Pojadę za tobą do chaty.

- Słuchaj - zaczął takim tonem, jakby przyszła mu do głowy całkiem nowa myśl. - Dan wpadł do mnie i podrzucił mi świeżego kraba. Może zostałabyś na kolacji? Zjedlibyśmy go z ryżem, do tego sałatka z pomidorów z serem mozzarella i sosem winegret, no i skromna buteleczka Fumé Blanc.

- Ryż? Winegret? Czy rozmawiam z tym facetem, który miał trudności z ugotowaniem parówki?

- Kupiłem dzisiaj książkę kucharską dla początkujących. - Nie dodał, że nabył ją w nadziei na intymną kolację z Norą. - Taką z kolorowymi zdjęciami. Pomożesz mi się w nią wgłębić?

Nora pomyślała o swojej kolacji czekającej na odgrzanie w kuchence mikrofalowej.

- Dobrze. Świeży krab to brzmi nieźle. No i nie mogę stracić okazji ujrzenia cię w fartuchu.

- Postaram się, żebyś się nie rozczarowała. - Sięgnął do kieszeni, wyjął klucze i odczepił jeden. - Ten jest od frontowych drzwi. Ja jeszcze wpadnę do sklepu po wino, ryż i pomidory. Będę w domu chwilę po tobie.

- Ale pamiętaj - ostrzegła, biorąc klucz z jego wyciągniętej dłoni. - Mamy tylko porozmawiać. Coś mi przyrzekłeś.

- Słowo. - Uniósł dwa palce. - Nie biorę jednak odpowiedzialności za brzydkie myśli, które tobie przyjdą do głowy, kiedy zostaniesz ze mną sam na sam.

Uznając, że ta uwaga nie zasługuje na odpowiedź, Nora wsiadła do samochodu i trzasnęła drzwiczkami.

Caine, zadowolony z siebie, ruszył niespiesznie w kierunku swojej czarnej bestii. Pogwizdywał piosenkę „Moja dziewczyna”.

ROZDZIAŁ 8

Tak zwana chata Caine'a stała w lesie, na odległej polanie, w otoczeniu srebrnopiennych osik. W pobliżu rozlewało swe wody niewielkie, polodowcowe jeziorko. Chata różniła się od typowo wiejskich budynków tym, że miała strzelisty strop, zewnętrzne schody prowadzące na poddasze, a przede wszystkim jedną ścianę całą ze szkła, co było ukłonem w stronę nowoczesności. Otoczona jaskrawym dywanem różnokolorowych, dziko rosnących kwiatów, z zewnątrz robiła wrażenie ciepłego i przytulnego domku.

Natomiast wewnątrz wyglądało, jakby właśnie przeszedł przez nie huragan. Na wszystkich meblach była porozrzucana odzież, reszta leżała w pootwieranych walizkach, choć od przyjazdu właściciela minęły już prawie dwa tygodnie. Cała podłoga zasłana była gazetami - wszystkie otwarte na stronach z wiadomościami sportowymi. Na stolikach piętrzyły się puste puszkę po piwie i brudne szklanki. Nora ze zdumieniem i niesmakiem popatrzyła na popielniczkę pełną niedopałków. Obrazu dopełniały pajęczyny w każdym rogu sufitu i panujący wszechwładnie kurz.

Weszła do kuchni. Tam też znalazła puste puszkę po piwie, a także liczne butelki po koniaku. Caine nie pił, to się zaczęło dopiero po śmierci Dylana i znalazło wyraz w tej potwornej, pijackiej scenie, jaką urządził na cmentarzu.

Na kuchennym blacie leżało otwarte pudełko pizzy z pozostawionymi dwoma kawałkami. W lodowce natknęła się na

jeszcze jeden karton piwa, kraba przyniesionego przez Dana, taczkę owiniętą w żółty, woskowany papier, kilka różnych słoiczków z resztkami sosów oraz miseczkę z guacamole - sałatką z awokado, pomidorów i cebuli, która wyglądała, jakby została poddana nieudanemu chemicznemu eksperymentowi.

Pomyliłam się, pomyślała Nora. Jedyne, co zawsze podziwiała w Cainie, to była jego autentyczna, niezachwiana pewność siebie.

Myśl o nim, ukrytym na pustkowiu, zapijającym się, rujnującym sobie płuca papierosami, a arterie tłuszczeniem i cholesterolem podczas samotnych posiłków przed telewizorem, była zadziwiająco przykra.

Miała już wyjść, gdy w niczym nie zmaconą ciszę gór wdarł się odgłos silnika ferrari. Chwilę później usłyszała trzaśnięcie drzwiami i do kuchni wpadł Caine obładowany papierowymi, wypchanymi torbami.

- Przepraszam, że trochę dłużej to trwało - powitał ją pogodnie - ale pomyślałem, że może przydałoby się dokupić coś do jedzenia.

- Dobry pomysł. Tym, co masz, nie nakarmiłbyś nawet polnej myszy.

- Spizarnia rzeczywiście jest raczej pusta.

- Czego, niestety, nie da się powiedzieć o barze, aż nadto dobrze zaopatrzonym. Od kiedy palisz?

- Od kilku tygodni. Tak naprawdę, to nie wiem po co, u licha, ludzie wdychają ten dym.

- Nie mówiąc o tym, że papierosy powodują choroby serca, raka i rozedmę płuc...

- .. .mogą uszkodzić płód, wywołać przedwczesny poród, są przyczyną zbyt niskiej wagi noworodków - dokończył za nią. -
Czytałem te wszystkie ostrzeżenia, pani doktor.

- Mimo to palisz.

- Pewno byłem jedynym facetem w moim wieku, który nigdy nie próbował papierosów. Myślałem, że to będzie mnie bawiło. Nie bawiło, więc rzuciłem. W porządku?

- Szkoda, że nie zrezygnowałeś przy okazji z alkoholu - odparła.

- Powinnam cię zabrać do szpitalnego prosektorium i pokazać, jak wygląda wątroba alkoholika.

Twarz mu stężała.

- Nie jestem alkoholikiem i nie są mi potrzebne żadne pogładowe wykłady, pani doktor Anderson.

- Ktoś ci jednak powinien zwrócić uwagę, że to mieszkanie jest podobne do chlewu. - Zmarszczyła nos. - A śmierdzi tu jak w szynku.

- Tak się składa, że ja lubię szynki. Stali ze sobą twarzą w twarz.

- No, cóż, ja ich nie cierpię.

- Jeżeli ci ten zapach aż tak nie odpowiada, to czemu nie otworzysz tego cholernego okna?

- Chyba sobie pójdę.

- Świetnie. Idź. Przywykłem jadać w samotności,

- Nic dziwnego, skoro się tak zachowujesz. Ktoś, kto odważy się przekroczyć ten próg, powinien przedtem się zaszczepić, bo tu jest śmietnisko, wylegarnia zarazków. Dziwię się, że inspektor sanitarny jeszcze się nie zajął tym domem.

Caine przeczesał palcami włosy.

- Chryste, już zapomniałem, jaką potrafisz być jędzą.

- Jędzą? - podniosła głos. - Zaprosiłeś mnie po to, żeby nazwać mnie jędzą? - Trzęsła się ze złości. W taki gniew tylko ten jeden mężczyzna potrafił ją wprawić. - Jesteś nie do zniesienia.

- A ty nieodmiennie cudowna, kiedy wpadasz w furię.

Nie mogła pozwolić, żeby miał ostatnie słowo.

- Musisz jeszcze popracować nad metodami podrywania, O'Halloran, bo ja się zastanawiam, na jaką chorobę wskazują te objawy.

- Nie ma powodu do obaw, dobrze się czuję - odburknął. - Tyle tylko, że gdybym już miał kogoś podrywać, to na pewno nie traciłbym czasu na jakąś megierę z płaskim biustem i jadowitym językiem.

Inna kobieta może przestraszyłaby się jego wściekłego spojrzenia, lecz Nora nie spuszczała z niego oczu, dotrzymując mu pola.

- Więc jesteśmy kwita, bo ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba w życiu, to były baseballista, pozbawiony samodyscypliny, rozczulający się nad sobą i do tego z kompleksem Piotrusia Pana.

Caine był naprawdę zły, chyba go takiego jeszcze nie widziała. A on wręcz z zadowoleniem powitał ogarniającą go furię. Odkąd zaczął podejrzewać, że wypada z baseballowego biznesu, musiał zachowywać pozory. Jak długo już nie pozwalał sobie na szczere emocje? Zbyt długo.

Patrzyli na siebie gniewnie, każde oczekiwało na następny ruch drugiej strony.

- Wiesz - rzekł wreszcie Caine - twój strzał był o wiele celniejszy. Ugodziłaś mnie w najczulsze miejsce i wygrałaś.

W przeszłości zbyt wiele razy walczyli ze sobą w ten sposób. I chociaż ich kłótnie najczęściej kończyły się w łóżku, każda awantura, każde okrutne słowo, nadweręzały niezbyt mocne więzi małżeńskie, które w końcu pękły.

- Nie chodziło mi o wygraną - powiedziała cicho. - Myślałam, że w czasie tej kolacji uda się nam przewyciężyć przeszłość, a tymczasem myśmy ją wskrzesili, odpłacając sobie pięknym za nadobne.

Caine odgarnął kosmyk z czoła Nory. Ręce mu drżały. Chciał, żeby zrozumiała rozpacz, przez którą popadł w ten oplakany styl życia. Tylko jak miał jej wytłumaczyć, skoro tak naprawdę nie rozumiał samego siebie?

- Och, niech to licho. Przepraszam. Ostatnio wszystko się tak pogmatwało. Choroba Maggie. To cholerne ramię i nieodnowienie kontraktu przez Yankeesów. Nie miałem prawa obciążać cię moimi problemami.

- Potrzebujesz trochę więcej czasu. Nie bądź taki niecierpliwy.

- Wiesz, że cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną.

- Gdybyś musiał zrezygnować z baseballu - spytała cicho - czy to oznaczałoby dla ciebie koniec świata?

- Nie ma sensu tego rozważać, jeszcze nie jestem skończony.

Jednak gdzieś na obrzeżach świadomości majaczyła nie dająca mu spokoju wątpliwość. Na razie udawało mu się ją ignorować.

- Skoro Nolan Ryan może rzucać piłki nie do odbicia, mając czterdzieści pięć lat, to niech mnie diabli wezmą, jeżeli ja miałbym rezygnować w wieku trzydziestu pięciu.

- W przyszłym miesiącu kończysz trzydzieści sześć.

- Dobrze, trzydzieści sześć. Kto to liczy? Wszyscy. I oboje o tym wiedzieli.

Caine grał w baseball, odkąd sięgał pamięcią. Do jednego nie przyznawał się Norze: nie wiedział, jak ma oddzielić siebie - sportowca od siebie - mężczyzny.

- Słuchaj Noro - powiedział, próbując jeszcze raz wyjaśnić jej to, czego dotąd nie zdołała pojąć. - Całe moje dorosłe życie spędziłem na baseballowym boisku przed tysięcznymi tłumami na trybunach i milionową, telewizyjną publicznością. Zakładałem, że zyskuję ich szacunek, bo potrafię rzucać piłką z wołowej skóry. Wiem, że dla ciebie, osoby wykształconej, wykonującej odpowiedzialny zawód, zarabianie na życie w ten sposób może wydawać się niepoważne. Zrozum, moje piłki lecą z szybkością niemal stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zarabiam wielkie pieniądze tym, że wprowadzam w zakłopotanie najlepszych ligowych pałkarzy. Ja jestem Caine Najgroźniejszy Olbrzym - i to mnie cieszy. Uwielbiam rywalizację sportową. Kocham wygrywać.

- Ale twoje ramię...

Przerwał jej niecierpliwym ruchem ręki.

- Urazy to nieodłączna część sportu. Nie pozwolę, żeby jakieś drobne, pechowe zdarzenie miało stanąć na przeszkodzie mojej życiowej pasji.

- Tak, tobie zawsze zależało na sławie - mruknęła.

- Nie tylko o to chodziło, miałem przed sobą ciągle nowy cel.

- Więc masz zamiar nadal nagrywać do łapacza kręcone piłki?

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wydawało mi się, że kiedyś zupełnie nie słuchałaś, co mówiłem o grze.

Podobnie jak jej się wydawało, że on nie słyszał niczego, co opowiadała o studiach medycznych. Widocznie go nie doceniała. Prawdopodobnie oboje siebie nie doceniali,

- Noro, nie zaprosiłem cię tutaj na rozmowy o baseballu. -

Cichy głos Caine'a przerwał jej rozmyślania. Objął dłonią jej kark pod włosami. Zadrżała pod wpływem spojrzenia jego ciemniejących oczu.

- Co powiesz na czasowy rozejm?

Czuła się wyczerpana, najchętniej przytuliłaby głowę do jego piersi, objęła go, by poczuć opasujące ją silne ramiona i utwierdzić się w przekonaniu, że oboje potrafią przestać ze sobą walczyć.

- Rozejm - wyszeptała.

Delikatnie powiodła palcami po jego twarzy.

- Twoje oko jest ciągle w fatalnym stanie.

- Wydobrzeje. Jak zawsze wszystko. Pokręciła głową.

- Nic się nie zmieniłeś. - Tym razem słaby uśmiech złagodził to oskarżenie.

Czuły dotyk jej palców zaczął na niego działać, nie mógł się powstrzymać, żeby także jej nie dotknąć. Przesuwał dłońmi po jej ramionach.

- Wracamy do kompleksu Piotrusia Pana.

- Nie powinnam tego mówić. Wzruszył ramionami.

- A ja nie powinienem nazwać cię jędzą. - Zaczął delikatnie pieścić jej ucho.

- Nie zapominaj o megierze z płaskim biustem i jadowitym językiem.

Zaczerwienił się.

- To bzdura. - Palce przesunęły się teraz po jej szyi. - Masz świetne piersi. - Palce wędrowały dalej, po obojczyku. - Dobrze pamiętam, że tego pierwszego wieczoru, tu, w chacie, pomyślałem, jak doskonale mieszczą się w moich dłoniach, i zastanawiałem się, czy to oznacza, że jesteśmy idealnie dobrani. - Dłoń ujęła jej pierś. - I byliśmy.

Poczuła, jak miękną jej kolana, gdy nagle z kieszeni płaszcza dobiegło ich pikanie pagera. Na wskaźniku cyfrowym ukazał się numer telefonu szpitalnej izby przyjęć.

Ocalona. Kolejny raz.

Zadzwoiła do szpitala, po czym wróciła do Caine'a. Stał oparty o blat kuchenny i wpatrywał się w nią czujnie.

- Muszę iść.

Nie był zaskoczony; ulga, z jaką przyjęła tę niespodziewaną interwencję, była wręcz wyczuwalna. Odprowadził Norę do samochodu. Udało mu się jakoś powstrzymać od wymówek.

- Może wrócisz, kiedy już będziesz wolna?

- To chyba nie najlepszy pomysł.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia, ile czasu mi to zajmie.

Trzymała klamkę samochodu, jakby to była kotwica ratująca ją przed burzą kłębiących się w niej uczuć.

- Mogę zaczekać. - Zdjął jej dłoń z klamki i przytrzymał.

- To nie ma sensu, mogę być zajęta przez całą noc. - Zmusiła się do uśmiechu. - Będzie jeszcze inna okazja do rozmowy przed twoim wyjazdem.

- Noro, przecież wiesz, że oczekiwałem czegoś więcej niż tylko rozmowy.

- Wiem. - Jej spojrzenie było bardzo poważne. - I prawdę mówiąc, tam - wskazała ręką chatę - pokusa była silna. To, co się kiedyś w tym miejscu między nami wydarzyło, teraz już nie ma na nas wpływu. Łudzisz się, że wystarczy cofnąć wskazówki zegara do czasów naszego małżeństwa, gdy byłeś młodszy i zaangażowano cię do krajowej ligi, a wrócisz na drogę sukcesu.

- Tobie by się to nie podobało?

- Tego nie powiedziałam, ale masz do czynienia z wieloma trudnymi problemami. Jako twój lekarz i przyjaciel radzę ci, nie zabieraj się do nich w tak ostrym tempie.

Uwolniła dłoń, wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Z rękami w kieszeniach odprowadzał wzrokiem odjeżdżający samochód.

Wszystko we właściwym czasie, pomyślał ponuro, kierując się w stronę domku. To najważniejsza zasada.

Na widok nie rozpakowanych zakupów zaklął pod nosem i sięgnął po butelkę burbona. Poszedł z nią na pomost wychodzący na jezioro i usiadł nad wodą.

Robiło się chłodno, opadała wieczorna, gęsta mgła. Wmawiał sobie, że przyszedł tu porozmyślać. To było kłamstwo. Przyszedł się upić. Niestety, alkohol niczego nie rozwiązywał. Wiedział, że będzie chwiać się ha nogach, pomost rozkołysze się pod nim, lecz jego umysł pozostanie całkowicie jasny. Przytknął butelkę do ust. Ognisty płyn spływał kojąco przez przełyk do żołądka, a Caine wracał pamięcią do owego popołudnia, kiedy kochał się z Norą drugi raz w życiu.

Mijał właśnie trzeci miesiąc ich małżeństwa, lecz żadne z nich nie myślało o uczczeniu tej daty. Ich związek był przecież jedynie układem, niczym więcej. Tak przynajmniej wtedy sądził, aż do pamiętnego dnia, który całkiem odmienił jego życie.

Jadł pizzę przed telewizorem, gdy do mieszkania wpadła Nora z zaczerwienionymi od płaczu oczami. Przebiegła koło niego, jakby był niewidzialny, i zniknęła w sypialni, trzasnąwszy drzwiami.

W chwilę później usłyszał szum wody w łazience, brzęczenie elektrycznej szczoteczki do zębów, a następnie płacz.

Odstawił piwo i zastanawiał się, co ma robić. Może powinien zostawić ją w spokoju? Jednak na myśl, że wydarzyło się coś złego,

co mogło zagrażać ich nie narodzonemu dziecku, krew mu się ścięła w żyłach.

Otworzył drzwi sypialni.

- Noro? - W pokoju było ciemno, ale zobaczył, że leży skulona na łóżku. - Co się stało?

- Idź sobie. - Słowa tłumiała trzymana w ramionach poduszka, w którą wtuliła twarz.

- Zaraz pójdę, tylko powiedz, czy coś złego dzieje się z dzieckiem?

- Z dzieckiem wszystko dobrze.

Natomiast z nią coś się działo. Zaniepokoił się. Podeszedł do łóżka i przysiadł na brzegu.

- Nie chcesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Nie.

Czuł, jak Nora drży.

- Noro, uspokój się. - Niezgrabnie pogładził ją po włosach. - To z pewnością nic strasznego.

Ku jego zdumieniu Nora Anderson O'Halloran, która dokładała wszelkich starań, żeby przypadkiem nie otrzeć się o niego w ich ciasnym mieszkaniu, usiadła nagle na łóżku, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła mokrą twarz do jego koszuli.

- Och, Caine! - Uniosła swe sarnie oczy, teraz rozdzierająco smutne. - Ja nigdy nie będę lekarzem!

- Ależ będziesz, na pewno.

- Po dzisiejszych ćwiczeniach z anatomii na pewno nie.

- A co takiego zrobiłaś? Skalpel ci się ześlizgnął i pozbawiłaś męskości Irvinga?

Studenci ochrzcili tym imieniem zwłoki poddawane sekcji.

Caine z czasem przyzwyczaił się, że jego żona spędza przedpołudnia w towarzystwie nieboszczyków, podobnie jak przestał go razić zapach formaliny, którym były przesycone jej włosy.

- To n-n-nie jest ś-ś-śmieszne - zaszlochała.

- Przepraszam. Więc co się stało?

- Wróciły mi poranne nudności.

- Przy śniadaniu marnie wyglądałaś. Doktor Palmer mówił ci, że mogą się powtórzyć, jeżeli się będziesz przemęczała.

- Tak. Ale, och, ty n-n-nie rozumiesz. - Ramiona opadły jej z rezygnacją.

- Staram się. - Caine uniósł palcem jej brodę i spojrzał w zapłakane oczy. - Niestety, nie jesteś najlepszym źródłem informacji.

- To było takie żenujące. - Wycierała łzy dłonią. Zaczynał się domyślać.

- Zwymiotowałaś.

Spojrzała na niego znużonym wzrokiem.

- Tak.

- I to wszystko? - Caine uśmiechnął się beztrosko, żeby ją pocieszyć. - Przecież opowiadałaś mi o trzech studentkach, którym to się przydarzyło w pierwszym tygodniu zajęć.

- No właśnie, to było w pierwszym tygodniu - zauważyła. - Do tej pory wszyscy powinni się już przyzwyczać.

Caine pomyślał, że on prawdopodobnie nie przyzwyczaiłby się do grzebania w ludzkich organach, martwych czy żywych, nawet gdyby z Irvingiem spędził resztę życia. A Nora z kolei nie zrozumiałaby, na Czym polega przyjemność obserwowania lotu kręczonej piłki.

- Jesteś w ciąży. Profesor weźmie to na pewno pod uwagę.

- Doktor Fairfield jest przedpotopowym mamutem, który uważa, że kobiety nie powinny studiować medycyny - skarżyła się. - A co do ciąży... - Westchnęła. - Najgorsze, że w końcu zemdlałam.

- Zemdlałaś? - W panicznym strachu położył dłoń na jej zaokrąglonym brzuchu. - Jesteś pewna, że nic ci się nie stało?

- Byłam nieprzytomna tylko chwilę, to Irving został poszkodowany.

- Irving? Co ty mówisz?

- Kiedy upadałam, chwyciłam za stół i jak się ocknęłam, zobaczyłam Irvinga rozciągniętego na podłodze. Woreczek żółciowy i wątroba leżały obok.

Roztrzęsiona wciągnęła głęboko powietrze.

- Jestem pewna, że doktor Fairfield mnie wyrzuci, nie skończę studiów i nigdy nie zostanę lekarzem! - Łzy ponownie napłynęły jej do oczu, przywarła do jego ramienia z rozdzierającym szlochem.

Caine nigdy nie widział żony tak bardzo nieszczęśliwej, więc zaczął kołysać ją w ramionach i szeptać do ucha słowa pociechy.

Potem głaskał jej plecy i całował włosy, które mimo formaliny zachowały zapach kwiatów.

Po jakimś czasie po spokojnym oddechu Nory poznał, że udało mu się ukoić jej ból.

- Lepiej się czujesz?

- Tak. - Podniosła na niego zdumiony wzrok. - Lepiej. Dziękuję ci.

To grzeczne podziękowanie w połączeniu z cierpieniem, które ciągle było widoczne w jej oczach, poruszyło nim do głębi. Patrząc na jej bladą, bezbronną twarz, poczuł przyływ szczególnej czułości niepodobnej do żadnego znanego mu dotąd uczucia.

A wraz z tą czułością - nie miał wątpliwości - przyszła miłość.

- Noro, nie musisz mi dziękować. - Wpatrywał się w nią uważnie. - Jestem twoim mężem i chociaż może nie wykonywałem swych małżeńskich obowiązków najlepiej, to ja mam pocieszać cię w trosce.

- Ale uzgodniliśmy...

- Guzik mnie obchodzą nasze uzgodnienia. - Tyle razy powoływała się na nie w ciągu minionych miesięcy, że nie mógł już tego słuchać. - Więc jeżeli cię pocałuję, to będzie wbrew regułom?

Jej urocza twarz wyrażała zdziwienie i jakby nie uświadomioną ochotę.

- Chyba tak.

- A to pech. - Pochylił głowę i zaczął całować ślady wysychających łez.

- Caine...

- Co, Noro? - Muskał wargami jej policzki.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Może masz rację. - Wziął delikatnie w usta płatek jej ucha.

Nora odetchnęła nerwowo, lecz nie odsunęła się. - Ja po prostu nie znajduję żadnego rozsądnego powodu, dlaczego nie miałbym się kochać z własną żoną. - Z czułością, o którą sam by siebie nie podejrzewał, przesuwał dłonie powoli, ale władczo wzdłuż jej ramion, a potem brzucha. - A ty?

- Nie. - Jej zdyszany szept był oznaką kapitulacji. - Ja też nie. - Z westchnieniem zamknęła oczy i dała się mu poprowadzić w świat zmysłów.

Wsunął ręce pod biały, bawełniany staniczek, odpiął go i wziął w dłonie jej piersi. Kiedy poczuła, że muska kciukiem sutek, wstrzymała oddech i chciała się odsunąć, lecz zanim zdołała się poruszyć, jego usta przywarły już do jej ust.

Ostatni opór ustępował. Poznawał to po obrzmieniu jej warg, po uścisku palców wpijających mu się w ramiona. Ogarnęła go fala prawie bolesnego podniecenia. Ściągnął z niej luźną bluzę i rzucił na ziemię. Pamiętał, że miała sutki jasno-różowe, teraz ich kolor przypominał barwę żurawin dziko rosnących na bagnach. I były tak samo jak one twarde pod pieszczącymi je dłońmi. Pod wpływem ich dotyku Nora znieruchomiała.

- Noro, nie bój się - wyszeptał - obiecuję, że nie zrobię nic, czego sama nie będziesz chciała.

Znowu się odprężyła. Nie mógł nadużyć jej zaufania. Z najwyższym wysiłkiem, powściągając pożądanie wzmożone

sześcioma długimi miesiącami celibatu, wśród czułych szeptów, delikatnie przesuwając wargi po jej ustach, po policzkach, skroniach, czole, podczas gdy palce nieustannie krążyły po piersiach.

Wyczuł gorączkowe, przyspieszone tętno jej krwi, lecz opierał się pokusie szybkiego zwycięstwa.

- Wspomnienia doprowadzały mnie do obłądu. - Wodził językiem po jej ciele nad piersiami. - Pamiętałem słodki, cudowny zapach twojej skóry, I jak roztopiałaś się w moich ramionach.

- Och, Caine, powiedz mi - wyszeptała - wszystko, o czym myślałeś.

- Wszystko? - Wpatrzony w oczy Nory, wplótł palce w jej włosy. - Czy jesteś pewna, że w twoim stanie możesz słuchać opisów moich erotycznych fantazji?

- Przekonaj się - zaproponowała z uśmiechem na poły nieśmiałym, na poły uwodzicielskim.

- Dobrze. Ale nie mów mi potem, że cię nie ostrzegalem.

Uświadomił sobie nagle, że nie tylko jemu doskwierał celibat, Nora chciała wiedzieć, co wtedy czuł, bo i ona myślała o nim jako o mężu.

- Wyobrażałem sobie, że leżysz koło mnie gotowa do miłości - szeptał, całując jej ramiona - i sama myśl o tym podniecała mnie do szaleństwa.

- A ja w bezsenne noce zastanawiałam się, dlaczego tak się zmieniłeś.

- Teraz już się nad niczym nie zastanawiaj. Dopuść do głosu uczucie.

Drżącymi rękami rozebrał ją i siebie, po czym zaczął jej udowadniać swą miłość i pożądanie, odkrywając jednocześnie czułość, a także zmysłowość żony.

Kiedy wreszcie ją posiadał, uświadomił sobie, czym jest prawdziwe miłosne spełnienie.

Pokój pogrążony był w mroku, lecz okrągły księżyc już przesuwał się za oknem, oświetlając srebrnymi promieniami splecione, nagie ciała.

Wkrótce po owej nocy lekarz położnik, który zajmował się Norą, przestrzegł ją przed dalszymi fizycznymi stosunkami z mężem. Co nie przeszkodziło małżonkom doświadczać zmysłowych doznań na tysiąc innych sposobów.

Pod wpływem tej fali wspomnień krew w żyłach Caine'a zaczęła gwałtownie pulsować. Chwycił butelkę i przechylił ją do ust - była pusta. Mruczając pod nosem przekleństwa, cisnął ją do jeziora. Podniósł się z wysiłkiem i chwiejnym krokiem wrócił do domu.

Zataczając się dotarł do zarzuconej gazetami kanapy. Opadł na nią ciężko. Pigułki przeciwbólowe leżały na podręcznym stoliku, tam, gdzie je zostawił poprzedniego wieczoru.

Wysypał zawartość plastikowej buteleczki na dłoń i wpatrywał się w proszki zamglonym wzrokiem. A gdyby tak powiedzieć sobie: „Niech diabli to wszystko porwą” i połknąć całą tę porcję?

W jednej chwili rozwiązałby masę problemów.

Poza jednym. Nie mógł tego zrobić. Być może był pijakiem, przegranym, byłym baseballistą z dwoma nieudanymi małżeństwami

na koncie, ale, do cholery, nie pozwoli, żeby jego wielbiciele zapamiętali go jako tchórza.

Rozrzucił tabletki po podłodze i natychmiast o nich zapomniał. Wyczerpany ciągle jeszcze żywymi wspomnieniami, oszołomiony alkoholem, zapadł w głęboki sen.

RS

ROZDZIAŁ 9

- Cainie O'Halloranie, co ty sobie właściwie wyobrażasz?

- Maggie założyła ręce na piersiach. - Uganiasz się za Nora Anderson, chociaż w Nowym Jorku masz żonę?

- No, Maggie - Devlin usiłował uspokoić żonę, stawiając przed nią kubek kawy - czy nie jesteś zbyt surowa dla naszego chłopca?

- O to właśnie mi chodzi - sapnęła gniewnie. - Caine nie jest już chłopcem, tylko żonatym mężczyzną.

- Zdecydowaliśmy się z Tiffany na rozwód. - Caine odgryzł kęs polukrowanego pączka, jednego ze stosu podanego przez Devlina do kawy. Przyszedł do dziadków, żeby przekopać ogródek babki, bo w tym roku z pewnością nie mogła się nim zająć.

- I co z tego? Czy ci się to podoba, czy nie, nadal jesteś żonaty. - Maggie patrzyła na Caine'a znad kubka. - To oznacza, że nie masz prawa zawracać Norze w głowie.

- Nie uganiam się za nią. i nie zawracam jej w głowie - zaprzeczył gwałtownie. - Przecież to Harmon mnie poharatał, a Dan i Tom zaprowadzili do niej, żeby mnie połatała.

- Nie staraj się we mnie wmówić, że wczoraj zaprosiłeś ją do chaty, bo chodziło ci o poradę lekarską. Mogę być stara, ale jeszcze nie zdziecinniałam. Przynajmniej do tej pory - odgryzła się babka.

To ta przekłeta Trudy ze sklepu spożywczego, pomyślał Caine z gniewem. Największa plotkara w mieście. Oczywiście po Ingrid Johansson.

- Zaprosiłem ją na kolację. Mieliśmy porozmawiać.

- To nie jest uczciwe, Caine - upierała się Maggie - ani wobec twojej żony, ani wobec Nory.

-Ale...

- Lepiej posłuchaj babci - rzekł Devlin spokojnie, lecz stanowczo.

- W porządku. - Caine czuł się tak jak wtedy, gdy jako dziewięcioletni chłopiec przypadkowo uruchomił stojącą w hangarze cenną Maggie. Przechylił się do tyłu z krzesłem, skrzyżował nogi i czekał. - No, proszę, słucham.

Maggie zadowolona skinęła głową.

- Chcę powiedzieć, że nie mam ci za złe twoich uczuć do Nory. Wszyscy w mieście uważają, że wy oboje dojrzelście do jeszcze jednej szansy. Ze względu na to nieszczęśliwe zakończenie waszego małżeństwa Bóg widzi, jak bardzo na nią zasługujecie. Caine, ciebie wychowywano na porządnego człowieka. Nie możesz się zalecać do pierwszej żony, skoro nie masz jeszcze rozwodu z drugą.

- Nawet jeżeli moje zamiary są uczciwe? - nie mógł się powstrzymać od tego pytania.

Srogi wzrok Maggie złagodniał na chwilę.

- Musisz wybrać, chłopcze - odezwał się Devlin. - Pierwsza żona albo druga.

- Tu nie ma co wybierać. - Krzesło Caine'a opadło z powrotem na cztery nogi. - Ja pragnę Nory.

Te słowa, głośno wypowiedziane, uzmysłowiły mu tę jedyną, niewątpliwą prawdę.

- Wobec tego załatw swe problemy z drugą żoną - nie ustępowała Maggie. - Z tą Tiffany. Dopiero potem jako wolny mężczyzna będziesz się mógł zastanawiać, co należałoby zrobić, żeby znowu związać się z Norą.

- Skoro już mowa o tym, co należałoby zrobić - Caine podjął ostrożnie nowy temat - rozmawiałem z nią o twojej chorobie.

Natychmiastowa zmiana wyrazu twarzy Maggie nie pozostawiała wątpliwości, że babka nie chce o tym słyszeć.

- Nie miałeś prawa, Caine.

- Mam wszelkie prawa. Kocham cię i nie mogę tak patrzeć z boku...

- ... jak umieram? - odpowiedziała rzeczowym tonem słowa, które Caine'owi nie mogły przejść przez gardło.

- Babciu, zrozum - Caine pochylił się ku niej, wszystkie inne kłopoty zeszły teraz na dalszy plan - nie wolno ci się poddawać. Mam więcej pieniędzy, niż mogę zliczyć...

- Mówiłem jej o tych trzech milionach - wtrącił Devlin.

- To ładny grosz - przyznała. - Dziadek i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

- Dzięki. Ale te pieniądze nic nie znaczą, jeżeli nie mogą się przydać mojej rodzinie.

- Nam się żyje całkiem dobrze, chłopcze - powiedział cichym głosem dziadek.

- Babciu, gdybyś miała nowe serce...

- Bardzo lubię swoje własne - odrzekła pogodnie. - Służyło mi przez osiemdziesiąt dwa lata. - Wstała od stołu i podeszła do wnuka. Jej niegdyś krzepkie ciało wydawało się teraz niewiarygodnie kruche. Ten widok rozdzierał Caine'owi serce. Lecz niezłomne zdecydowanie malujące się w niebieskich oczach przypominało mu dawną Maggie. Podniósł się i wziął małą figurkę w ramiona.

- Nora wspominała o specjalnej kuracji dostosowanej do warunków domowych. Czy przynajmniej nad tym się zastanowiłaś?

Babka uniosła głowę i spojrzała w jego błagalne oczy.

- Pomyślę.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał, ale na początek dobre i to.

- Pod jednym warunkiem -dodała Maggie.

- To pewno będzie jakaś pułapka.

- Jak zwykle - zgodził się Devlin.

- Masz przestać zachowywać się jak kompletny idiota. - Maggie była stanowcza. - Koniec z alkoholem, z szaleńczymi jazdami samochodem, bijatykami i dziwkami. Nora jest miłą, rozsądną dziewczyną i zasługuje na kogoś lepszego niż na takiego wariata, jakiego z siebie robiłeś po powrocie. Najwyższy czas, żebyś zaczął zachowywać się przyzwoicie i jakoś ułożył sobie życie.

Właściwie to nie usłyszał niczego, czego by sam sobie nie wyrzucał. Sposób, w jaki ostatnio funkcjonował, był istotnie żaloszny.

Kiedyś, w latach lekkomyślnej młodości, potrafił bawić się szampańsko całą noc, a rano na boisku rzucać piłką lejącą z

szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę obok oszołomionego pałkarza. Lecz te czasy bezpowrotnie minęły. Może rzeczywiście zaczął się starzeć. Boże, co za przygnębiająca myśl. Zbyt dużo miał jednak teraz problemów do rozwiązania, żeby się nad tym zastanawiać, więc tylko rozwichrzył z czułością różowosrebrne włosy Maggie.

- Dobrze, babciu. - Obdarzył ją swym olśniewającym uśmiechem, który już kilka razy ozdobił okładkę pisma „Sports Illustrated”. - Przyjmuję twój warunek.

Tego dnia po południu, spragniony towarzystwa, Caine postanowił odwiedzić Johnny'ego Bakera w szpitalu. Przyniósł ze sobą olbrzymią torbę prażonej kukurydzy, karton coli i paczkę fistaszków. Wszystko to rozłożył na stoliku, a sam wyciągnął się wygodnie na sąsiednim, wolnym łóżku.

Oglądali telewizję, kiedy do pokoju weszła Nora.

- Dzień dobry, pani doktor - powitał ją Johnny. - Yankeesi grają z Twinsami - wyjaśnił. Rozpromieniony, zupełnie nie przypominał chłopca, którego tak niedawno przyjmowała do szpitala. - O rety, ale im kiepsko idzie. Bez Caine'a nie dadzą rady.

- Zapewne - mruknęła bez zainteresowania. - Johnny, jak się czujesz? - Wyjęła pilota spod zmiętoszonego prześcieradła i wyłączyła głos.

- Trochę mi tu było samemu smutno. To taki duży szpital, siostry są stale zajęte dziećmi, ale teraz, jak Caine przyszedł, czuję się o wiele lepiej - zapewnił ją z uśmiechem.

- Dziwne, że nie macie jeszcze bólu brzucha - powiedziała, spoglądając na porozrzucane łupiny po orzeszkach.

- Nie można oglądać baseballu bez odpowiedniego pożywienia pod ręką, pani doktor - odparł Caine beztrąsko. - To byłoby zupełnie nie po amerykańsku.

- Gdyby szpitalna dietetyczka tu weszła, dostałaby zawału serca.

- Caine tylko chciał mnie rozweselić - tłumaczył Johnny. Lekko zbladł z obawy, że może wyprosić Caine'a. - Niech się pani na niego nie gniewa, pani doktor, proszę.

- Nie gniewam się. - Uśmiechnęła się do siedmiolatka serdecznie. - Słyszałam, że dziś wychodzisz ze szpitala.

- Taak. - Ton jego głosu nie był entuzjastyczny. - Pani z opieki społecznej znalazła mi rodzinę zastępczą.

- Wiem. Mówiła mi, że to bardzo mili ludzie.

- Taak. Mnie też tak mówiła. - Westchnął.

- Martwisz się?

- Trochę. A jak oni mnie nie polubią?

- Na pewno cię polubią. Jesteś wspaniałym chłopcem, Johnny - zapewnił go Caine.

- Caine ma rację. Wszystkie siostry stwierdziły, że nie było tu miłszego pacjenta od ciebie - dodała Nora.

- Naprawdę?

- Naprawdę. I ja się z nimi zgadzam, w stu procentach. Johnny rozmyślał przez chwilę, więc Nora przerwała ciszę.

- A poza tym, czy Caine, taki znany baseballista, spędzałby tyle czasu z chłopcem, który nie jest wspaniały?

Johnny w zamyśleniu ssał dolną wargę. W końcu uspokojony oznajmił:

- Caine jedzie do Kanady.

Nora rzuciła Caine'owi zdumione spojrzenie.

- Tak?

- Miałem wstąpić do kliniki i uzgodnić inny termin zdjęcia szwów. - Zastanawiał się, Czy to, co dojrzał w jej zdziwionym wzroku, było rzeczywiście rozczarowaniem. Miał taką nadzieję. - Zabieram samolotem paru facetów na ryby, żeby pomóc Maggie.

- Jego babcia jest chora - pospieszył z informacją Johnny.

- Wiem. - Wiedziała również, że Maggie nauczyła Caine'a pilotażu, gdy był jeszcze zupełnie młodym chłopcem. Licencję pilota uzyskał wcześniej niż prawo jazdy. - To miłe z twojej strony - powiedziała do Caine'a.

Wzruszył ramionami.

- Nie uskarżam się na nadmiar zajęć. Zresztą to tylko pretekst, chodzi o wypad na ryby, za który jeszcze płacą.

- Jak Caine wróci, polecę z nim samolotem.

Błysk radości rozświetlił oczy chłopca. Dzięki Caine'owi, pomyślała Nora. Widywała podobną uciechę w oczach Dyla-na, lecz wydało się jej, że to było całe wieki temu. Jej synek uwielbiał ojca, to nigdy nie ulegało wątpliwości. Tak samo jak to, że Caine nad życie kochał swego małego chłopczyka.

- Caine, czy mogłabym zamienić z tobą parę słów? Na zewnątrz.

- Pewnie. - Zsunął się z łóżka, jeszcze bardziej miętosząc prześcieradło. - Wracam do ciebie piorunem, bracie. - Chwycił za daszek czapki Yankeesów, tej z autografami, którą Johnny miał na głowie, i przesunął go do tyłu.

- Niech pan tam długo nie siedzi. Za chwilę kończy się siódma zmiana.

Nora oddała pilota Johnny'emu, który natychmiast włączył głos.

- Przepraszam za tę kukurydzę, Noro - usprawiedliwiał się Caine, gdy znaleźli się w poczekalni na końcu korytarza. - Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- Caine, to nie jest boisko. To szpital. A Johnny jest moim pacjentem.

- Przecież sama powiedziałaś, że fizycznie chłopczyk jest w dobrej formie. Chyba trochę miłości nikomu nie zaszkodzi.

- Miłość? Tak to nazywasz?

- Dobrze, wobec tego troski. Lepsze słowo?

- To dziecko przeszło piekło. Nie pozwolę, żebyś mu wyrządził krzywdę.

- Krzywdę? - Uniósł brwi w zdumieniu. - Noro, ja staram się mu pomóc.

- W tej chwili Johnny jest dla ciebie miłą rozrywką. A co będzie, jeżeli zostaniesz zaangażowany do ligi?

- Kiedy.

- Słucham? - Przeczesała włosy palcami nerwowym ruchem.

- Powiedziałaś, "jeżeli" zostanę zaangażowany. Ja jedynie poprawiam ten wyraz na właściwy: „kiedy”.

- Jeżeli, kiedy, słowa nie mają znaczenia. - Ogarniała ją złość. - Słuchaj, Johnny przyzwyczajają się, że się nim zajmujesz, liczy na ciebie, może nawet cię już pokochał, a ty masz zamiar go porzucić jak...

Urwała w pół zdania, lecz stało się, nie mogła tych słów odwołać. Caine musiałby być tępy jak pień, żeby nie zrozumieć, o co jej chodziło.

- Jak ciebie? - spytał cicho.

- Nie to miałam na myśli - skłamała i oboje o tym wiedzieli.

- Noro, nie zamierzam zaprzeczać, że dziesięć lat temu małżeństwo nie było pierwsze na liście moich celów życiowych. Tego dnia, kiedy opowiedziałaś mi swoją przygodę na ćwiczeniach z anatomii, uświadomiłem sobie, jak bardzo stałaś mi się bliska.

- Caine, to przeszłość.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Bądź. - Ruszyła w stronę wyjścia, lecz jeszcze zatrzymała się na moment i powiedziała: - Nie waż się skrzywdzić Johnny'ego.

Caine miał ochotę pójść za nią, ale przypomniał sobie obietnicę złożoną Maggie, więc tylko westchnął i wrócił obejrzeć końcówkę meczu z jedyną osobą w Tribulation, która nie wymagała od niego więcej, niż mógł jej dać.

Pięć dni później Caine siedział w gospodzie przy stoliku pod oknem, wpatrzony w płynące po szybie strugi deszczu, gdy podeszła do niego Nora.

- Cześć.

- Witaj.

- Jak się udał połów?

- Wspaniale. Oczywiście na jeziorze Fortress to nie sztuka, tam można złowić za jednym zamachem pełną łódź pstrągów.

- Pewnie uzupełniłeś zapasy w lodówce.

- Nie. Poza tymi, które usmażyliśmy na kolację, każdy z wędkarzy wziął sobie po jednym jako trofeum, a resztę wypuściliśmy z powrotem do wody.

- Och! To ładnie.

Temat uprzejmej konwersacji był wyczerpany, jednak oni pozostali nieporuszeni. Spoglądali na siebie w milczeniu, nieświadomi, że są przedmiotem zainteresowania pozostałych gości.

- Słyszałam od opiekunki społecznej, że Johnny zaaklimatyzował się w nowej rodzinie.

- Tak. Wpadłem do niego po drodze z lotniska do domu.

- Jak sobie radzi?

- Świetnie. Kiedy wyjeżdżałem, tarzał się po trawniku z kilkutygodniowymi złotymi spanielkami. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Powinnaś go zobaczyć. Wygląda jak normalne, szczęśliwe dziecko.

- Masz w tym znaczny udział - stwierdziła. - Gdybyś go nie zachęcił, 'chyba nie zwierzyłby się tak szczerze ze swych przeżyć.

- To nie było nic wielkiego. - Wzruszył ramionami.

- Dla Johnny'ego było. - Przygładziła włosy nerwowym gestem, który tak dobrze znał. - Winna ci jestem przeprosiny za to, co wtedy powiedziałam, że mógłbyś go skrzywdzić.

- Los Johnny'ego leżał ci na sercu - odparł bez urazy. - Wiesz, że matka wyraziła zgodę na oddanie go do adopcji?

- Dowiedziałam się dzisiaj rano. Caine potrząsnął głową.

- Oddać własne dziecko, co za potworna decyzja. Ale chyba najlepsza. Dla Johnny'ego.

- Chyba tak-zgodziła się Nora.

Zapadło ciężkie milczenie, tylko oboje wpatrywali się w siebie badawczym wzrokiem.

Nora gorączkowo myślała, co by tu powiedzieć.

- Byłam wczoraj u Maggie. Dobrze wygląda. Mięśnie policzków Caine'a zadrgały nerwowo.

- Jak na kogoś obłożnie chorego.

- Och, Caine.

Słyszając gorycz w jego słowach, położyła mu dłoń na ramieniu, a on nakrył ją swoją. Nie zastanawiał się, czy zachowuje się mądrze, czy lekkomyślnie. Wymienili wymowne, przyjazne spojrzenia.

- Caine...

- Noro...

Wypowiedzieli swe imiona równocześnie i roześmieli się niepewnie.

- Damy mają pierwszeństwo - rzekł Caine.

Zanim Nora zdążyła odpowiedzieć, Ingrid, która przedtem wraz z innymi gośćmi pilnie ich obserwowwała, zawołała nagle:

- Noro, telefon!

Nora nie chciała dopuścić, by prysł urok tej chwili.

- Ingrid, odbierz dla mnie wiadomość, bardzo proszę - powiedziała, nie odrywając oczu od Caine'a.

- Lepiej będzie, jak jednak podejdziesz - odparła Ingrid stanowczo.

Napięcie w jej głosie sprawiło, że Nora zwróciła na nią wzrok. Na twarzy starszej pani malowało się wyraźne zaniepokojenie.

Nora podeszła do telefonu i wzięła słuchawkę z ręki Ingrid, ogarnięta nagle trwożnym przeczuciem.

- Słucham.

- Bogu dzięki, jesteś tam. - Głos brata był wzburzony. -

Telefnował Tom, Eric zaginął.

- Zaginął? - Nora oparła się o Caine'a, który skoczył ku niej, gdy zobaczył, że gwałtownie blednie. - Jak to się stało? Gdzie?

- Tom mówił, że Eric był z harcerską wycieczką nad jeziorem Crescent. Odłączył się od grupy, a właśnie rozpętała się burza. Reszta chłopców wróciła szczęśliwie do obozu. Szeryf i służba leśna zorganizowali ekipy poszukiwawcze.

- Czy jesteście w schronisku?

- Tak. Tu się spotkamy.

- Już jadę. - Nora oddała słuchawkę Ingrid i skierowała się ku drzwiom. Caine, widząc, jak jest rozdygotana, chwycił ją za łokieć.

- Pojadę z tobą.

Jeziro Crescent, rozciągające się pomiędzy porośniętymi bujną zielenią północnymi stokami pasma Olympic, zawsze było uważane za perłę krajobrazową ze względu na położenie i niewiarygodnie zielonobłękitną barwę. Przyciągało turystów już od końca ubiegłego wieku. W 1915 roku w pobliżu zbudowano z kamienia nieduże schronisko. Caine spędził tam niejedną wesołą weekend. Tym razem jednak nastrój był jak najdalszy od radosnego.

Kiedy Nora i Caine weszli do schroniska, ujrzeli Karin stojącą przy kamiennym kominku w otoczeniu przyjaciół. Wybiegła im na powitanie.

- Jesteście, dzięki Bogu!

- Dobrze wiesz, że w takiej chwili nie mogłabym znaleźć sobie miejsca. - Nora uściskała bratową. - Wszystko będzie dobrze. Eric się znajdzie. Na pewno.

- Chciałabym w to wierzyć - odrzekła, po czym zwróciła się do Caine'a: - Jak się masz, Caine.

To konwencjonalne powitanie nie pasowało do sytuacji, lecz Caine pomyślał, że Karin w ten jedyny sposób potrafiła bronić się przed łzami.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Przytulił ją i musnął wargami jej skroń.

- Jakby mogło być inaczej?

Karin z trudem powstrzymywała płacz.

- Caine, odszukajcie mojego chłopca, proszę was.

- Znajdziemy go - powiedział wzruszony. - Przyrzekam.

Delikatnie przesunął ją w stronę Nory, uściśnął ramię byłej żony dla dodania jej otuchy i wyszedł ze schroniska, żeby przyłączyć się do ekip szukających dziecka.

Podczas gdy w Tribulation padał tylko deszcz, tu, nad jeziorem, rozszalała się prawdziwa nawałnica. Wyjący, zimny wichur gnał od strony stromych, górskich zboczy, padał lodowaty deszcz ze śniegiem. Niebo nad jeziorem pokrywały gęste, ciemne chmury, które wyglądały jak rozwieszony nad nim mokry, wełniany koc.

Ludzie biorący udział w poszukiwaniach podzielili się na czwórki i każda grupa ruszyła w czterech różnych kierunkach od miejsca, gdzie urywał się ślad Erica.

Czas mijał, w górach zapadał mrok, temperatura spadała. Przejmująco zimny deszcz zupełnie przemoczył ponczo Caine'a, żółte światło latarki nikło w gęstej mgle. Pełen śmiertelnego przerażenia wzrok Karin przywrócił wspomnienie innego tragicznego wydarzenia.

Takie same oczy miała Nora, kiedy jechała do szpitala tamtego tragicznego dnia. Dnia, w którym Dylan...

Nie, gwałtownie potrząsnął głową, nigdy więcej nie chce słyszeć głosu człowieka, którego serce rozpada się na strzępy.

Odnajdzie Erica! Musi!

Nagle dobiegł go słaby głos, jakby zawodzenie wiatru. Zatrzymał się i dał znak idącym za nim, żeby się nie ruszali. Dźwięk był coraz wyraźniejszy i Caine nie miał już wątpliwości, że to płacz dziecka. Odczuł niewysłowioną ulgę.

Znaleźli Erica leżącego na usypanej z igliwia podściółce pod potężną, rozłożystą jodłą. Był zabłocony, wyczerpany i przerażony, lecz cały i zdrowy, jak stwierdził Caine, kiedy wziął dziecko na ręce.

- Wujku Caine? To naprawdę ty?

- Z całą pewnością. Idziemy do domu, bracie. Mokre, umazane błotem ramiona oplotły szyję Caine'a.

- Widziałem jelonka, pobiegłem za nim i zgubiłem się.

- Będiesz miał nauczkę, że nie wolno zbaczać ze szlaku.

- Dostanę burę?

- Mama ogromnie się martwiła.

- Płakała?

- Trochę. Jak zobaczy cię całego i zdrowego, to rozplacze się na dobre.

- A potem za karę nie pozwoli mi wychodzić z domu.

- To całkiem możliwe - potwierdził Caine.

Doszli do schroniska. Caine otworzył drzwi, przez które wpadł zaraz do wnętrza potężny podmuch wiatru i fala deszczu. Za Caine'em weszli Dan i Joe Bob, a pochod zamykał Harmon Olson. Jakie to typowe, pomyślała Nora. Mieszkańcy

Tribulation mogą się kłócić, lecz w obliczu zagrożeń zawsze są solidarni.

- Ericu!

Karin podbiegła ze łzami radości w oczach. Objęła ramionami Caine'a i dziecko.

- Tak bardzo się martwiłam. - Dygoczącymi palcami dotykała umorusanej buzi syna. - Dobrze się czujesz?

- Nic mu nie jest - odparł Caine. - Nora na pewno to potwierdzi.

- Tak się martwiłam - powtórzyła Karin drżącym głosem.

Gładziła chłopczyka po rozczochranych włosach i wyjmowała z nich zielone igły.

- Przez tydzień nie będziesz wychodził z domu.

Eric z ciężkim westchnieniem spojrzał wymownie na Caine'a.

Caine zaśmiał się. Od wieków nie czuł się tak dobrze.

ROZDZIAŁ 10

Caine i Nora wracali do Tribulation znużeni, w przyjaznym milczeniu.

- Mój samochód został przed gospodą - przypomniała mu, gdy skręcił w kierunku jej domu.

- Przyprowadzę ci go jutro - zaproponował. - Wyglądasz na wykończoną i chyba powinnaś wrócić jak najszybciej do siebie.

- Jestem zmęczona - powiedziała - ale to nie ja przedzierałam się przez las w deszczu cały wieczór. Musisz być kompletnie wyczerpany.

Zatrzymał się przed jej domem i wyłączył silnik.

- Prawdę mówiąc, jestem trochę oklapnięty.

Wysiedli z samochodu i wchodzili po skrzypiących, drewnianych schodach prowadzących na werandę. Szli blisko siebie, ich ramiona niemal się stykały.

- Chcesz wejść? - spytała. - Mogę zrobić herbatę. Mam też bezkofeinową kawę.

Przezorny i rozsądny mężczyzna starałby nie stawiać się w sytuacji pełnej pułapek. Niestety, ani przezorność, ani rozwaga nie były jego mocnymi stronami.

- Kawa by mi znakomicie zrobiła, ale jesteś zmęczona i...

- Przecież to rozpuszczalna.

Ostatnia wymówka odpadła, więc odrzekł:

- Chętnie się napiję.

Poszedł za nią do kuchni, usiadł przy stole i obserwował, jak nalewa wodę do czajnika. Na stole piętrzyły się książki i jakieś papiery. Jego uwagę zwrócił leżący na wierzchu maszynopis.

- Co to?

Spojrzała na kartki i zarumieniła się.

- A, to artykuł, nad którym teraz pracuję. Rzucił okiem na początek tekstu.

- O udzielaniu dzieciom pierwszej pomocy na ostrych dyżurach?

- Nie, w pediatrycznym centrum leczenia urazów. Lekarze na ostrych dyżurach w szpitalach są zbyt zajęci przypadkami nie wymagającymi interwencji chirurga. Dotleniają chorych z atakami astmy, robią pompowanie żołądka po zatruciach i tym podobne zabiegi. To im zajmuje dziewięćdziesiąt osiem procent czasu i takim chorym mogą nieść skuteczną pomoc. Dopóki nie zjawi się pacjent po wypadku. A sprawa jeszcze bardziej się komplikuje, gdy ofiarą jest dziecko.

- Jak Dylan. - Uniósł wzrok znad artykułu.

Ich oczy spotkały się. Jego w niemej prośbie, by w końcu wspólnie dźwignęli ciężar najbardziej tragicznego przeżycia, jakie ich dotknęło.

Zrozumiała, gdyż i ona odczuwała taką potrzebę. Nie odwróciła wzroku.

- Tak - przyznała - jak Dylan. - Odetchnęła głęboko. - Jest coś, o czym chciałam ci powiedzieć.

Czajnik zaczął gwizdać przenikliwie. Zalewała wrzątkiem brązowe granulki, a Caine czekał. Usiadła przy stole naprzeciwko niego.

- Wczoraj wstąpiłam do Maggie, żeby ją zbadać, Devlin powiedział mi, że nadał obwiniasz się o śmierć Dylana.

Była wstrząśnięta, że Caine wciąż żyje w poczuciu winy za ten wypadek.

- Wtedy uświadomiłam sobie, że czas z tym skończyć. Ja cię nie obwiniam. I ty też powinieneś przestać tak myśleć.

- Och, Noro, gdybym nie zabrał ze sobą tego dnia Dylana...

- Jesteś dla siebie niesprawiedliwy.

To dziwne. Po tylu latach, w ciągu których oskarżała Caine'a o spowodowanie śmierci ich syna, teraz za wszelką cenę pragnęła go przekonać o czymś wręcz przeciwnym.

- W Detroit miałem kolegę w drużynie, łącznika. - Caine mówił powoli, z trudem. - Bardzo interesował się religiami Wschodu. W tym czasie był wyznawcą zen. Doprowadzał nas do szału, gdyż przed każdym meczem cały goły siadał przed swoją szafką w szatni i zawodził mantrę. Ale trzeba przyznać, że w nerwowych sytuacjach na boisku nie było lepszego od niego. Powiedział mi kiedyś coś, czego nigdy nie zapomnę.

- Co takiego?

- Że nie ma rzeczy przypadkowych, zbiegów okoliczności, gdyż życie jest zawsze reakcją na karmę. Każde wypowiedziane przez nas

słowo, każdy nasz oddech, porusza kosmos wokół nas. Wszystko jest konsekwencją sumy popełnionych przez nas uczynków.

Nora gwałtownie wstała od stołu i zaczęła otwierać pudełko z ciasteczkami.

- Nie przyjmuję do wiadomości, że śmierć Dylana była częścią jakiegoś kosmicznego planu.

- Czy ten buddysta nie miał jednak trochę racji? A może tak się stało, bo ja miałem nadmiernie wybujałe ambicje? Jak wytłumaczysz, że Dylan zmarł na drugi dzień po nadejściu zawiadomienia o zaangażowaniu mnie do krajowej ligi?

- Najzwyklejszy przypadek! - Ręce jej się trzęsły, ciasteczka wysypały się na stół. - Ja byłam tak samo ambitna jak ty. Oboje obsesyjnie dążyliśmy do swych celów. Co nie znaczy, że nie kochaliśmy naszego syna. I z całą pewnością żadne z nas nie przyczyniło się do jego śmierci. To był wypadek. Głupi, tragiczny, bezsensowny wypadek.

Te słowa miały pocieszyć Caine'a. Nie spodziewała się, że po raz pierwszy od dziewięciu lat sama w nie uwierzy.

- Mówisz to z zadziwiającą pewnością. Odetchnęła głęboko.

- Od tamtego dnia widziałam zbyt dużo umierających dzieci.

Miałam dość czasu na przemyślenia, jak to się dzieje i dlaczego.

- I stąd ten artykuł?

- Tak. - Jeszcze raz odetchnęła, jakby się chciała przygotować do jasnego wyłożenia swoich argumentów. - Ci, którzy udzielają pomocy dzieciom rannym w wypadkach, powinni dowiedzieć się wielu rzeczy,

gdyż pod pewnymi względami sposób leczenia dzieci i dorosłych musi się różnić.

- Na przykład?

- Głowa dziecka w stosunku do reszty ciała jest o wiele większa niż u osoby dorosłej, a tym samym uraz jego głowy jest bardziej niebezpieczny. Albo weźmy śledzionę. Jeżeli dorosły jest przywieziony do szpitala z uszkodzoną śledzioną, istnieje zasada, że się ją usuwa. Dla dorosłego to nie będzie miało żadnych konsekwencji, natomiast u dziecka spełnia ona podstawową rolę w systemie immunologicznym. Jeżeli się ją usunie, to dziecko wprawdzie wyzdrowieje, lecz będzie narażone na śmiertelne niebezpieczeństwo nawet przy zwykłym katarze, gdyż organizm nie poradzi sobie z infekcją. Albo kości - ciągnęła dalej. - Kości dziecka mają szczególną zdolność do zrastania się, rzecz jednak w tym, że kości złamane rosną szybciej niż całe. Jeżeli więc złoży się dziecku chorą nogę w ten sam sposób jak dorosłemu, to ta złamana będzie dłuższa od zdrowej. Jest dużo takich problemów - dodała, spoglądając na artykuł, który Caine ciągle trzymał w ręce.

- Chyba za dużo na zwykły artykuł - zauważył. - Może powinnaś napisać książkę.

- Równie dobrze mogłabym w wolnym czasie organizować pediatryczne centrum leczenia urazów - odparła. - Tylko że musiałabym całkowicie zrezygnować ze snu.

Caine pomyślał, że niewątpliwie miała rację.

- Szkoda. Taka książka powinna być napisana. Pokiwała głową.

W holu stary zegar wybił godzinę. Caine zerknął na swój zegarek z niedowierzaniem.

- Niedługo będzie świtać. Czas na mnie.

- Dzisiaj mam wolną sobotę. Mogę spać cały dzień. Pomysł spędzenia deszczowej soboty w łóżku z Norą wydał się Caine'owi niezmiernie pociągający.

- Cóż, chyba już pójdę i dam ci trochę odpocząć. - Wstał od stołu, choć jeszcze miał nadzieję, że go zatrzyma.

Nora musiała walczyć z podobną pokusą. Wmawiając sobie, że to nie byłoby najlepsze rozwiązanie, również się podniosła.

- Jeszcze raz ci dziękuję - powiedziała, odprowadzając go do wyjścia - za wszystko.

- Ja tobie też dziękuję - odrzekł. - Za kawę, ciasteczka i no... za wszystko.

Teraz, kiedy już wiedział, że Nora nie wini go za śmierć Dylana, ogromny ciężar spadł mu z piersi. Jeżeli ona mogła mu wybaczyć, to być może i on potrafi przebaczyć sobie.

Stali przed wyjściowymi drzwiami blisko siebie. Patrzyli sobie w oczy. Pogładził ją po policzku wierzchem dłoni. Marna namiastką na pocieszenie.

- Śpij smacznie. - Caine dostrzegł budzące się w jej oczach pożądanie i wiedział, że musi odejść. Zaraz, zanim będzie za późno.

- Ty też. Uściskaj ode mnie Maggie.

- Dziękuję. Do zobaczenia w poniedziałek. Masz mi zdjąć szwy - przypomniał jej o nowym terminie wizyty.

Tak bardzo chciał ją całować, zaciągnąć na górę do sypialni i przekonać się, czy jej gorąca skóra nadal ma taki nieuchwytny, niepowtarzalny zapach, więc odwrócił się raptownie, zbiegł ze schodów i szybkim krokiem podszedł do samochodu.

Nora z trudem powstrzymywała się, żeby go nie zawołać. Została w otwartych drzwiach, aż tylne światła samochodu zniknęły za zakrętem.

Przez całą sobotę Caine był zajęty, bo przewoził samolotem świeżo poślubioną parę z Kalifornii na jedną z okolicznych malowniczych wysp. Młodzi byli tak sobą zajęci, że wątpił, czy docenią urok krajobrazu.

Niedzielę spędził w domu. Z jakąś nową energią przystąpił do generalnych porządków. Wyszorował podłogi, odkurzył meble, wyeksmitował pająki z ich licznych rezydencji w rogach sufitu.

Podczas mycia okien zobaczył drozda, który na pobliskim drzewie wplatał w konstrukcję budowanego właśnie gniazdko, czerwoną wstążeczkę. Caine doznał uczucia wspólnoty z tym ; kolorowym ptaszkiem.

W poniedziałek rano chata wyglądała tak czysto, że mógłby zaprosić do niej własną matkę na inspekcję. Wyniósł jeszcze na śmietnik odpadki z ostatnich trzech tygodni ku zachwytowi krążących nad jeziorem mew. Potem zrobił sobie w kuchni kawę i przeprowadził mnóstwo rozmów telefonicznych z przyjaciółmi, a także ludźmi z branży sportowej w całym kraju.

Zanim wyszedł z domu na zdjęcie szwów, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuł, że jego życie powróciło na właściwe tory. Wsiadł do samochodu i ruszył w stronę miasteczka.

Wokół układała się przesycona wiosennym światłem mozaika zieleni we wszystkich możliwych odcieniach: żółtawo-zielonych listków wierzb pochylonych nad strumieniami, czerwonozielonych liści klonów rozwijających się z pączków, seledynowych paproci i niebieskawozielonej wody. Caine już dawno doszedł do wniosku, że tu, u podnóża Olympic, może cieszyć oczy bardziej różnorodnymi barwami zieleni niż jego przodkowie w Irlandii.

W klinice, jak zwykle w poniedziałek, przewijał się tłum pacjentów. Na szczęście Kirstin, pielęgniarka, wróciła już z urlopu macierzyńskiego, więc praca szła o wiele sprawniej.

Nora kończyła bandażować zwichniętą kostkę Evy Nelson. Po zaleceniu dziewczynie, żeby nie nadwierała nogi, trzymała ją jak najczęściej wysoko, a w razie potrzeby zażywała aspirynę, wyszła do holu pełniącego rolę poczekalni.

Caine już tam siedział, rozciągnięty wygodnie w fotelu babci. Wyglądało, że czuł się tu jak u siebie w domu.

- Dzień dobry, panie O'Halloran - powitała go oficjalnie Nora.
- Dzień dobry, pani doktor.
- Mogę pana przyjąć.

Nie uszło jej uwagi, że zawsze skrupulatna pielęgniarka wypisująca Evie Nelson kwit dla ubezpieczalni i przypatrująca się

ukradkiem Caine'owi, zrobiła błąd i musiała po raz drugi wypełnić formularz.

- Nie masz pojęcia, jak jestem ci wdzięczny, że znalazłaś dla mnie czas w tym natłoku zajęć - powiedział Caine, podążając za Norą do gabinetu sprężystym krokiem sportowca.

-Usiądź na stole.

- Noro, znam już tę musztrę. - Uśmiechnął się. - Czy i tym razem mam się rozebrać?

- To nie będzie konieczne. - Podeszła do szafy po chirurgiczne nożyczki i rękawiczki.

Ucieszył go jej ostry ton. Od dawna wiedział, że Norze niewiele osób działało na nerwy. Fakt, że on się znalazł pomiędzy nimi, uznał za dobry znak.

Kiedy odwróciła się do niego, stał przy niej znacznie bliżej, niż się spodziewała.

- Miałaś miły weekend? - zapytał.

- Bardzo - odparła. - A ty?

- Też. Przewoziłem na wyspę klientów Maggie. Wydawało mi się dziwaczne, że płacą mi za to, co robiłem dla przyjemności.

Dziwaczne, ale miłe.

- Zawsze twierdziłeś, że grałbyś w baseball za darmo.

- To prawda. - Podciągnął się na stół. — Do dzieła, pani doktor, jestem gotowy.

- Telefonował do mnie dzisiaj lekarz w sprawie programu kuracji domowej dla Maggie - powiedziała, wyciągając z ręcznika pierwszy szew.

- To dobrze. - Poczul nieznaczne szarpnięcie. - Zawarłem z nią układ.

- Jaki? - Następny szew został zdjęty.

- Zgodzi się na leczenie, a ja w zamian obiecałem mniej pić, wolniej jeździć i pozostać w celibacie.

- Trudno sobie wyobrazić, jak Maggie skłoniła cię do przyjęcia tego ostatniego warunku. - Kolejny szew się poddał.

- Masz rację. - Kiedy ich spojrzenia spotkały się, dostrzegła jej wzroku napięcie. - Jak zwykle wyrąbała mi prawdę w oczy, że skoro jestem formalnie żonaty, to nie mogę zalecać się do innej kobiety, bo to nieuczciwe. Więc obiecałem jej całkowitą abstynencję do czasu przeprowadzenia rozwodu.

Celowo zatrzymał rozognione spojrzenie na jej wargach, żeby odczuła je jak pocałunek.

- Jedyłą kobietą, której pragnę, jesteś ty.

Zobaczył na jej wyrazistej twarzy całą gamę uczuć: troskę, niepokój, złość, lecz nade wszystko pożądanie.

- Daj mi teraz spokój, Caine.

- Już ci powiedziałem, że taki właśnie mam zamiar - zgodził się z uśmiechem. - Chwilowo.

Pragnął wziąć ją w ramiona, lecz powstrzymał się.

- Czy zauważyłaś, że jestem w twojej klinice co najmniej dziesięć minut i ani razu nie usiłowałem cię pocałować?
- Do licha, Caine...
- Mogę o coś zapytać?
- To zależy od pytania. - Zdejmowała rękawiczki. - Czy już wszystko zrobione?
- Masz na myśli szwy? Tak.
- Czyli wizyta u lekarza została zakończona?
- Tak - odparła mniej zdecydowanym tonem.
- To dobrze. - Przepraszając w duchu babkę, Caine zsunął się ze stołu, objął Norę i pocałował w usta z całą powstrzymywaną dotąd namiętnością.
- Nie możemy tego robić - zaprotestowała słabo, gdy wreszcie ich pulsujące wargi oderwały się od siebie.
- Podaj mi jeden rozsądny powód.
- A co z twoją żoną?
- A niech to. - Z westchnieniem wypuścił ją z ramion.
- Do licha, czy koniecznie musisz się zachowywać jak dorosła osoba?
- Ktoś z nas powinien. - Policzki Nory nadal pałały, wargi były nabrzmiące, a oczy zamglone pożądaniem. - Chyba byłoby lepiej, gdybyśmy się nie widywali.
- W tym miasteczku? - Caine doskonale wiedział, że bez względu na to, gdzie by mieszkali, sprawy zaszły za daleko i nie można było się cofać.

- No tak, masz rację. - Chcąc nie chcąc, ustąpiła. - Pewnie zobaczymy się w przyszłym tygodniu w piątek wieczorem.

Coroczna uroczystość nocy świętojańskiej, związana z letnim przesileniem, miała swe źródło w pradawnych, pogańskich jeszcze wierzeniach i zwyczajach.

Przed wielu laty ktoś wpadł na pomysł, żeby do programu zabawy dodać zawody drwali.

W rezultacie z całego kraju ciągnęli tu chętni, skuszeni też czekającą na nich nagrodą, co roku większą.

Ani Nora, ani Caine nie brali udziału w tej zabawie od owej nocy, kiedy został poczęty Dylan.

- Możliwe, jeśli będę w mieście.

- Aha. Bierzesz za Maggie jakichś nowych turystów?

- Nie. -Nie bardzo wiedział, jak ma jej przekazać nowinę.

- Dzwonili Tigersi.

- Tak? Nie wiedziałam, że już wydobrzałeś na tyle, żeby rzucać piłką.

Nora zamykała się w sobie niby kwiat stulający płatki przed nadciągającą burzą.

- Nie wydobrzałem. Mają zamiar pozbyć się trenera i jestem jednym z niewielu ludzi, których biorą pod uwagę jako jego następcę.

- Rozumiem. - W gruncie rzeczy rozumiała aż za dobrze. - Czy to znaczy, że zrezygnowałeś z gry?

- Tymczasem. - Zacisnął i rozprostował palce. - Do diabła, Noro, po co mam się dalej sam oszukiwać. Jestem w dobrej formie, ale straciłem niezbędne wyczucie w palcach.

- No cóż, życzę ci szczęścia na nowej drodze.

Rozwiała się atmosfera intymnej bliskości, rozmowa przybrała chłodny, konwencjonalny ton, którego Caine tak nie cierpiał. Pocieszało go jedynie, że im Nora bardziej czymś była przejęta, tym większą obojętność udawała.

- Dzięki. Szczęście rzeczywiście będzie mi teraz potrzebne.

Postanowił się pożegnać, zanim zaczną się kłócić na temat jego egocentryzmu, który, według niej, był zawsze bodźcem do sięgania po sportowe sukcesy.

- Nie odprowadzaj mnie. - Udało mu się ukraść szybkiego całusa. - Znam drogę.

Nora, zła, że Caine nadal potrafi tak panować nad jej emocjami, zacisnęła palce na chirurgicznych nożyczkach. Miała ochotę rzucić nimi w tego pewnego siebie typa.

Musiała się wziąć w garść. Zamknęła oczy i powoli odłożyła nożyczki, lecz trudno jej było się uspokoić, gdyż z poczekalni właśnie doszedł ją dźwięczny, męski głos i wybuch kobiecego, dobrze znanego chichotu.

Była niewątpliwie zła, że Caine zostawił ją taką rozdygotaną - i, do licha, podnieconą - lecz dopiero fala dzikiej zazdrości, którą wywołał zalotny śmiech Kirstin, naprawdę ją przeraziła.

ROZDZIAŁ 11

Wieczór poprzedzający noc świętojańską był bardzo ciepły i bezchmurny, jakby matka natura wysłuchiwała podszeptów starożytnych, pogańskich bożków. Księżyc w pełni zawisł nad miastem i oświetlał je niczym ogromna latarnia. Było prawie tak widno jak w dzień.

Skwer świątecznie przystrojono japońskimi lampionami, małe żaróweczki mrugały z gałęzi rozłożystych klonów, posadzonych tu kiedyś, bardzo dawno, przez radnych miasteczka.

Z jednej strony skweru grupa mężczyzn, popijając piwo nalewane z beczułki, zabawiała się rzucaniem podków.

Stoły zastawiono różnym jadłem. Zimne zupy owocowe sąsiadowały z przystawkami z ostryg i innych owoców morza. Na półmiskach leżały plastry łososia polane musztardowo-koperkowym sosem - przysmak miejscowej kuchni.

Osobny stół przeznaczono na wszelkiego rodzaju słodkości. Leżały tam na talerzach szwedzkie naleśniki z żurawinami, stały beżowe torty z czarnymi jagodami, ciasta z malinami oblane cytrynowym lukrem. Nie zabrakło też regionalnego trunku - mocnego, gorącego rumu, zmieszanego z brandy. Jakby tego wszystkiego nie wystarczało dla zaspokojenia apetytów, przed ogromnym grillem, na którym Ingrid Johansson smażyła swe sławetne, pikantne hamburgery, ustawiła się kolejka chętnych z tekturowymi talerzami w rękach.

Po przeciwnej stronie skweru odbywały się zawody drwali. Zawartość sakiewki - głównej nagrody - wynosiła w tym roku aż pięć tysięcy dolarów/Dochodziły stamtąd odgłosy pił tarczowych, uderzenia siekier, wybuchy śmiechu i okrzyki.

Nora skierowała się w stronę miejsca, gdzie rozgrywano zawody rzucania siekierą w konkurencji pań.

- Fascynujący i jednocześnie przerażający widok, prawda? - usłyszała tuż za sobą cichy, męski głos.

Odwróciła się i usiłowała przybrać surową minę.

- Jak się masz? - powiedziała.

Caine musiałby być głuchy, żeby nie dosłyszeć w jej głosie nuty zadowolenia.

- Witaj.

Miała na sobie coś powiewnego, kwiecistego i bardzo kobiecego, a pachniała jak wiosenny ogród. Potrącił palcem kolczyk zrobiony z muszelek.

- Wyglądasz cudownie. Zarumieniła się.

- Dziękuję.

Spódniczka sięgała przed kolana. Jakież ona ma wspaniałe nogi!.

- Rada miejska popełniła wielki błąd. - Patrzył na nią tak, jakby chciał ją porwać. Jej wzrok mówił, że nie broniłaby się.

- Błąd? - Rozejrzała się wokół, lecz wszędzie trwała świetna zabawa. - Jaki?

- To ty powinnaś zostać królową, a nie Britta Nelson. Spojrzała w kierunku ukwieconego słupa, wokół którego tańczyła grupa

młodych dziewcząt. Jasnoblond włosy piętnastoletniej Britty Nelson zdobiła korona - kwietny wieniec.

- Coś ci przyniosłem. - Caine podał Norze trzymany dotąd za plecami bukiet polnych kwiatów.

- O, jakie śliczne. - Nie bacząc na głos rozsądku, zanurzyła w nich twarz i wdychała ożywczy zapach.

- Siedem różnych gatunków - podkreślił z naciskiem.

Zgodnie ze szwedzkim, ludowym zwyczajem dziewczynie, która w noc świętojańską włoży pod poduszkę wiązanek z siedmiu różnych kwiatów, przyśni się przyszły mąż.

- Daj spokój, Caine...

Chciała odejść, lecz przytrzymał jej dłoń i podniósł do ust.

- Chyba to nie byłoby straszne, gdybym ci się przyśnił?

- Oczywiście, że nie.

- Ja śniłem o tobie co noc. - Z uśmiechem zaczął całować jej palce. - Chcesz poznać kilka najbardziej interesujących snów?

Kiedy jego wargi dotarły do wnętrza dłoni, poczuła, jak każda komórka jej Ciała zaczyna się roztopiać. Jako lekarz wiedziała, że to niemożliwe, lecz jako kobieta mogłaby przysiąc, że tak się właśnie dzieje.

Wiedząc, że w Tribulation nic nie ujdzie uwagi ciekawskich, wyrwała rękę.

- Nie. - Założyła ręce do tyłu. Niestety, to był niefortunny manewr, gdyż teraz nie mogła go odepchnąć. A on na nią napierał, aż oparła się o pień klonu. - Nie chcę.

- Szkoda. - Położył dłonie po obu stronach jej głowy i praktycznie ją uwięził. - Mój ulubiony jest taki: lecimy nad oceanem odrzutowcem Maggie.

- Maggie nie ma odrzutowca...

- To sen - przypomniał jej z uśmiechem. - A więc lecimy ponad oceanem i ze wszystkich stron otacza nas nieprzebrana przestrzeń morskiej zieleni i błękitu nieba. Tak, jakbyśmy byli sami na świecie. A teraz zaczyna się najlepsza część: włączam automatycznego pilota i...

Usłyszeli za sobą wyraźne chrząknięcie.

- O, przepraszam, Caine, cześć, Noro - rzekł speszony Joe Bob. - Wybaczcie, że wam przeszkadzam, ale twój dziadek, Caine, was szuka. Wyglądał na zdenerwowanego, więc mu powiedziałem, żeby poczekał tam, przy podkowach, a ja was odnajdę.

Caine opuścił ręce, Spojrzał na Norę z przerażeniem.

- Devlin wszystkie wieczory spędza z Maggie. Jeżeli ją zostawił i przyszedł tutaj...

Nora zapragnęła nagle przycisnąć wargi do jego boleśnie skrzywionych ust, obsypać pocałunkami tę umęczoną twarz. Chciała mu obiecać, że jego babka dożyje stu lat.

Ale tylko dotknęła dłonią jego policzka.

- Lepiej chodźmy i zobaczmy, dlaczego chce nas widzieć - powiedziała opanowanym głosem, wytrenowanym w ciągu wielu lat praktyki lekarskiej.

Wzięła byłego męża za rękę i zaprowadziła potulnego jak baranek przez rozbawiony tłum do Devlina O'Hallorana.

Kiedy przyszli do domu dziadków, Ellen i Mike O'Halloranowie już tam byli. Mike, ojciec Caine'a, zawsze małomówny, lepiej czuł się w towarzystwie swych wędek i przynęt niż ludzi. Powitał Norę niewyraźnymi pomrukami i uściskał ją z zakłopotaniem. Nie umiał wyrażać swych uczuć tak otwarcie jak Devlin czy Caine, jednak nadchodząca śmierć matki musiała nim wstrząsnąć, gdyż w ciemnych oczach szklily się łzy.

Ellen O'Halloran nie wyglądała na kobietę zbliżającą się do sześćdziesiątki. Zwłaszcza teraz, gdy wiele czasu spędzała na powietrzu, miała pięknie opaloną cerę, a jej krótko ostrzyżone włosy koloru jesiennych liści były tylko przyprószone siwizną.

Obejmując na powitanie była teściową, Nora przez chwilę poczuła się niepewnie. Nie bardzo wiedziała, czy jest tutaj wyłącznie w charakterze lekarza domowego, bo mimo rozvodu z Caine'em czuła się jak członek rodziny, z którą wspólnie dzieliła ból.

Z sypialni wyszła pielęgniarka i odciągnęła Norę na bok.

- Uprzedziłam rodzinę, że Maggie nie przetrzyma tej nocy - szepnęła. - Oczywiście mogę się mylić.

Nora zbyt dobrze wiedziała, jak śmierć potrafi się namyślać.

- Zaraz ją zbadam.

Kiedy Nora weszła do pokoju, Maggie spała. Miała na sobie staroświecką, bawełnianą koszulę z długimi rękawami, wykończonymi ręczną koronką.

Przerzedzone, srebrnoróżowe włosy staruszki leżały rozrzucone na hartowanej poduszce. Twarz sprawiała wrażenie bardzo spokojnej.

Nora uniosła wątlą rękę chorej i zbadała puls. Był bardzo słaby i nierówny. Kładła z powrotem rękę na pościel, gdy Maggie otworzyła niebieskie oczy.

- Tak myślałam, że to ty - powiedziała. - Caine zawsze mówił, że pachniesz jak polne kwiaty po wiosennym deszczu. Miał rację.

- Czeka, żeby się z tobą zobaczyć.

- Wiem. Już się pożegnałam z Michaelem i Ellen, ale jeszcze zwlekałam do waszego przyjścia. - Drżące powieki opadły na oczy. Nora sprawdziła puls, nie zmienił się. Po chwili Maggie znowu otworzyła oczy. - Jak się udała zabawa?

- Chyba bardzo dobrze. - Nora wiedziała, że Maggie ciekawa jest szczegółów, więc opowiedziała jej o zawodach drwali, o tańcach, opisała japońskie lampiony i smakołyki.

- Czy Eva Magnuson przyniosła szarlotkę?

- Oczywiście.

- Jej jabłka nigdy nie były dostatecznie kwaśne - stwierdziła Maggie - a ciasto robiła twarde jak beton. Ale zawsze przynosiła te swoje knoty, więc nikt nie miał serca powiedzieć jej prawdy. Pamiętam, jak urządzaliśmy to święto w czasie wojny. Nie było lampionów, bo obowiązywało zaciemnienie. W każdej chwili japońskie łodzie podwodne mogły podpłynąć do stoczni.

Znowu przymknęła oczy. Kąciki jej ust lekko zadrgały w uśmiechu.

- W cieniu tych starych klonów to dopiero były zalecanki, możesz mi wierzyć. Z tymi chłopcami, którzy wychodzili w morze. Wojna sprzyjała romansom.

Jej twarz spoważniała.

- Michael był ciężko ranny, choć się do tego nie przyznawał. Cały on. Trudno zrozumieć, że taka gaduła jak ja urodziła takiego milczka. Nie martwię się o niego, ma swoją Ellen. Natomiast biednemu Caine'owi będzie okropnie ciężko, bo nie potrafił zatrzymać swej babci na tej ziemi.

Westchnęła i przycisnęła dłoń do słabnącego serca.

- Caine zawsze brał zbyt wiele na swe barki. Taka już jego natura, co na to można poradzić. - Opuściła ponownie powieki, lecz nie spała. - Opowiadał mi o swoim koledze z drużyny, jakimś buddyście. Oni wierzą w reinkarnację. Ostatnio wiele o tym myślałam. To nie byłby zły pomysł wrócić tutaj. Tym razem może byłabym astronautką.

- Pierwszą kobietą pilotującą statek kosmiczny na Marsa - podsunęła z uśmiechem Nora.

Maggie też się uśmiechnęła.

- To by mi się podobało, ale nie Devlinowi. Jemu w powietrzu robi się niedobrze. Zachichotała. - Pomyśl, choroba morska u mężczyzny, który większość życia spędził na wodzie. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Na morzu dobrze, w powietrzu źle.

Zamilkła i zdawało się, że przysnęła. Nora już chciała poprosić resztę rodziny, lecz Maggie znowu uniosła powieki i wpatrując się w nią jasnymi, niebieskimi oczami, powiedziała:

- Jeżeli okaże się, że istnieje niebo, powiem Dylanowi, że jego mama tuli go do serca.

Nora nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Dziękuję - szepnęła po chwili.

- Gdybyśmy kiedyś rzeczywiście mieli tu wrócić, to mam nadzieję, że wasze drogi się skrzyżują i sama mu wszystko opowiesz wyszeptała Maggie ze łzami w oczach.

Nora była w stanie tylko skinąć głową.

- A teraz przyślij do mnie Caine'a, Tylko jeszcze przedtem mnie pocałuj.

Nora schyliła się i musnęła wargami policzek starej pani. Skóra była cienka i sucha jak pergamin.

- Kocham cię, Maggie.

- I ja ciebie kocham, dziewczyno. - Z trudem uniosła rękę i pogłaskała policzek Nory. - Zaopiekuj się moim wnukiem - szepnęła.

- Wiem, że on czasami jest postrzelony, ale to w głębi duszy dobry chłopak.

- Wiem - przyznała Nora, bo to była prawda.

Z ciężkim sercem podeszła do drzwi i skinęła na Caine'a. Przechodząc obok, pogładziła go po stężalej twarzy i zostawiła samego z babką.

W ciągu ostatnich tygodni Caine coraz wyraźniej sobie uświadamiał, że Maggie gaśnie, lecz nie dopuszczał do siebie myśli o jej śmierci. Nawet teraz, patrząc na jej żółtawą cerę i wątłe ciało, nie był w stanie uwierzyć w tę smutną prawdę.

- Ominęły cię tańce.

- Właśnie. To mnie złości. Twój dziadek jest dobrym tancerzem.

- Odblask jakichś miłych wspomnień zamigotał w oczach Maggie. - Pierwszy raz tańczyliśmy właśnie w noc świętojańską. Przyleciałam do miasta razem z pięcioma innymi dziewczynami. Miałyśmy brać udział w pokazach lotniczych. Rada miejska nas zaangażowała, bo chciała ściągnąć tu turystów. Dziadek był wtedy burmistrzem. To był jego pomysł.

Caine usiadł na krześle przy łóżku.

- I udało się? Przyciągnęłyście turystów?

- Już nie pamiętam. Z tej nocy zostało mi tylko jedno wspomnienie - tańczyłam rumbę z Devlinem. Następnego ranka reszta dziewczyn odleciała.

- A ty zostałam. - To była jedna z ulubionych opowieści babki.

- I nigdy nie żałowałam ani jednego dnia spędzonego tutaj. To, co połączyło nas z dziadkiem, było wyjątkowe. I wiedzieliśmy o tym od samego początku. - Maggie przymknęła oczy, lecz wyciągnęła rękę i poklepała jego dłoń. - Ty i Nora stracie trochę czasu, ale i wy siebie odnajdziecie. W końcu. Jak mówił ten twój buddysta, człowiek nie może uciec przed swoją karmą... Zrobisz coś dla mnie?

- Co tylko sobie życzysz - odparł bez wahania.

- Możesz mnie uczesać?

Caine uniósł ją i oparł na wypchanych gęsim puchem poduszkach. Była lekka jak piórko. Sięgnął po szczotkę w srebrnej oprawie i zaczął nią delikatnie gładzić włosy babki, niegdyś tak płomiennie rude.

- Mmm- zamruczała Maggie -jak dobrze.

Caine'owi wydawało się, że przysnęła, lecz ona znowu się odezwała.

- Miłość to potęga, Caine. Silniejsza niż przeznaczenie. Caine sam już doszedł do tego wniosku, pozostawało mu tylko przekonać Norę.

- Wiem, babciu, dlatego musisz być zdrowa, żeby wyprawić nam wesele.

- Niczego bardziej bym nie pragnęła. Nie martw się, będę z wami duchem.

Caine spostrzegł, że z coraz większym trudem unosi powieki.

- Jak wyglądam?

- Pięknie. - Pod wpływem nagłego impulsu rozpylił na nią trochę wody kwiatowej o zapachu bzu, której zawsze używała. - I ślicznie pachniesz. Gdybyś nie była moją babcią, chyba bym cię odbił dziadkowi.

Uśmiechnęła się z takim wdziękiem, że przez moment wyglądała jak młoda dziewczyna.

- Ty i Devlin - wyszeptała - jak dwie krople wody. Urodzeni pochlebcy.

Przygładziła włosy drżącą dłonią i poszczypała policzki.

- Skoro już o nim mowa, poproś go tutaj.

- Babciu...

- Caine, mój czas nadszedł - powiedziała uspokajającym tonem.

- Bardzo cię kocham, ale jeszcze muszę się pożegnać z mężczyzną, który tańczył rumbę najlepiej w Tribulation.

Caine nie usiłował już powstrzymać łez. Spływały mu po twarzy, ściekały na pościel i zwilżały dłonie babci. Pragnął ją wziąć w ramiona i błagać, żeby nie umierała, ale wyglądała tak krucho jak figurynka z porcelany, więc tylko złożył pocałunek na jej świeżo uczesanych włosach.

Boże, jak ja cię kocham - zdołał jeszcze wyszeptać. Odwrócił się szybko i podszedł do drzwi, które właśnie otwierał Devlin, jakby odpowiadając na nieme wezwanie. Poklepał wnuka po ramieniu, a sam, wyprostowany, wszedł do pokoju.

Przysiadł na brzegu łóżka.

- Jesteś ciągle najwspanialszą dziewczyną w Tribulation - powiedział, gładząc żonę po policzku.

Maggie nie zamierzała protestować. Przycisnęła suche wargi do głaszczącej ją dłoni męża.

- A ty najprzystojniejszym mężczyzną.

Położył się koło niej i przyciągnął do siebie. Wiedział, że gdy kiedykolwiek popatrzy na krzew bzu, zawsze będzie myślał o Maggie.

Trwali tak dłuższy czas w milczeniu, ona z głową na jego ramieniu, on z ustami na jej włosach.

- Kocham cię, Margaret Rose Murphy O'Halloran — wyszeptał w pewnym momencie.

- I ja ciebie kocham, Devlinie Patricku O'Halloranie. -Uniosła głowę, żeby uśmiechnąć się do niego, lecz jej oczy były poważne. - Przymknij mi coś, proszę.

- Wszystko,

- Gdyby ten przyjaciel Caine'a, ten łącznik z Detroit, miał rację i któregoś dnia, w innym życiu spotkałbyś kobietę, lotniczkę albo astronautkę, która poprosiłaby cię do rumby, nie odmawiaj jej.

- Przymknę. - Położył dłoń na jej piersi i dotknął wargami ust. - Na zawsze.

Poczuł nagle pod palcami, jak zatrzepotało jej serce niczym przestraszony wróbelek. I stanęło. Niebo za oknem zmieniło barwę. Nie było już granatowe, tylko najpierw szare, a potem mglisto srebrzyste.

Devlin pozostał nieruchomy, obejmując ramieniem swą pannę młodą, która była ponad pół wieku światłością jego życia.

ROZDZIAŁ 12

Uroczystości pogrzebowe odbyły się na lotnisku zgodnie z życzeniem Maggie. Przyszła masa osób, żeby złożyć hołd pamięci kobiety, która wniosła w życie Tribulation tyle nowego ducha i radości. Jej prochy zostały rozsypane z ukochanej ceceny nad podgóorskimi łąkami. Pilotował Caine, towarzyszył mu Devlin.

Resztę rodziny zaproszono na kolację do Mike'a i Ellen. Cały wieczór opowiadano o różnych przygodach Maggie, często niewiarygodnych, a zawsze prawdziwych.

Nora wróciła późno do domu i nie zdziwił jej wcale widok Caine'a, siedzącego na bujaku na werandzie. Sprawilo jej przyjemność, że on tu na nią czeka.

- Cześć. Jak się ma Devlin?

- Dobrze, o ile to możliwe. Zaproponowałem mu, żeby wrócił ze mną do chaty, ale powiedział, że chce być w domu, bo tam czuje obecność Maggie.

- Trudno się temu dziwić.

- Chyba tak. Według niego ona się tam kręci, żeby sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku.

- To też nie byłoby dziwne. A ty?

- Co ja?

Jak sobie z tym wszystkim dajesz radę?

- Jakoś się trzymam. A, telefonował mój adwokat. Jutro o tej porze będę wolnym człowiekiem.

Starła się ukryć radość, ale jej serce zabiło mocniej.

- Moje gratulacje. - Usiadła koło niego na bujaku.

- Wydawało się, że procedura będzie trwała wieki, więc wysłałem drugiej stronie czek na pokaźną sumę i to odniosło natychmiastowy skutek. - Objął ją ramieniem. Nie odsunęła się. Kołysali się wolno.

- Czy bardzo ci było ciężko spełnić ostatnią wolę Maggie? - spytała po chwili.

- Bałem się tego - przyznał. - Ale łąki były tak ukwiecone, a gdy wypatrywaliśmy odpowiedniego miejsca, słońce wyszło zza chmur i ozłociło jedną z polan. Popatrzyliśmy na siebie z Devlinem. Obaj czuliśmy, że to Maggie nas prowadzi.

- Pewno tak było - powiedziała cicho Nora. - Niepokoiliam się, bo nie zjawiłeś się u rodziców.

- Devlin chciał wrócić do domu. Po drodze pojechałem do Port Angeles i wstąpiłem do Johnny'ego. Porzucaliśmy piłkę.

- To ładnie z twojej strony.

- Zrobiłem to bardziej dla siebie niż dla niego. Muszę przyznać, że lubię tego chłopca. Nawet bardzo.

- On cię uwielbia. Jak mu się wiedzie?

- Dobrze. — Wzruszył ramionami. - Tylko martwi się, że go nikt nie adoptuje, bo ludzie wolą zupełnie małe dzieci.

- Na ogół. Johnny jest wspaniałym chłopcem. Znajdzie rodzinę.

- To mu właśnie powiedziałem.

Zapadła cisza. Gdzieś z oddali dochodziło pohukiwanie sowy.

- Coś ci przyniosłem - odezwał się Caine.

Pomyślała, że to może będzie jakaś drobna pamiątka po babce, lecz on podał jej kopertę. Spojrzała pytająco, po czym ją otworzyła.

- Czek?

Światło księżyca było tak jasne, że bez trudu odczytała kwotę.

- Nie rozumiem. - Oszołomiona, nie wierząc własnym oczom, jeszcze raz policzyła wypisane zera.

- Na Pediatryczne Centrum Leczenia Urazów im. Dylana Andersona O'Hallorana - przeczytała.

Caine skinął głową.

- Tak jest.

- Przecież takie centrum nie istnieje.

- Ale powstanie.

Ciągle nie mogła w to uwierzyć. Pomyślała nawet, że może Caine chciał w ten sposób zdobyć jej przychyłność, lecz przecież nie byłby zdolny do takich forteli.

Wstała i zaczęła się przechadzać po werandzie.

- Budowa takiej placówki będzie bardzo kosztowna.

- Noro, Tiffany nie oskubała mnie ze wszystkich pieniędzy.

- Ale i tak ciebie samego nie będzie na to stać.

- Wiem. Potrafię zebrać potrzebne fundusze. Poza tym będę miał pomoc.

- Jaką? - Zatrzymała się.

- W październiku odbędzie się mecz baseballowy z udziałem największych gwiazd. Cały dochód zostanie przeznaczony na ten

ośrodek. Jedna ze stacji telewizyjnych będzie transmitować rozgrywkę, a tu masz listę graczy.

Nora spojrzała. Widniały na niej nazwiska najlepszych baseballistów, obecnych i byłych - samych sław.

- Włożyłeś w to sporo pracy. Wzruszył ramionami.
- Parę tygodni ze słuchawką telefoniczną przy uchu.

Z pewnością całe to przedsięwzięcie wymagało znacznie więcej wysiłku, nie mówiąc już o pieniądzach, pomyślała Nora.

- Nie mogę ci na to pozwolić - stwierdziła.
- Już za późno. Poza tym, nie robię tego dla ciebie, tylko dla tych wszystkich dzieci, które, jak Dylan, powinny otrzymać fachową pomoc.

W obliczu tego niewiarygodnego zamierzenia po prostu osłabła. Usiadła na huśtawce i patrzyła przez jakiś czas na rozgwieżdżone niebo.

- Po tylu latach myślałam, że niczym nie możesz mnie zadziwić - rzekła w końcu - a jednak ci się udało.

- Cieszę się. Noro, to naprawdę nie był żaden wyrafinowany sposób na odzyskanie ciebie.

- Wiem.

Zaczęli się znowu powoli kołysać.

Ogarniało go pożądanie, z trudem je opanowywał. Nora odwróciła ku niemu twarz, jakby czytała w jego myślach. Byli tak blisko. Wystarczyło tylko zsunąć ramię spoczywające na oparciu i wziąć ją w objęcia.

- Chyba już pojedę do domu - powiedział cicho - zanim zacznę cię błagać.

Kiedy chciał wstać, położyła mu dłoń na ramieniu. W jej oczach, bardziej złotych niż brązowych w świetle księżyca, dojrzał to samo pragnienie.

- Nie musisz błagać.

Nie mógł się powstrzymać, pragnął jej dotknąć, choćby ująć twarz w dłonie.

- Chcę mieć pewność, Noro. Całkowitą pewność.

- Możesz być pewny. - Zaśmiała się krótko, zmysłowo. - Do tej pory niczego nie byłam tak pewna.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Caine, pocałuj mnie. Całuj mnie tak jak wtedy, w noc świętojańską.

- Jeżeli to zrobię - ostrzegł - nie skończy się na pocałunku. -

- To dobrze. - Jej palce muskały opadające mu na kołnierz włosy. - Pragnę się z tobą kochać. Z nikim nie przeżyłam takich cudownych chwil jak z tobą.

Caine nie przyszedł tutaj, żeby pójść z Norą do łóżka. Chciał tylko być z nią, porozmawiać o projekcie centrum i choć trochę złagodzić ból po stracie babki. Pomyślał o przyrzeczeniu danym Maggie - dzisiaj jeszcze nie był wolny. Lecz, do licha, wiedział, że Tiffany jest właśnie w drodze do Dominikany, gdyż tam, pod nowy adres, wysłał jej czek na milion dolarów, a za kilka godzin rozwód zostanie orzeczony. Poza tym nie był przecież świętym.

Przytrzymał głowę Nory i przelał na jej usta cały żar swej namiętności. Czuł się tak, jakby uczestniczył w święcie po długim poście: głód, zachłanność, pragnienie niczym pierwotne demony brały go w posiadanie.

- Ja też pragnę się z tobą kochać, najdroższa. - Z trudem opanował drżenie palców przesuwających się wzdłuż jej ramion. Splótł jej palce ze swymi, wstał i podniósł ją. Kiedy prowadził Norę ku schodom wiodącym do sypialni, wyczuł w niej jakieś wahanie. Zatrzymał się na podeście i wziął jej twarz w dłonie.

- Jeżeli nie chcesz...

- Chcę. - Nie dała mu skończyć, przycisnęła wargi do jego ust. Chociaż miała trzydzieści dwa lata, jej pocałunki nie były wyrafinowane, wyrażały się w nich - jedynie i aż— kobieca czułość i potrzeba miłości.

- Nigdy nie pragnęłam nikogo jak ciebie właśnie dzisiaj - wyszeptała po chwili.

Dokładnie to chciał usłyszeć. Poszli razem dalej, trzymając się za ręce.

Atmosfera sypialni Nory całkowicie przeczyła jej profesjonalnemu wizerunkowi, który ukazywała światu. Pokój urządony był z kobiecym smakiem, pachniał kwiatami. Na toalecie stały staroświeckie buteleczki z perfumami, trzyramienny świecznik z białymi świecami, wiązanka zasuszonych czerwonych róż z ogrodu babki. Resztę miejsca zajmowały liczne fotografie przyjaciół i rodziny. Caine uśmiechnął się na widok zdjęcia Maggie zrobionego w

1950 roku. Stała przy swoim czerwonym stinsonie z pełnym ufności uśmiechem kobiety, która potrafi przewycięzać wszelkie życiowe przeszkody.

Caine przeniósł wzrok na otwartą szkatułkę z sandałowego drewna, gdzie spod sznurka pereł spletanego ze złotymi pierścionkami wystawała skromna broszka: szary wieloryb z ceramiki.

Dobrze pamiętał, że kupił ją Norze pewnego kwietniowego dnia, gdy przeprawiali się promem na wyspę Orcas z rozkapryszonym Dylanem, któremu właśnie wyrzynały się ząbki. -

Poczuł wzruszenie. Przez tyle lat przechowywała tę niewymyślną ozdobę.

Ręcznie rzeźbione łóże było szerokie i wysokie, cztery narożne kolumny sięgały niemal sufitu.

Z zadowoleniem zauważył, że koło łóżka stał biały, porcelanowy dzban, używany niegdyś przez Annę Anderson do mleka, a w nim bukiet polnych kwiatów od niego.

- Śniłeś mi się tej świętojańskiej nocy - szepnęła Nora - ale • wątpię, czy to było spełnienie ludowej przepowiedni, bo każdy sen co noc od dnia, kiedy wróciłeś do Tribulation, był o tobie.

Nie spodziewał się takiego wyznania.

- Co noc?

- Tak. Bez wyjątku.

Przyjął to zwierzenie z niekłamaną satysfakcją. Patrzył na nią czule, jego oczy pieściły jej twarz.

Nora nie wiedziała, czy to jej własne serce, czy Caine'a bije jak oszalałe.

- Pragnę tylko ciebie - wyszeptała.

Wpatrzony w oczy Nory, dotykał palcami jej prześlicznej twarzy, potem przesunął kciukiem po obrzeżu rozkosznych ust, aż wreszcie z delikatnością, o jaką sam się nie posądzał, zaczął pić ich słodycz.

Gdy język Caine'a wsunął się w rozchylone wargi Nory, podążyła za nim w magiczny świat zmysłów. Oplotła go ramionami i przytuliła. Ich ciała były dobrane cudownie, wprost idealnie, tak jak zapamiętała.

Im więcej mu dawała, tym więcej pragnął, chciał zawładnąć nią całą-jej umysłem, duszą i ciałem.

A ona chciała mu dać więcej, niż mogłaby ofiarować innemu mężczyźnie, od niego zaś oczekiwała czegoś więcej, niż mógłby jej dać inny.

Ich pragnienia spełniły się. Potem leżeli przytuleni - ona zdumiona bezmiarem rozkoszy, jaką ją nappełnił, on szczęśliwy, że po raz pierwszy od tak długiego czasu mógł się znowu poczuć jak zwycięzca.

- Boże, tak bardzo mi tego brakowało - szepnął. - Tak ogromnie za tobą tęskniłem.

Za oknem wschodził pyzaty, srebrny księżyc.

Nora zaczęła pieścić skórę na piersiach Caine'a, pod którą przeżyły się twarde mięśnie. Potem smakowała ją, wdychała jej męski

zapach. Jego ciało reagowało na każdy dotyk palców, a ona coraz bardziej brała je w swoje władanie. Te pieszczoty doprowadzały go na skraj szaleństwa; wydawało mu się, że już dłużej nie zniesie słodkich tortur, a zarazem marzył, aby trwały wiecznie.

Aż wreszcie pozwoliła, żeby położył ją na plecach. I znowu dokonał się akt miłości.

Księżyc piał się Coraz wyżej po niebie. A ich unosiła coraz wyżej potężna fala rozkoszy.

- Na to warto było czekać - odezwał się Caine, gdy mógł już zebrać myśli.

- Uhm. - Nora trzymała głowę na jego piersi. Najchętniej spędziłaby tak resztę życia.

A on pieszczotliwie, powoli przesunął dłoń wzdłuż jej pleców.

- Czy ci mówiłem, że jesteś niewiarygodnie piękną kobietą?

- Pochlebca. - Jego dotyk ciągle pobudzał jej zmysły.

- Ależ to prawda. - Z uśmiechem przewijał pasmo jej jasnych włosów między palcami. - A teraz, po tym, co przeżyliśmy, pragnę cię jeszcze goręcej niż kiedykolwiek innej kobiety.

- Ja też ciebie pragnę - przyznała z westchnieniem.

- To nie zabrzmiało, jakbyś była zachwycona. - Spojrzył na nią pytająco.

- Bo nic się nie zmieniło.

Poczuł, że drży. Usiłował odsunąć od siebie jakieś złowieszcze przeczucie.

- Wszystko się zmieniło. - Pocałował ją we włosy, wstał z łóżka i sięgnął po dzinsy. - Mam coś dla ciebie.

- Dałeś mi już wystarczająco dużo. - Miała na myśli ów czek i wysiłek, jaki włożył, żeby ziszczyć jej marzenie o centrum, leczenia urazów. Usiadła i oparła się o poduszkę.

- Tamto dotyczyło spraw ogólnych. A to naszych, osobistych. - Wręczył jej pierścionek. Złoty, z szafirem, przepięknej roboty, bardzo stary - Zaręczynowy pierścionek Maggie. Przymierz. Chciała, żebyś go dostała.

Oniemiała z wrażenia. Pamiętała, jak się mówiło, że Devlin kupił swej narzeczonej zamiast tradycyjnego brylantu szafir w kolorze nieba, które tak uwielbiała.

- A czy Devlin nie chciałby go zatrzymać?

- Oboje z Maggie zdecydowali, że nie powinien leżeć zapomniany w jakiejś szufladzie.

- Ale...

- Oni zdecydowali, a ja pomyślałam, że może będzie ci się podobał. Za pierwszym razem nie dałem ci prawdziwego zaręczynowego pierścionka.

- Za pierwszym razem? Usiadł koło niej na brzegu łóżka.

- Noro, dobrze wiem, co czuję. Kocham cię i jeżeli intuicja mnie nie zawodzi, ty też mnie kochasz.

Nie mogła skłamać. Nie chciała już dalej okłamywać ani siebie, ani Caine'a.

- Tak.

- Więc następnym, jedynie logicznym krokiem jest małżeństwo.

- Caine.

- Chata jest już gotowa na twoje przyjęcie. Posprzątałem, wyrzuciłem śmieci, umyłem okna i odkurzyłem. Nawet pod kanapą. A lodówka jest pełna tej zdrowej zieleniny, którą tak uwielbiasz.

- Przykro mi, Caine, ale nie mogę wyjść za ciebie.

- Nie możesz? Czy nie chcesz? - Po tonie głosu Nora wyczuła, jak bardzo go uraziła.

- Musisz mnie zrozumieć.

- Staram się. - Udało mu się opanować głos, lecz jego oczy były niespokojne. - Tylko pamiętaj, że jestem straszonym tumanem, więc mów powoli i używaj prostych słów.

Zdenerwowana, podciągnęła prześcieradło i nakryła nagie piersi.

- Doświadczyliśmy wspaniałego przeżycia. Zawsze tak było, ale to nie wystarczy - powiedziała.

Zastanawiał się, jak taka inteligentna kobieta może nie rozumieć, że po tej nocy ona już należy do niego. Podobnie jak on do niej.

- Bo ty nie chcesz, żeby wystarczyło - sprzeciwił się. - Wreszcie oboje wróciliśmy do domu, Noro. Tam, gdzie nasze miejsce, Chcę spędzić resztę moich nocy z tobą, przez dalsze pięćdziesiąt, a jak szczęście dopisze sześćdziesiąt lat. Chcę co wieczór usypiać z tobą w objęciach, a budzić się każdego rana, wiedząc, że jesteś ze mną. I pragnę się starzeć przy tobie. Noro.

Dobry Boże, przecież ona pragnęła tego samego. Lecz pozostawała pewna sprawa, której on nie poruszył.

- A dzieci?

Nie pozwól mi tego zaprzepaścić, Caine błagał bezgłośnie los. Odetchnął głęboko i zaczął mówić, starannie dobierając słowa.

- Zawsze uważałaś, że jestem egoistą. Może to prawda.

Ponieważ od powrotu do tribulation chcę dostać wszystko, kochanie. Poślubić ciebie i mieć dom z ogródkiem otoczony płotem z białych sztachetek. Wiernego kundla, który będzie wnosił błoto na świeżo wymytą podłogę, ściągał steki przygotowane do smażenia i wygrzebywał cebulki tulipanów. I, tak, pragnę mieć dzieci.

To była chyba najdłuższa przemowa, jaką wygłosił w życiu. I najważniejsza. Znowu wziął głęboki oddech.

- Największym moim osiągnięciem życiowym, wbrew nam, był Dylan - rzekł głosem ochryplym z emocji. - Noro, kocham cię, stwórzmy normalne, rodzinne życie: dzieci, mama, tata, pies, praca.

Lodowaty chłód poraził ją całą: ręce, stopy, serce.

- A gdzie ten wymarzony dom ma być? W Detroit? I na jak długo tam by pozostał?

Wiedział, do czego zmierzała. Swego czasu ścigając marzenia, gotów był ciągnąć rodzinę po całym kraju, od miasta do miasta, gdziekolwiek by był baseballowy stadion.

- Zrezygnowałem z oferty Tigersów. Nie będę ich trenerem. - Caine wzruszył ramionami.

To była największa z możliwych niespodzianek.

- Dlaczego?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Czy do niej nie dotarło ani jedno jego słowo?

- Bo chcę zostać w Tribulation. Z tobą.

- Nie mogę pozwolić, żebyś zrezygnował z baseballu przede mną.

- To nie całkiem przez ciebie Noro. Zdecydowałem, że przejmę po Maggie jej lotniczą firmę. Babcia tego chciała i im. Dłużej nad tym rozmyślałem, tym bardziej mi się podobał ten pomysł.

Podjęcie decyzji okazało się zadziwiająco łatwe. Początkowo, jeszcze za życia Maggie, podejrzewał, iż szansa, że Nora opuści Tribulation i wyjedzie z nim do Detroit, była bliska zeru. Ale, powtarzał sobie, przecież on nie żądał, żeby zrezygnowała z medycyny. W Detroit też mogła prowadzić praktykę lekarską. Gdyby użył właściwych argumentów, z pewnością zrozumiałaby, że dla niego baseball - poza Dylanem - był najważniejszy w życiu.

Jednak gdy robił porządki w chacie, uprzytomnił sobie nagle, że wcale nie pragnie powrotu do życia na walizkach, że męczył go brak przynależności do konkretnego miejsca. Chciał, żeby rodzina, którą założył z Norą, zapuściła korzenie w tym położonym w lasach miasteczku, które było domem dla tylu generacji Andersonów i O'Halloranów.

- Więc zostajesz? - Będzie go widywała niemal codziennie na ulicy, w sklepie, a może nawet w klinice. Ta perspektywa była w równym stopniu przerażająca, jak cudowna.

-Na dobre.

- Cóż. Jeśli naprawdę tego chcesz.

- Naprawdę. - Westchnął. - Mówiłem ci jeszcze na werandzie że pójde sobie, zanim zacznę cię błagać, ale, do licha, skoro o to chodzi...

- Nie. - Położyła mu palec na ustach. - Nic nie zmieni mojej decyzji.

- Nic? Jesteś pewna?

- Całkowicie.

Myślała, że się odsunie, a on tymczasem przyciągnął ją do siebie. Przycisnął wargi do jej skroni.

- Jesteś zbyt namiętną kobietą, żeby zrezygnować z tego, co tylko my dwoje możemy sobie dać. - Całował jej powieki, policzki, brodę. - Bądźmy ze sobą. Na zawsze - szeptał.

Ciało Nory ogarnął już żar, odchyliła głowę, a on całował jej szyję.

- Chciałabym - odparła drżącym szeptem.

- Wiem. - Usta Caine'a przesuwwały się coraz niżej. -Więc dlaczego mi odmawiasz?

- Bo ty pragniesz mieć rodzinę - powiedziała z wysiłkiem. Nic nie rozumiał.

- Usiłujesz mi powiedzieć, że ty nie pragniesz? - Taka myśl nawet nie zaświtała mu w głowie.

- Właśnie tak. - Łzy zbierały się już pod jej powiekami. Zaczął się domyślać. Był wstrząśnięty.

- Z powodu Dylana, prawda? - Spłynęła pierwsza łza, otarł ją dłonią z jej policzka. - Noro, kochanie, to był wypadek. Coś podobnego nigdy nie może się powtórzyć.

Czyżby sądził, że ona tego nie wiedziała? Była inteligentną, wykształconą kobietą, mimo to nie potrafiła zwalczyć strachu ogarniającego ją na samą myśl, że mogłaby mieć dziecko.

Nora nie uważała się za tchórza, lecz nie miała siły wziąć na siebie ponownie tak wielkiego ryzyka.

- Nie chcę rozmawiać o Dylanie. - Zaczęła go odpychać, ale mocno ją przytrzymał.

- Rozumiem twoje uczucia, Noro, wiem, czego się boisz. I chociaż życie nie daje nam żadnych gwarancji, to skoro się kochamy, możemy stawić czoło wszelkim zagrożeniom.

- Nie. Śmierć Dylana prawie mnie zniszczyła. Nie naraziłabym się na podobne cierpienia, nawet dla ciebie.

- Nawet dla nas?

- Nawet dla nas. - Nie powstrzymywała już łez, tylko wycierała je wierzchem dłoni.

- Dobrze. - Pozbierał porozrzucone rzeczy i zaczął się ubierać. - Teraz odchodzę - oznajmił, zapinając guziki koszuli - ale tym razem nie mam zamiaru wsiadać do samochodu i gdzie indziej szukać szczęścia tylko dlatego, że doszło między nami do drobnego nieporozumienia.

Drobnego nieporozumienia? Jej krwawiło serce, a on mówił o drobnym nieporozumieniu?

- Kocham cię, Noro Anderson O'Halloran, bez granic, do szaleństwa, na śmierć i życie. Każdą cząstką mojej istoty. A ponieważ jestem podobno człowiekiem zachłannym, zamierzam spędzić resztę życia na kochaniu się z tobą, albo w tym łóżku, albo w mojej chacie przed płonącym kominkiem, albo nawet na jeziorze. Czy odpowiada ci termin ślubu w sierpniu? Pogoda wtedy nigdy nie zawodzi, kwiaty w ogródku twojej babci są najpiękniejsze, więc w nim moglibyśmy urządzić wesele.

On znowu jej zupełnie nie słucha, pomyślała ze złością.

- Caine, my się nie pobierzemy.

- Chcesz się założyć?

- Bardzo proszę. O pięćdziesiąt dolarów.

- Co to za zakład! Stawiam pięćset, że przed końcem lata będziesz znowu panią O'Halloran.

Nie miała takich pieniędzy na wyrzucenie, lecz zgodziła się zezłości.

- Niech będzie.

- Wspaniale. - Pogłaskał ją po włosach. - Przypomnij mi, żebym powtórzył ci tę rozmowę w pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Będziemy siedzieli na werandzie w bujanych fotelach i patrzyli, jak nasze wnuki opryskują się wodą w jeziorze za chatą.

- Po raz ostatni ci...

Zamknął jej usta gorącym, władczym pocałunkiem.

- Do zobaczenia. Zadzwoń do mnie, kiedy zmienisz zdanie.

I z tymi słowami, ku jej zdumieniu, wyszedł. Usiadła na zmiętoszonej pościeli pośrodku łóżka i nasłuchiwała, jak Caine zbiega po dwa stopnie ze schodów. Trzasnęły drzwi. Została w ciszy i samotności.

RS

ROZDZIAŁ 13

Caine codziennie rozmawiał z Norą przez telefon, lecz -tak jak przyrzekł - nie spotkał się z nią przez całe cztery drugie, samotne tygodnie, choć kosztowało go to wiele.

Inna sprawa, że w tym czasie był rzeczywiście zajęty. Interesy lotniczej firmy turystycznej kwitły, a poza tym wszędzie, gdzie tylko mógł, zbierał fundusze na budowę pediatrycznego centrum leczenia urazów. Udało mu się pozyskać do współpracy pewnego wybitnego reżysera,- poznanego kiedyś w Nowym Jorku, który postanowił nakręcić film dokumentalny o dzieciach, ofiarach nagłych wypadków. Gubernatora stanu przekonał o potrzebie ustanowienia „Tygodnia ochrony dziecka”, który miał być obchodzony na początku września każdego roku.

Nora śledziła, jego niesłabnące zaangażowanie w sprawę ważną nie tylko dla niej, lecz także dla wszystkich dzieci w kraju i musiała przyznać, że bardzo niesprawiedliwie go osądzała.

Przy okazji poddała surowej ocenie także własne życie. Po rozwodzie początkowo nie myślała o powtórnym małżeństwie, gdyż pochłoneła ją praca. Kiedy po pewnym czasie zaczęła się spotykać z mężczyznami, odkryła, że oni wszyscy mają bardzo silne poczucie ciągłości rodu. Po śmierci Dylana przysięgła sobie, że nigdy już nie będzie miała dziecka. A potencjalni kandydaci na mężów, gdy tylko zorientowali się, że ona nie zamierza dać im dziedzica, kierowali swe zainteresowanie w stronę innych kobiet. I tak została samotna. Znowu.

A prawda była taka, że Nora miała już dość samotności. Na dodatek musiała brać pod uwagę fakt nie ulegający wątpliwości: był tylko jeden mężczyzna, z którym chciała dzielić życie.

Jeszcze miesiąc temu uważała, że małżeństwo z Caine'em jest niepodobieństwem. Teraz doszła do wniosku, że niepodobieństwem byłoby odrzucenie jego propozycji.

Więc któregoś dnia po dyżurze w szpitalu, zdenerwowana jak nigdy w życiu, wsiadła do samochodu i wyruszyła w stronę lotniska. Ku swej przyszłości.

Caine właśnie wylądował. Kierował do hangaru czerwono--białą awionetkę, kiedy zauważył samochód Nory jadący wzdłuż pasa startowego.

Wyskoczył z samolotu i mruknął pod nosem:

- Najwyższy czas.

- Daje się prowadzić jak marzenie, prawda? - Zadowolony sprzedawca najwyraźniej źle zrozumiał jego uwagę. - Klubowe fotele z tyłu świetnie się nadają do turystycznych przewozów.

- Jest rzeczywiście doskonała. - Chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, żeby pognać na pas startowy i porwać Norę w ramiona. Zaparkowała właśnie koło jego nowego niebieskiego dżipa.

- I cena jest przystępna - dodał sprzedawca.

- Tak, przyznaję- przerwał niecierpliwie Caine - ale teraz muszę już iść. Mam pana wizytówkę. Zadzwoń jutro rano, dobrze?

Nora wysiadała z samochodu. Wysunęła nogę - sukienka podciągnęła się do połowy uda.

- Jutro po południu - poprawił się i zaczął iść szybkim krokiem w jej stronę.

Spotkali się w połowie drogi.

- Witaj - powiedziała ciepło.

- Jak się masz.

- Ładny samolot. Nowy?

- Zamierzam go kupić.

- I samochód też ładny. A gdzie ferrari?

- Sprzedałem. - Uśmiechnął się. - Uznałem, że czas kupić trochę mniej młodzieżowy. - Zobaczył, że Nora nerwowym ruchem przygląda włosy. Pochwycił jej dłoń. - Podoba mi się twój pierścionek. Wygląda na znajomy.

- Mnie też się podoba. - Była zdenerwowana, ale uśmiechnęła się. - Nawet myślałam, żeby go zatrzymać.

Wszystko będzie dobrze, zapewniał się w duchu.

- Na jak długo?

- A gdyby tak na pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat?

- Nieźle. Na początek. - Przytulił ją do siebie i całował długo, gorąco. - Chodź, kochanie. Idziemy stąd.

- Do czyjego domu?

- Teraz do twojego, bo bliżej. Później może zamieszkalibyśmy w chacie, a twoje mieszkanie w całości mogłabyś przeznaczyć na klinikę. Dopóki nie zajdziesz w ciążę. Wtedy zbudujemy dom otoczony płotem z białych sztachetek. - Uświadomił sobie nagle, że

znowu ją przypiera do muru. Wstrzymał oddech w obawie, że zeszywnieje w jego ramionach.

Tymczasem dla Nory złamanie danej sobie przysięgi okazało się zadziwiająco łatwe, gdy już nie było wątpliwości, jak bardzo się kochają. Taka miłość warta była ryzyka.

- A przy okazji, pani doktor, jest mi pani winna pięćset dolarów.

Zupełnie zapomniała o zakładzie. Dawno nie była tak szczęśliwa. Uniosła głowę i roześmiała się.

- Tak się świetnie składa, że będę miała bogatego męża, który spłaci moje długi honorowe.

Pokój pachniał i wyglądał jak kwaciarnia. Kwiaty stały wszędzie - na nocnej szafce, na podręcznym stoliku, na parapecie, na podłodze.

- Ooo, popatrz. - Ośmioletni Johnny O'Halloran w błękitnej bluzie z wydrukowaną nazwą firmy turystycznej Caine'a wyjął białą wizytówkę z olbrzymiego kosza, wprost kipiącego liliami, orchideami i mieczykami.

- Don Mattingly - wyszeptał w podziwieniu.

- Widzisz, jak czasy się zmieniają - gderał dobrotliwie Caine - jeszcze nie tak dawno to dziecko mnie stawiało na piedestale.

- To było wtedy, kiedy go jeszcze nie zatrudniłeś przy malowaniu sztachetek - przypomniała mu Nora z uśmiechem.

- Chętnie pomagałem tacie malować - włączył się do rozmowy Johnny - tylko to czyszczenie pędzli było niepotrzebne.

- Też tak myślałem, jak mój *tata kazał mi zeskrobywać muszle z kadłuba „Szczodrej” - rzekł Caine.

- To chyba było gorsze od czyszczenia pędzli - uznał Johnny. - Ja przynajmniej miałem do pomocy Erica.

- Obaj wspaniale się spisaliście.

- Wiem. - Johnny chodził po pokoju i czytał po kolei wszystkie wizytówki dołączone do bukietów. Jakby odczytywał listę najsłynniejszych baseballistów. Wreszcie podszedł do Margaret Caitlin O'Halloran.

- Musisz być kimś zupełnie wyjątkowym - powiedział do dziewczynki, spoglądającej na niego błękitnymi oczkami. -Chociaż jesteś dziewczynką.

Nora w obawie, że mógłby być zazdrosny, pogłaskała go po ramieniu.

- Johnny, ty też jesteś zupełnie wyjątkowy.

- Wiem. Bo wy mnie wybraliście.

- Tak jest. - Caine rozwichrzył jasne włosy chłopca, o ton jedynie ciemniejsze od puszku pokrywającego główkę córki.

Teraz, kiedy Johnny przybrał na wadze, a z jego twarzy zniknął wyraz smutku i przestachu, niczym nie różnił się od innych dzieci w jego wieku. Oboje z Norą byli zgodni, że wyglądał jak ich rodzony syn.

- I nie masz pojęcia, jak jesteśmy z tego powodu szczęśliwi. Kiedy rok temu wyjeżdżali w podróż poślubną na Hawaje,

Nora zastanawiała się, w jaki sposób podsunąć mężowi myśl o adoptowaniu Johnny'ego. Niepotrzebnie, gdyż zaraz po przybyciu do hotelu w Kauai Caine sam to zaproponował.

- Ja też jestem szczęśliwy - odparł Johnny. Dotknął palcem różowej rączki Caitlin. Dziewczynka zacisnęła wokół niego pulchną piąstkę i trzymała go z zadziwiającą siłą. -

I cieszę się, że mam siostrzyczkę. Chociaż myślałem, że to będzie chłopiec.

- Tego nie wiedziałam - powiedziała Nora.

- Miałbym z kim grać w piłkę. Dziewczynki wolą lalki od baseballu,

- Nie wypowiadaj takich opinii przy mamie, bo będziesz musiał wysłuchać kolejnego wykładu o równouprawnieniu kobiet.

- Należałoby się - odpowiedziała Nora - ale zostawmy to na inną okazję.

Rozejrzała się po pokoju, sprawdzając, czy niczego nie zapomniała. Ściągnęła brwi z niezadowoleniem na widok inwalidzkiego wózka.

- Nie cierpię tego.

- Jako lekarz nie powinnaś sprzeciwiać się regułom - zauważył Caine. - Siadaj, kochanie. Rydwan czeka.

Nora niechętnie usiadła na wózku, a Caine podał jej dziecko. Nie mógł się powstrzymać i pocałował najpierw córeczkę w główkę, a następnie żonę w usta. Trudno mu się było od nich oderwać, ich słodczy nigdy mu nie będzie dosyć, choćby żył i sto lat.

- Uch, znowu te buziaczki - jęknął Johnny.

- Pewnego dnia musimy przeprowadzić męską rozmowę na temat dziewczynek i buziaczków - roześmiał się Caine -jak ojciec z synem.

- Wolałbym porozmawiać o wskaźniku skuteczności odbić - odrzekł Johnny. - A poza tym ja już wiem, skąd się biorą dzieci. Dowiedziałem się na lekcji.

- To teraz tego uczą w szkole? - z żartobliwym zdziwieniem zapytał Caine. - A co z gramatyką i dodawaniem w słupkach?

- Te przestarzałe nudziarstwa też są - przyznał Johnny.

- Chodź, łobuziaku, wracamy do domu. - Objął syna ramieniem.

Nora uśmiechnęła się do męża z miłością.

- Tak. - Jej oczy były w tym momencie prawdziwym zwierciadłem duszy. - Wracajmy do domu.

Dom. Wychodząc z rodziną ze szpitala na skąpaną w słońcu ulicę, Caine pomyślał, że jest to najpiękniejsze słowo, chyba we wszystkich językach świata.